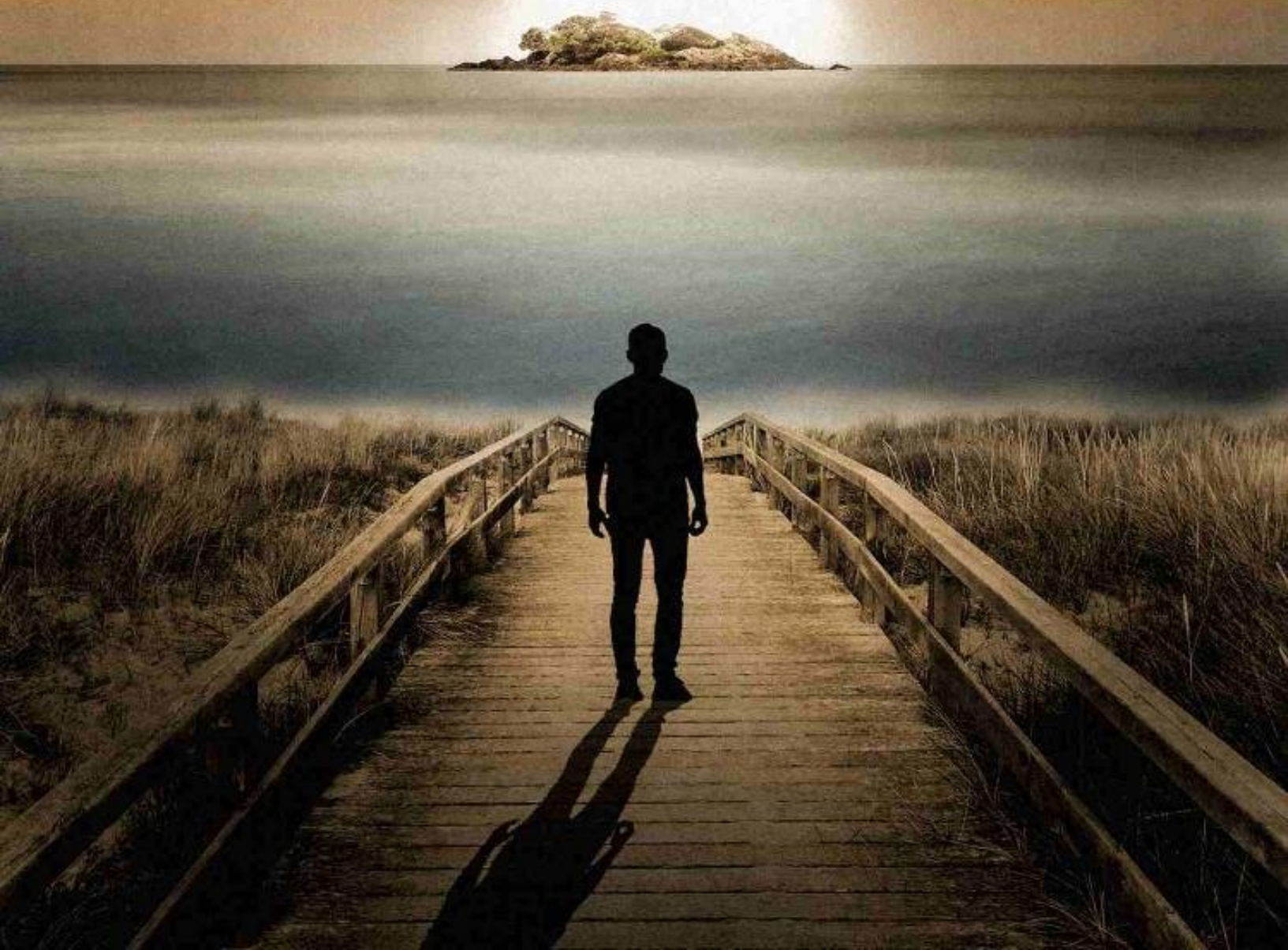


KRYMINALNE INTRYGI  
GABRIELA CABALLERO #2

# PABLO POVEDA WYSPA CISZY



**Wyspa ciszy**  
Pablo Poveda



Original work copyright ©2017 by Pablo Poveda

Tytuł oryginału: La Isla del Silencio

Okładka: ©2017 Pedro Tarancón

Przekład: Piotr Jarco

Redakcja: Natalia Grzeszczak

[www.autornia.com](http://www.autornia.com)

ISBN 978-83-959582-0-5 (wersja EPUB).

ISBN 978-83-959582-3-6 (wersja MOBI).

Copyright ©2022 by Studio Link Piotr Jarco

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą elektroniczną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym, optycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

# 1

**B**yć dziennikarzem oznacza jedno: jesteś kłamcą. Na uniwersytecie nikt o tym nie mówił. A pamiętam, że pytałem wiele razy. Osoba, która by mi to powiedziała, zapewne zmieniłaby losy mojej kariery i prawdopodobnie poszedłbym na medycynę lub prawo. W moim przypadku jednak nie było innej alternatywy niż dziennikarstwo – zawsze byłem mało rozgarnięty. Właśnie dlatego wybrałem ten zawód i zostałem gwiazdą redakcji. Ba! Najlepszym fachowcem w tej całej przeklętej gazecie.

Moja sława nie trwała jednak długo. Internet powoli wykańczał prasę drukowaną, a cały świat stanął na głowie, jak podczas kryzysu w 1929 r. Tym razem ludzie, zamiast skakać z okien na ulicę, rzucali się do innego okna. Kryzys gospodarczy, Hiszpania i mundial oraz pokolenie zbijające baki na placu Puerta del Sol.

Był lipiec. Telewizja pokazywała przepychanki policji z manifestantami, a my, studenci, oglądaliśmy to całe przedstawienie, siedząc na kanapie z puszką piwa Mahou w ręku. Alicante ze swoimi palmami, cichodajkami, turystami w klapkach i skarpetkach, przypominało San Francisco. Miałem więcej szczęścia niż moi rówieśnicy, którzy serwowali hot-dogi lub zabawiali dzieci, błaznując w przebraniu Harry’ego Pottera. Ja mogłem siedzieć na tyłku i pisać, a na dodatek dostawałem za to zapłatę. Trochę tupetu, bezpłatne praktyki i z czasem dorobiłem się miejsca przy własnym, zawalonym papierem z recyklingu biurku, na którym stał przedpotopowy komputer. Redagowałem



wiadomości w Las Provincias, drugim co do zasięgu dzienniku na wschodzie Hiszpanii.

To lato przypominało piekło, nie tylko z powodu żaru wprawiającego ulicę w otępienie, ale także przez otaczających mnie ludzi, którzy zdawali się przechodzić samych siebie. A może to ja przekraczałem pewne granice? Na początku lata podjąłem decyzję o pozostaniu w gazecie. W ten sposób, pisząc do rubryki kryminalnej, sam wydałem wyrok na swoją karierę. Płacono mi w końcu niewiele. Ledwo wystarczało na życie, opłacenie faktur i weekendowe nałogi.

Na przekór linii dziennika słuchaliśmy radia Cadena Ser. Wprawiało ono w dobry nastrój moich szefów, podstarzałych rewolucjonistów, którzy najwidoczniej szukali prawdy pod biurkiem. Niewiele mnie to obchodziło. Prawdę mówiąc – gówno, ale miałem już dość słuchania prezentera Gabilondo, nudziarza z innej epoki. Mój szef, Ortiz, był starym, lysiejącym chudzielcem. Nosił koszule w kratę i miał wąsy pożółkłe od palenia czarnego tytoniu marki Ducados. Ortiz był redaktorem naczelnym, biednym cudakiem wiodącym szczęśliwe życie.

Wszyscy w redakcji byliśmy indywidualistami, jedynymi w swoim rodzaju. Ale przecież właśnie o to chodziło w tym zawodzie. Na tym polegał jego urok. Za każdym razem, kiedy odbierałem telefon, na drugim końcu linii jakiś cwaniak albo wrzeszczał, albo mówił ściszym głosem zakompleksionej osoby, próbującej uchodzić za światowca. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że redakcja była bramą do piekła.

Więc co taki bystrzak jak ja tam robił? To pytanie zadawali mi w kółko rodzice podczas tradycyjnej comiesięcznej rozmowy telefonicznej. Nie byli ze mnie dumni, to fakt. Irytowało ich również to, że zajmowałem odziedziczone przez ojca mieszkanie po ciotce. Zaniedbana klitka zalatywała starością i powojennymi wspomnieniami, ale miała świetną lokalizację – znajdowała się tuż obok Plaza de Toros. Rodzice chcieli ją sprzedać i pozbyć się jednocześnie nieruchomości oraz mnie. Raz na zawsze. Ale to nie było takie proste. Moja matka nosiła w sobie jeszcze resztki miłosierdzia i nie wiedziała za bardzo, jak otwarcie powiedzieć mi o ich planie. Ja zaś karmiłem ją nieustannie tą samą wymówką – powtarzałem, że szukam mieszkania razem z Margaritą

(dziewczyną, z którą tylko sypiałem – ale to zupełnie inna historia).

Tego południa siedzieliśmy, pocąc się jak myszy, w pomieszczeniu z zepsutą klimatyzacją i przyglądaliśmy się przez okno dziewczętom w krótkich spodenkach obnażających połowę pośladków, sandałkach za dwa euro, okularach kupionych zapewne od nielegalnego imigranta, z rącznikami przewieszonymi przez ramię. Prezentowały styl pospolity i mało wyszukany.

Byłem zrezygnowany. Chciałem rzucić pracę, dmuchnąć Ortizowi w twarz dymem z papierosa i powiedzieć, że odchodzę. Wtedy, po raz kolejny tego dnia, na moim biurku zadzwonił telefon.

– Słucham? – zapytałem.

– Poproszę z panem Gabrielem Caballero – odpowiedział nieznajomy głos w słuchawce.

Wydawał się przestraszony.

– Kto mówi? – zapytałem.

– Czy to pan Caballero? – spytał głos.

– Wolę Gabriel – odparłem. – Od podstawówki nikt nie zwraca się do mnie per Caballero.

– Muszę się z panem spotkać – powiedział mężczyzna. – Dzisiaj.

– Słuchaj pan, jeśli się pan nie przedstawi – odpowiedziałem – nie będę mógł panu pomóc.

– To pilne – nalegał.

– Posłucha pan, mam mnóstwo pracy – powiedziałem. Nie była to prawda, ale zazwyczaj taka wymówka przyspieszała sprawę. – Proszę się przedstawić. Nie mogę czekać cały dzień.

– Nie mogę przez telefon – powiedział głos. – To niebezpieczne.

Ortiz wyszedł ze swojego gabinetu. Zaintrygowało go, że tak długo rozmawiam przez telefon.

– Kto dzwoni? – zapytał Ortiz. – Daj mi słuchawkę.

– To nic ważnego – powiedziałem zakrywając mikrofon – Dzwonią z kostnicy.

Ortiz wrócił do gabinetu i zamknął drzwi. Nie chciał mieć nic wspólnego z trupami.

– Halo, nie będę czekał cały cholerny dzień. Proszę powiedzieć, czego pan

potrzebuje.

– Hidalgo mówił, że można ci zaufać – odpowiedział głos. – Na pewno?

Te słowa nieco mnie zaniepokoiły. Hidalgo był rektorem Uniwersytetu Alicante, a wcześniej moim profesorem na wydziale. Nasza znajomość wykraczała nieco poza normalne stosunki pomiędzy studentem a wykładowcą. Szczerze mówiąc jednak, nie miałem od niego żadnych wiadomości, od kiedy objął stanowisko. Z nieznanym mi przyczyn wolał zapomnieć o naszej zażyłości.

– Tak.

– Więc spotkajmy się – odpowiedział mężczyzna. Tajemniczy rozmówca podał mi adres miejsca, którego kompletnie nie znałem. Dorzucił kilka wskazówek, jak się do niego dostać i szybko się rozłączył.

Złapałem długopis oraz notes i szybko wymaszerowałem z biura bez pożegnania.

Słońce grzało niemilosiernie, gdy szedłem portowym nabrzeżem do mojego samochodu – Seata Ibizy GTI, prawdziwego sprintera, a zarazem dobrego (choć mało wygodnego) miejsca na randkę.

Odpalilem silnik. Odtwarzacz uruchomił się samoczynnie. Z głośników popłynął utwór Led Zeppelin „I'm gonna leave you”. Na myśl przyszła mi Patrycja z tym swoim okropnym chłopakiem. Widziałem ich kilka dni temu, jak całowali się ostentacyjnie w jednym z okolicznych barów. Patrycja to moja była dziewczyna.

W nagłym przypływie złości wyszarpnąłem kasetę z obudowy i wyrzuciłem przez okno.

– Wal się zdiro! – krzyknąłem na cały głos i roześmiałem się gorzko. Przechodząca obok kobieta z dziećmi spojrzała z wyrzutem w moją stronę i nazwała mnie chamem.

Cóż, takie jest życie, taki jestem ja.

Otworzyłem schowek pasażera i wyjąłem okulary przeciwsłoneczne – byłem gotów stawić czoła losowi.



## 2

Zgodnie z instrukcjami, wyjechałem z miasta drogą prowadzącą na południe. Za oknem rozpościerał się barwny krajobraz wybrzeża. Klimat Alicante łagodził lejący się z nieba żar. W mojej ulubionej stacji, Radio 3, grał Coltrane. Radio było ostatnim funkcjonującym reliktem starej dobrej technologii. Świat stał się miejscem ulotnym, pełnym hipokrytów zaabsorbowanych anglicyzmami, siecią 5G i megabajtami. Miejscem, w którym nie chodziło się do kina, bo wygodniej było obejrzeć film w domu. Wielki ekran, po boomie lat dziewięćdziesiątych, przestał cieszyć się zainteresowaniem. Ja chodziłem do kina tylko wtedy, gdy było bezpłatne lub zaprosiła mnie do niego jakaś dziewczyna. Nie mogłem pozwolić sobie na takie luksusy, a moja filozofia życiowa stawiała butelkę dżinu ponad Bradem Pittem i Edwardem Nortone. Czytałem klasyki, bo nic innego nie udawało mi się wypożyczyć w miejskiej bibliotece. Spędzałem dnie zamknięty w pokoju pośród zielonych puszek piwa Mahou i książek z niebieską pieczętką. To tłumaczy, dlaczego kobiety wolały spotykać się z innymi. Nie osądzałem ich. Tak naprawdę kochałem je wszystkie, bez wyjątku. Patrycja obeszła się ze mną źle i nigdy jej tego nie wybaczę. Pozostałe kobiety zawsze darzyłem szacunkiem i jeśli wybierały innego mężczyznę, to potrafiłem to uszanować. Sam czasami postępowałem podobnie. Tak to już jest w życiu: raz na wozie, raz pod wozem. Poniosłem już tyle porażek, że serce miałem jak z żelaza.

Coltrane dał z całych sił w trąbkę, a ja rozkoszowałem się widokiem

mijanej plaży Urbanova. Muzyka jazzowa zawsze mnie zachwycała i wprawiała w dobry nastrój. Nie było to wcale związane z powracającą modą na Milesa Davisa i fakt, że jazz ostatnimi czasy stał się czymś więcej niż tylko dobrym tłem do bzykania lub upijania się w barze. Moda mało mnie obchodziła, jednak odpowiadało mi, że jazz wreszcie stał się popularny, bo mogłem go słuchać jeszcze częściej. Był wszędzie, ale niewielu naprawdę się nim fascynowało. Sam miałem tylko kilka płyt i nie zamierzałem kupować więcej. Wystarczało mi radio w domu i w samochodzie. Gdy zaś nie byłem w żadnym z tych miejsc, zaczynałem nucić bezwiednie utwory, jak zwariowany staruszek podróżujący autobusem.

Po kilku minutach dotarło do mnie, że chyba się zgubiłem. Nie poznawałem tej okolicy. Gdziekolwiek spojrzałem, rozciągała się pustynia. Zadzwoiła moja stara komórka. Spojrzałem na ekran – to był Ortiz. Wyłączyłem aparat i rzuciłem na tylne siedzenie. Byłem na podrzędnej, asfaltowej szosie prowadzącej donikąd, daleko od autostrady. Droga pięła się w górę i ginęła za horyzontem. Nagle w oddali coś spostrzegłem. Był to dwupiętrowy budynek z małym parkingiem. Wentylator rzeził, a ja pocilem się jak świnia.

– To musi być tam – powiedziałem do siebie. Często mówiłem na głos. To utrzymywało mnie przy zdrowych zmysłach. Ruszyłem w stronę budynku. Rysowała się przy nim coraz wyraźniej ludzka postać. Na placu stał gruby, łysy mężczyzna, spocony jak szczur. Bawełnianą chustką ocierał pot z czoła i dorodnego, podwójnego podbródka. Ubrany był w marynarkę i białą koszulę, która ledwie zakrywała brzuch.

Zaparkowałem, wzniesając za samochodem obłok kurzu. Jąłowy krajobraz przypominał mi scenę z filmu kręconego na amerykańskiej pustyni.

Podszedłem do mężczyzny. Był niespokojny.

– Gabriel Caballero? – zapytał.

– Prosiłem, żeby tak do mnie nie mówić – odpowiedziałem i uściśnięm śliską jak rybia łuska dłoń. – Lepiej przejdźmy na ty.

– Jak pan sobie życzy – powiedział grubas.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytałem. Upał stawał się coraz bardziej nieznośny. – Rzykuję pracę.

– Lepiej wejdźmy do środka – odparł. – Ugotujemy się tutaj.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem mały szyld. Gdy weszliśmy do środka, potwierdziły się moje obawy. Znajdowaliśmy się w starej masarni, w której panował charakterystyczny dla takich miejsc smród mięsa i środków sterylizacyjnych. Nieznośny fetor nie pozwalał oddychać. Zrobiło mi się niedobrze i poczułem zawroty głowy. Nie znośłem widoku krwi, mdliło mnie na samą myśl o niej. To był mój słaby punkt. Każdy z nas go ma. Moja babcia zawsze chciała, abym został lekarzem. Nawet tuż przed śmiercią mi o tym przypominała. Z moją awersją do tej obrzydliwej cieczy raczej jednak nie poradziłbym sobie w tym zawodzie. Zawiodłem babcie. W sumie, to nie tylko ją.

Silny zapach mięsa wypełnił moje płuca. Przed oczami miałem mroczki. Wzięłem głęboki oddech. Nie chciałem zemdleć w obecności tego typka.

– Tu jest jak w piekle – rzuciłem.

– Idzie się przyzwyczać – odpowiedział mężczyzna i uśmiechnął się. – Zapach staje się częścią ciebie. Jakbyś wchłaniał duszę każdego uśmiercanego zwierzęcia.

– To odrażające – powiedziałem i wyobraziłem sobie stado zwierzęcych duchów przelatujące nad naszymi głowami. – Czy mogę zapalić?

– Chyba pan żartuje? – odpowiedział urażony.

– Nie, nie wiem – odpowiedziałem. – Ten upał... To mogę, czy nie?

– Jasne, że nie – odpowiedział. – Nie może pan. Nikt nie może dowiedzieć się, że tu byliśmy.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem wycelowane w nas kamery monitoringu.

– Jasne – odpowiedziałem z przekąsem.

– Proszę przejść ze mną do biura – przerwał mi. Ruszył metalowymi schodami prowadzącymi na pierwsze piętro. Gdy wspięliśmy się na samą górę, moim oczom ukazała się panorama całej fabryki. Robiła wrażenie. Pode mną znajdował się aluminiowy lej wielkości basenu. Zajmował sporą część fabryki. W jego środku znajdowały się dwa metalowe ostrza osadzone na wale.

– Co to jest? – zapytałem.

– Najlepszy na rynku – odpowiedział z dumą. – Mógłby bez problemu zmielić byka w kilka sekund.

Wyobraziłem sobie, jak biedne zwierzę wpada do środka urzędnika i momentalnie ginie pod ostrzami rozdrabniacza.

– Czego pan chce ode mnie? – rzuciłem.

– Proszę wejść – powiedział, zapraszając mnie do swojej kanciapy.

Była to mała klitka z oknem, przyozdobiona flagą Hiszpanii oraz kalendarzem z traktorami.

– Dziękuję, że przyjechałeś.

– Nie za wcześnie na podziękowania?

– Chcę przyznać się do popełnienia zbrodni – wyznał mężczyzna. – Zabiłem niewłaściwą osobę.

Przez myśl przemknęło mi, że żartuje.

– O czym pan mówi? – zapytałem.

– Zmusili mnie do tego – odparł. – Hidalgo doradził mi, żebym panu o tym opowiedział.

– Mnie? – zdziwiłem się. – Dlaczego? Skąd pan zna Hidalgo?

– Pan pracuje w gazecie? Tak?

– Słuchaj pan, jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to lepiej powiedzieć o tym policji. Wie pan... Mam dość swoich zmartwień...

– Oni chcieli, cholera... – powiedział. – Musi mi pan pomóc.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Hidalgo powiedział mi, że mogę na pana liczyć.

– Hidalgo, Hidalgo... – mruknąłem. Ten facet działał mi na nerwy.

– Co on panu, do cholery, naopowiadał?

– To dobry przyjaciel, dobry człowiek – powiedział typ, akcentując każde słowo. – Dlatego nie mogę wciągać go w kłopoty... Ale pan musi mi pomóc. Jest pan przecież jego przyjacielem, panie Caballero, prawda?

Kim są ci „oni”? Mężczyzna powtarzał się. Jeśli chciałem się czegoś dowiedzieć, musiałem być bardziej asertywny. O co w tym wszystkim chodzi?

– Słyszają nas – powiedział, kierując palec w górę. Spojrzałem w tę stronę, ale niczego nie zobaczyłem. Ten człowiek działał mi na nerwy. Już miałem wyjść, gdy wreszcie podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wyjął z niej żółtą kopertę. – Proszę mi pomóc i ją wziąć. W środku jest wszystko, czego pan potrzebuje.

Wręczył mi kopertę.

– Co to jest? – zapytałem.

– Powinno wystarczyć.

Zajrzałem do środka. W środku były tylko banknoty.

– Chce mnie pan przekupić? – zapytałem. – Pomylił pan osoby.

– Weź to, do cholery!

Postanowiłem mu zaufać, złożyłem kopertę na pół i schowałem w tylnej kieszeni spodni.

Mężczyzna roześmiał się i ponownie otarł pot z czoła.

– Z czego pan się teraz śmieje – zapytałem.

– Hidalgo miał rację – odpowiedział. – Jesteś pan idiotą, prawdziwym idiotą.

– Zaczyna mnie pan wkurzać... – powiedziałem. – Proszę liczyć się ze słowami.

Zignorował moje słowa. Wyszedł z biura i wcisnął czerwony guzik na tablicy rozdzielczej, wiszącej na betonowej kolumnie.

Śruba rozdrabniarki zaczęła poruszać się i nabierać coraz większej prędkości. Silnik ruszył pełną parą. Piekielny hałas rozsadzał bębrenki w uszach.

Mężczyzna, mimo swojej nadwagi, wspiał się zwinnie na metalową barierkę. Zamurowało mnie. Grubas zaczął machać rękami, z trudem utrzymując równowagę.

– Życzę panu szczęścia... – powiedział, patrząc mi w oczy. – I niech pan zapamięta: nie chciałem zabić tej dziewczyny.

Gdy skończył, skoczył w dół – tak jak stał: w ubraniu, w butach i przepeconej koszuli. Ruszyłem mu na ratunek, ale było za późno. Ten widok na zawsze pozostanie w mojej pamięci: grubas, spadający bezwładnie jak worek mąki, ćwiartowany jak kurczak i rozcierany niczym masa makowa.

Najpierw usłyszałem chrupot kości, a po chwili fontanna krwi zbryzgała ściany. Zwymiotowałem. A potem znowu. I jeszcze raz. Osłabiony nudnościami i przerażony tym, czego właśnie byłem świadkiem, w końcu nacisnąłem guzik. Maszyna zatrzymała się. Zbiegłem po schodach i nie oglądając się za siebie opuściłem fabrykę.

Wycieńczony padłem na kolana.



### 3

Nie za bardzo pamiętam, co wydarzyło się później. Byłem wykończony, a przed oczami ciągle miałem postać tamtego mężczyzny. Postanowiłem spędzić resztę popołudnia w barze i upić się na umór. Było mi ciężko i nie wiedziałem, do kogo mógłbym zadzwonić. Po prostu nie dawałem rady. Nie mogłem wciągnąć w tę historię mojej rodziny ani nikogo z i tak już niewielu przyjaciół, którzy mi pozostali. Przyjmując kopertę od tamtego gościa, na dodatek w obecności kamery, zachowałem się jak idiota, kompletny dureń. Być może na skutek dużej ilości wypitego alkoholu, przyszło mi do głowy nie do końca racjonalne rozwiązanie. Powinienem wrócić i zniszczyć wszelkie dowody, zanim przyjedzie policja. Fabryka znajdowała się na uboczu, ale mógł tam w każdej chwili zajrzeć z ciekawości przypadkowy turysta.

Cała ta dziwna sytuacja mnie przerastała, jednak coś w duszy podpowiadało mi, że wszystko będzie dobrze. A przynajmniej chciałem w to wierzyć.

Zamówiłem drugie piwo i kawałek tortilli. Włączyłem telefon. Miałem nieodebrane połączenia od Ortiza i wiadomość od Manueli, w której pytała, jak mi idzie praca.

Uwielbiałem Manuellę. Za tę dziewczynę dalbym się poćwiartować. Była sympatyczna, ale nie do końca wiedziałem, o co jej chodzi. Mieszkała w Madrycie i pracowała w małym wydawnictwie. Była moją muzą na studiach. Wydatny biust, słodka i łagodna twarz, a nogi tak długie, że można się było

zatracić w fantazjach o ich pieszczenu. Długo po skończeniu studiów nie miałem od niej znaku życia, aż pewnego dnia, podpita, niespodziewanie do mnie napisała. Nie łączyło nas zbyt wiele, bo raczej gustowała w dojrzałych mężczyznach z klasą. Nie mieściłem się w tej kategorii i może właśnie to oszczędziło nam cierpienie. Wyszliśmy na miasto parę razy, aż pewnej nocy, pijani, przespaliśmy się w nadmorskim pensjonacie. Przytulaliśmy się i kochaliśmy do rana. Potem odwiozłem ją do domu. Drugie spotkanie było lepsze, bardziej intensywne, gwałtowniejsze. Manuela lubiła seks ze mną, a ja z nią. Razem bawiliśmy się doskonale. Była dla mnie przepustką do świata, do którego nie miałem dostępu i którym mało się interesowałem. Ale odrobina odmiany, od czasu do czasu, nie mogła mi przecież zaszkodzić. Wydawnictwa, światki pisarzy z Madrytu, Barcelony i el Poble Nou. Rozpieszczeni synalkowie mamusi, modnisie z Malasaña. Narkotyki. Gin z tonikiem i ogórkiem, książki Foucaulta, filmy Felliniego i aparycja Jean-Pierre'a Léauda.

Chętnie się tym, że czyta gazety, czego ja nie robiłem nigdy, mimo że pisałem do jednej z nich. Byłem dziennikarzem z zawodu, płacili mi za to. Wcale nie oznaczało to jednak, że podobało mi się to, co robię. Już na studiach, po lekturze Kapuścińskiego, Toma Wolfe'a i Pedro J. Ramireza, znudziły mi się klasyczne reporterskie tematy.

Kręciło ją to, że nie byłem z jej świata. I wyla jak hiena, gdy przypierałem ją do wezglowia łóżka. Była słodka. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nigdy nie będziemy razem i że nasza znajomość jest przelotna.

Jakiś czas później dowiedziałem się, że już wtedy miała chłopaka. Spotykała się z podstarzałym Asturyjczykiem. Ponoć mieszkali razem w Madrycie.

Ucieszyłem się na wiadomość od niej i od razu odpowiedziałem. Manuela była sama w Alicante i chciała się ze mną spotkać.

Pojawiła się w barze godzinę później. Nie ruszając się z miejsca, pocałowałem ją dwa razy. Z trudem utrzymywałem równowagę.

– Aj, Manuela... Kiedyś byliśmy nie do okiełznania. – powiedziałem, gdy rozmawialiśmy o życiu przy zaserwowanej przez kelnera porcji krokietów.

Zaśmiała się i włożyła przysmak do ust.

– *C'est la vie*, Gabriel – powiedziała ze sztucznym akcentem. Zabrzmiało to okropnie. Powstrzymałem się od komentarza wyłącznie przez wzgląd na obfity

dekolt, na który właśnie miałem piękny widok. – Ludzie się zmieniają.

– Ja nie – wybelkotałem i zmrużyłem oczy. – Ja się starzeję, ale nie zmieniam się.

– Oby każdy mógł tak powiedzieć – odpowiedziała.

Chwyciłem ją wpół i chciałem pocałować w usta. Manuela zrobiła unik i mój pocałunek wylądował na jej policzku.

– Gabriel – powiedziała uśmiechnięta. – Zachowuj się.

– Szach mat – odpowiedziałem zmieszany. – Przypuszczam, że to koniec, prawda?

– Nie bądź melodramatyczny – odpowiedziała zawstydzona. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– I to na zawsze – dodałem, upijając łyk piwa. – Razem dobrze się bawiliśmy.

– Aż za dobrze – odpowiedziała. – Muszę iść, Gabriel. Podrzucić cię gdzieś?

Mój telefon ponownie zawibrował.

To był Ortiz. Język mi się plątał, ale mimo to odebrałem.

– Co się dzieje? – zapytałem i pokazałem gestem Manuely, żeby na mnie nie czekała. Pożegnała się ze mną pocałunkiem w policzek, szepnęła na ucho, abym dbał o siebie, i wyszeptala bezgłośnie, że do mnie zadzwoni. Z drugiej strony słuchawki, wyraźnie podekscytowany czymś Ortiz krzyknął tak, że prawie spuchło mi ucho.

– Gdzie ty się do cholery podziewasz? – zapytał. – Mam nadzieję, że masz jakąś dobrą wymówkę.

– Nie mogę teraz rozmawiać, szefie – odpowiedziałem. – Poza tym, nie dajesz przecież wiary wymówkom.

– Rób, co chcesz – odpowiedział. Był czymś przejęty. – Wpadnij rano do mojego biura. Pytali o ciebie.

– Kto?

– Lepiej się wyśpij. Cześć – powiedział i rozłączył się.

Zapłaciłem i z trudem powlokłem się do domu. Ulica wirowała mi przed oczami jak karuzela. Chłopcy gotowi na imprezę, zapach tanich perfum i smród zepsutych ryb, wydobywający się ze styropianowych skrzynek przy

Mercado Central. Obskane rogi budynków, dym marihuany, kilka prostytutek w drzwiach hostelu. W wejściu do jednego z lokali grupka łysoli ubranych w wojskowe glany i koszulki polo marki Fred Perry zapięte po samą szyję. Całodobowe bary, naćpani narkomani żebrzący na chleb i strzał heroiny; Afrykanie handlujący nielegalnie alkoholem w barze z hamburgerami, zapach przypalonego oleju. Melanż kulturowy imigrantów, miejscowych i turystów; wszyscy razem na jednej ulicy, zmierzającej leniwie ku arenie walki byków. I ja, niezauważany albo po prostu jeden przechodzień więcej. Zatęchłe letnie powietrze, duszące i wilgotne.

W oknach mieszkań na mojej ulicy widać było tylko blask włączonych telewizorów. Odgłos wieczornego filmu odbijał się echem po podwórkach i placach.

Zamarzyłem o jajkach sadzonych, ale przypomniałem sobie, że już wszystkie zjadłem.

Rano zerwał mnie z łóżka budzik w telefonie. Z trudem otworzyłem oczy. Poruszyłem głową i poczułem tępy ból, jak po uderzeniu młotem. Byłem odwodniony.

Wziąłem szybki prysznic i z pustym żołądkiem pobiegłem do redakcji.

Mdłości, słabość. Natrętne myśli z powodu braku porannego papierosa. Przekleci kierowcy autobusów, damskie perfumy, litry wody kolońskiej, której zapach osłabiłby każdego.

– Ale masz minę – skomentował Ramiro, jeden z redaktorów. – Szef na ciebie czeka.

Ruszyłem w stronę biura Ortiza. Założyłem okulary przeciwsłoneczne.

Zapukałem dwukrotnie i wszedłem.

Ortiz miał zatroskany wyraz twarzy. Tego ranka wydawał się jeszcze bardziej łysy niż był w rzeczywistości.

– Wyglądasz strasznie – powiedział Ortiz. – W takim stanie nie powinieneś pokazywać się w redakcji.

– Jak to? – zapytałem zbity z tropu. – Przecież chciałeś mnie zobaczyć.

– Siadaj i mnie nie wkurzaj – syknął. Posłuchałem. – Dzwonili z policji i pytali o ciebie.

Cholera.

Zupełnie o tym zapomniałem.

Oczami wyobraźni już widziałem, jak policjant wali mnie pałką w brzuch, a ja padam na podłogę. Wczorajszy zamiar upicia się do utraty przytomności przyniósł zamierzony efekt. Miałem gigantycznego kaca, a na domiar złego, teraz zacząłem się jeszcze do tego wszystkiego pocić z nerwów. Upał był nie do wytrzymania, a zawartość żołądka co rusz podchodziła mi do gardła.

– Czego chcieli? – zapytałem i sięgnąłem po butelkę wody stojącą na biurku Ortiza.

– Rozmawiać z tobą... – odpowiedział i spojrzał na mnie spode łba. – Na Boga, Gabriel, co tym razem nawywijałeś?

– Przysięgam, że nic – odpowiedziałem. – Nie wiem, o co chodzi.

– Zobaczymy... – odpowiedział wkurzony. – Albo opowiesz o tym mnie, albo sam im to wyśpiewasz. Masz problem. Chcę ci tylko pomóc.

– Wpakowałem się w kłopoty, tak?

– Dokładnie.

– Kurwa! – krzyknąłem i złapałem się za głowę.

Zawibrowała prywatna komórka Ortiza.

Spojrzał na ekran i odczytał wiadomość.

Następnie wyciągnął z szuflady butelkę koniaku i wlał odrobinę trunku do kawy. Wziął długi łyk i otarł wąsy.

– Idź i powiedz im prawdę – powiedział spokojnie. – Jeśli niczego nie zrobiesz, to jesteś niewinny. Idź i powiedz im, co wiesz. Nie mogą cię oskarżyć.

– Ot tak, po prostu, mam iść i opowiedzieć o wszystkim? – powtórzyłem za nim.

– Tak – odpowiedział.

– Zwolnisz mnie? – zapytałem. Wydawało się, że rozmowa dobiega końca.

– Nie – odpowiedział. – Nie mogę cię zwolnić. Jestem tylko szefem redakcji... Ale na twoim miejscu zacząłbym...

– Do zobaczenia – przerwałem mu, wstałem i wyszedłem z pokoju.

Chmura emocjonalnego napalmu, która unosiła się nad moją głową, wystarczyłaby teraz z pewnością do eksterminacji całego narodu. Wbrew

radzie Ortiza, postanowiłem w pierwszej kolejności skorzystać z porannego lipcowego słońca i chwilę odpocząć. Potrzebowałem tego. Udałem się do jednej z moich ulubionych kawiarni na esplanadzie. Usiadłem przy metalowym stoliku i zamówiłem piwo oraz kanapkę z szynką i wtartym pomidorem. Byłem głodny, a posiłek mógł dać mi siłę, napęlić optymizmem i pomóc pokonać kolejny moment zwątpienia.

Zamknąłem oczy i zwróciłem twarz w kierunku słońca. Zamyśliłem się. Nagle jakiś cień przesłonił mi słońce.

Otworzyłem oczy. Przy moim stoliku usiadł dobrze zbudowany mężczyzna. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na mnie mało przyjaźnie zza opuszczonych na nos pilotek.

– Można wiedzieć, co pan robi? – zapytałem.

– Pan Gabriel Caballero? – powiedział grobowym tonem. – Nie myślę się?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie myli się pan. Kto pyta?

– Inspektor Rojo – odpowiedział i wyciągnął odznakę – z wydziału zabójstw.

– Skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć?

– Od pana szefa.

– Sukinsyn.

– Chciałbym, żeby pan poszedł ze mną i złożył wyjaśnienia – powiedział mężczyzna.

– W tej chwili nie mogę – odpowiedziałem. – Jestem zajęty, inspektorze.

– Właśnie widzę... – rzucił policjant. – Dobrze. W takim razie jeszcze się spotkamy.

– O co chodzi? – zapytałem naiwnie.

– Proszę jeść spokojnie, bo się pan udławi – odpowiedział i oddalił się. Wsiadł do samochodu, w którym czekał na niego drugi funkcjonariusz. Ruszyli z piskiem opon w kierunku San Juan i zniknęli w oddali.

Straciłem apetyt.



## 4

Ostatnio życie nie układało się po mojej myśli, ale moja obojętność wobec problemów sprawiała, że na krótką metę wszystko stawało się prostsze. Staralem się żyć teraźniejszością. Niektórzy z tym przesadzali. Kluczem do sukcesu było znalezienie równowagi, jak linoskoczek, który chodzi po linie. Trochę teatru, trochę improwizacji, ale resztę dnia stąpając twardo po ziemi i czasami wdeptując w gówno. Tak to widziałem od zawsze.

Stałem w drzwiach komisariatu policji. Byłem już tutaj wiele razy, ale po raz pierwszy sprawa dotyczyła mnie osobiście. Spytałem funkcjonariusza, gdzie znajdzie inspektora i po chwili Rojo wystawił głowę z jednego z pomieszczeń na końcu korytarza. Pomachał ręką i zaprosił mnie gestem do siebie. Ruszyłem w jego kierunku. Po drodze mijalem cygańskie rodziny, lyse karki, pijaną młodzież i kieszonkowców. Jakiś mężczyzna zgłaszał kradzież komórki, a inny przyznawał się do poderżnięcia gardła koledze z pracy. Była też kolejka ludzi usiłujących odzyskać swoje rzeczy. Śmierdziało wilgocią, potem i dymem papierosowym zmieszany z aromatem sztucznej kawy z automatu. Komisariat przypominał psie schronisko dla ludzi.

Wszedłem do dużego pokoju z biurkami, na których stały komputery i płaskie monitory. Było tu o wiele czystszej i schludniej niż w naszej redakcji. Pachniało męskim potem, nową wykładziną, materiałami biurowymi i środkami czystości. Inspektor wskazał mi krzesło przy swoim biurku. Na okiennym parapecie stała oprawiona fotografia króla, a obok wisiała

hiszpańska flaga.

Na biurku Rojo zobaczyłem zdjęcie kobiety z kręconymi blond włosami i dzieckiem na rękach. Nie było na nim inspektora, stąd wywnioskowałem, że to jego żona, siostra lub inna ważna dla niego bliska osoba.

Inspektor najpierw sprawdził moje dane i dowód osobisty. Miałem czystą kartotekę. Nigdy nie wpakowałam się w żadne kłopoty, z wyjątkiem długu zaciągniętego w wypożyczalni filmów BlockBuster.

– Przejdę od razu do sedna – powiedział. – Skąd pan znalazł pana Rocamorę?

– Nie znałem go – odpowiedziałem. – Ani trochę, naprawdę. Po co mnie wezwaliście? Żeby tracić czas?

Rojo przez chwilę coś notował. Znałem tę sztuczkę. Po wypowiedzi rozmówcy udajesz, że coś zapisujesz. Wszystko po to, aby wywołać atmosferę niepewności. Na mnie to nie działało.

– Znalaziono Rocamorę... – powiedział i pokazał mi zdjęcie resztek grubasa. – Pan ma z tym bezpośredni związek.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odpowiedziałem. – To on do mnie zadzwonił.

– I czego chciał?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Pierwszy raz widziałem tego człowieka na oczy.

– Co mówił?

– Nic.

– Coś musiał panu powiedzieć – rzekł policjant. – Co było w kopercie?

– Jakiej kopercie? – zapytałem naiwnie.

– Żółtej kopercie, którą panu wręczył – nalegał.

– Nie wiem, o czym pan mówi, inspektorze.

Rojo wykonał kilka kliknięć na swoim komputerze i odtworzył film. Na samym początku pojawiłem się ja patrzący w kamerę. Następnie znowu ja, w biurze grubasa, biorący do ręki kopertę i wkładający ją do kieszeni.

Inspektor zatrzymał film.

– Proszę nie robić ze mnie idioty – powiedział. Był wyraźnie poirytowany tym, że go okłamuje.

– Dał mi kopertę z pieniędzmi – wyznałem. – Powiedział, że muszę

napisać artykuł. Myślałem, że w kopercie będą zdjęcia, ale...

– Artykuł?

– Jestem dziennikarzem – odparłem. – Nie wiedział pan?

– Nie bądź taki sprytny – powiedział, po raz pierwszy zwracając się do mnie na ty.

– Chciał zgłosić przestępstwo – ciągnąłem dalej. – Doradziłem mu, żeby udał się na policję, ale mnie nie słuchał.

– Co się stało później?

– Przecież pan wie.

– Nie rozumiem.

– Rzucił się w dół – wyjaśniłem. – Najbardziej zdziwił mnie jego wyraz twarzy. Nie wyglądał na skrzeszonego, nawet się nie bał. Reszta to... papka.

– Wystarczy – powiedział. Inspektor zauważył moje zdenerwowanie. Nie mogłem powstrzymać natłoku idiotycznych dowcipów, którymi próbowałem zatuszować kielkujące we mnie obawy. – Dlaczego zadzwonił do pana?

– Tego to nie wiem – skłamałem powtórnie. Ponownie zapisał coś w swoim notesie. – Mówię panu prawdę. Musi mi pan uwierzyć, inspektorze.

– Zrobię, co uznam za słuszne – odparł. – Jest pan głównym podejrzanym o zabójstwo. Przypuszczamy, że nie było to samobójstwo.

– Dlaczego miałbym go zabić? – zapytałem zdziwiony.

– Pan mi to powie.

– Pomylił pan osoby – powiedziałem. – Takie gadki nie robią na mnie wrażenia. Piszę po to, aby przekazywać prawdę, a nie po to, by cieszyć się z cudzych nieszczęść.

– Pan pisze o zmarłych – powiedział.

– Ale nie zmyślam faktów – odpowiedziałem.

– Czy powodem były pieniądze?

– Pan żartuje? – zapytałem. – Pieniądze może pan zatrzymać. Dał mi je z własnej woli. Myli się pan co do mnie, panie władzo.

– Pewnie – powiedział spokojnie. Drań wyglądał na rozbawionego.

– Nie jestem tym, kogo szukacie – odpowiedziałem. – Policja, oskarżając mnie, popełnia błąd.

– Spokojnie, panie Caballero – odpowiedział i uniósł ręce. – Nie oskarżamy

pana. Jeśli jest pan niewinny, zostawimy pana w spokoju. Jeśli dowiemy się, że jest pan sprawcą zbrodni, osobiście zajmę się pańską sprawą.

– Powiniennem mieć adwokata! – odpowiedziałem. – Gdzie jest protokół?

– Wrócimy do tego jutro – powiedział policjant. – To poważna sprawa, a nie jakieś blahe przewinienie.

– Mogę iść?

– Tak, to wszystko – zawyrokował. – Trafi pan do wyjścia.

– Bardzo pan uprzejmy – odpowiedziałem ironicznie i podniosłem się z krzesła, udając urażonego. W rzeczywistości jednak byłem przerażony. Policjant mówił poważnie. Już widziałem siebie za kratami, w celi razem z wytatuowanym trollem, który gwałci mnie w przerwach na odpoczynek. Byłem dziennikarzem. Wypatroszyliby mnie. Nie byłem gotowy na więzienie.

– I niech pan nie robi głupot! – krzyknął wychylając się za mną ze swojego biura. – Będę mieć pana na oku!

Szedłem korytarzem, bez przerwy oglądając się za siebie, przez co nie zauważyłem idącego z przeciwległej strony dobrze ubranego, siwego mężczyzny w asyście policjanta. Wszedłem im w drogę. Zderzyliśmy się. Poczulem lekkie uklucie w ramię.

– Cholera jasna! – jęknąłem.

– Przepraszam! – powiedział mężczyzna. – Nie zauważyłem pana.

– Co to było? – zapytałem.

– To przez zegarek, muszę go naprawić – odpowiedział. – Proszę wybaczyć...

Mężczyzna ruszył dalej korytarzem, rzucając w moją stronę przeprosiny.

Wszedłem z budynku i włożyłem rękę do tylnej kieszeni spodni. Wymacałem żółtą kopertę. Cholera, zapomniałem zostawić ją w domu. Zerknąłem na ramię. Było zaczerwienione.

Założyłem okulary przeciwsłoneczne, zapaliłem papierosa i szybko oddaliłem się od komisariatu, w obawie, że inspektor jeszcze zmieni zdanie.

Zrobiło się późno, a ja miałem sporo rzeczy do załatwienia. Czulem taką złość, że ogarnęła mnie przemożna chęć, by wpaść do gazety, otworzyć drzwi z kopniaka, chwycić łysy łeb Ortiza i walić nim o biurko tak długo, aż rozleci się w drobny mak. Nie mogłem więc pójść do redakcji, bo to mogłoby wiązać

się z dość szybkim powrotem na komisariat w radiowozie.

Pewnego dnia jednak dam upust moim fantazjom.

Tik-tak, Ortiz. Twoje godziny są policzone.

Zamiast tego poszedłem do pobliskiego baru, usiadłem przy ladzie i zamówiłem whisky z colą – najtańszą, jaką mieli. *Victoria!* Byłem uratowany. Kelner spojrział na mnie pogardliwie, jak na jakiegoś pijaka. Zapłaciłem trzy euro i wypilem drinka zanim skończyły się wiadomości telewizyjne. Zamówiłem drugiego i od razu poczułem się trochę zrelaksowany. Słońce przygrzewało, ludzie wychodzili z pracy, a z plaży wracały dziewczyny w szortach i obcisłych stanikach.

Między jednym łykiem, a drugim, zastanawiałem się, dlaczego właściwie kryłem Hidalgo, rektora Uniwersytetu Alicante. Byliśmy przyjaciółmi, przebalowaliśmy wiele nocy, ale od jakiegoś czasu nie mieliśmy żadnego kontaktu. Dziwnym zbiegiem okoliczności nasza znajomość urwała się, gdy Hidalgo, w przeciwieństwie do mnie, stał się kimś ważnym.

Wyjąłem telefon i bez zastanowienia wybrałem jego numer.

Chwilę trwało, zanim odebrał.

– Słucham? – zapytał. Poznałem jego głos.

– Antonio?

– Tak, to ja – odpowiedział. – Kto mówi?

– Tu Gabriel – odparłem. – Pisarz, twój przyjaciel.

– No nie, Gabriel, kopa lat... – powiedział. Raczej nie ucieszył go mój telefon. – Dzwonisz nie w porę. Nie mogę teraz rozmawiać, ale zadzwonię do ciebie później. Dobrze?

– Musimy się spotkać, Antonio – powiedziałem. – Dzisiaj.

– Naprawdę, nie mogę – powiedział. – A o co chodzi?

– Nie dzwoniłbym, gdyby nie było to ważne – odpowiedziałem. – Po tym wszystkim...

– Mam mnóstwo pracy – oświadczył. – Przepraszam, że nie dzwoniłem tyle czasu.

– Daruj sobie – przerwałem mu. – Widzimy się w Desdenie, tam, gdzie zawsze, za godzinę.

– Za godzinę? – obruszył się. – Nie wiem, czy będę mógł, Gabriel... To

nie jest dobry moment.

– Czekam tam na ciebie – powiedziałem. – Nie zawieźdź mnie.

Rozłączyłem się, wypilem do końca whisky, za którą zapłaciłem kolejne trzy euro. Byłem pijany i gotowy na szczeróć do bólu.

Hidalgo cóś ukrywał. Umówiłem się z nim w naszym ulubionym barze, w którym przetraciliśmy wiele nocy.

Wkróćce dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.



## 5

**P**iękne miasto Alicante powoli zamieniało się w mechaniczną stonogę samochodów i motocykli, które wypełniały spalinami ulicę Gran Via. Niespieszną i zmęczoną. Przy wejściu do dwupiętrowej dyskoteki Mulingan's, doskonałego miejsca na upicie się (przy odrobinie szczęścia – w niewybrednym towarzystwie), stali stłoczeni w kolejce turyści.

Zajrzałem do El Barrio, w którym aż roiło się od epigonów Tony'ego Manero. Komunijne łańcuszki zamienili na bicepsy z siłowni, wojskowe fryzury, plemienne tatuaże i wcięte w taliu koszule. El Barrio, w porównaniu z innymi lokalami w mieście, był prawdziwą oazą dla typków spod ciemnej gwiazdy. Schronieniem dla każdego albo prawie każdego – nad ranem niejeden bywalec kończył z butelką rozbitą na głowie.

Przeciskałem się wąskimi, pachnącymi pizzą i smażonym olejem uliczkami, aż dotarłem do Desdeno, mojego baru z czasów dojrzewania; miejsca, w którym zmarnotrawiłem wiele nocy, upijając się do szaleństwa. Tu poznałem moich idoli: Coltrane'a i Bakera. Tu zakochałem się po raz drugi, trzeci i czwarty. Tu złamano mi serce – i szczękę też. Do tego lokalu przyprowadził mnie Hidalgo. Pamiętam ten dzień, jakby zdarzyło się to dzisiaj.

Nasza przyjaźń była całkowicie pokrecona. Rzadko kiedy profesorowie spoufalali się ze swoimi studentami. Większość wykładowców ograniczała się do prowadzenia zajęć, grzania fotela podczas dyżurów i pobierania pensji na koniec miesiąca. Ale Hidalgo zawsze był inny. Zapisalem się na prowadzony

przez niego kurs pisania kreatywnego i dziennikarstwa. Było lato i z nauką zrobiło mi się trochę pod górkę. To Hidalgo zmobilizował mnie, gdy chciałem zrezygnować. Zaczęło się od spotkań przy kawie przed zajęciami w wydziałowej kawiarni. Rozmawialiśmy o książkach, autorach, o mało interesującym mnie Bukowskim i o nowych studentkach. Wydział dziennikarstwa był oazą pełną pięknych i pociągających syren, które jednak rzadko miały coś ciekawego do powiedzenia. Później dowiedziałem się, że Hidalgo, mimo swojego chrystusowego wieku, był już raz rozwiedziony.

– Decyzje nie w porę. Postępowanie zgodnie z oczekiwaniami innych... – tłumaczył.

Hidalgo był dobrym dziennikarzem. W całym tym obrzydliwym budynku był jedynym wykładowcą, który pracował wcześniej w redakcji El País, El Mundo i w Televisión Española. Znał ludzi wybitnych, ale mówił o nich niewiele i zawsze z dużą pokorą.

Nalegał, abym napisał powieść. Może chciał mnie tylko podnieść na duchu, a może uwolnić się ode mnie na jakiś czas. Sam napisał kilka książek – bardziej dla terapii niż z wyższych pobudek. Nagły rozwód zmobilizował go do napisania trylogii, która już w pierwszych miesiącach od wydania znalazła się na listach bestsellerów. Trylogia nosiła tytuł „Pauza”. Traktowała o profesorze, który zadręczał swoją żonę upiorami z przeszłości. Przeczytałem ją i podobała mi się, ale nigdy mu nie powiedziałem, że według mnie była zbyt osobista. Sam pisałem podobnie.

Od spotkań przy kawie minęło kilka miesięcy. W tym czasie obroniłem tytuł magistra. Niedługo potem zacząłem pracować w gazecie. Pewnego dnia Hidalgo zadzwonił do mnie z propozycją wygłoszenia gadki motywacyjnej dla studentów pierwszego roku. Zgodziłem się. Nie wiem, czy był to dobry pomysł. Stałem przed setką młodych ludzi, których moim zdaniem wcale nie czekała świetlana przyszłość. Chcieli usłyszeć historię, której nie byłem w stanie im opowiedzieć. Usłyszeć przemówienie, które pozwoli im spokojnie studiować przez kolejne pięć lat, a następnie, po zderzeniu z rzeczywistością, zrzucić winę na mnie. Przypomniałem sobie jednak, że widziałem w internecie przemówienia Luthera Kinga i Steve’a Jobsa, z których miałem jakieś notatki. Lawirując więc między Czarnymi Panterami i jabłkowym sprzętem, słabo

przygotowany, rzuciłem się na głęboką wodę z miernym przemówieniem, które zakończyło się wymuszonymi przez wykładowcę oklaskami.

Kiedy po spotkaniu Hidalgo śmiał się ze mnie, ja zawstydzony czyściłem okulary. Zawsze tak robiłem, gdy byłem zdenerwowany i nie miałem gdzie się schować.

Nasza przyjaźń wykraczała poza mury uczelni. Traktowaliśmy się jak partnerzy: bez zbędnych rad i prawienia nauk. On wypowiadał się z pozycji osoby doświadczonej, a ja dopiero zaczynającej walkę w okopach. Nie można sobie wyobrazić gorszej wojny psychologicznej niż codzienna walka z redakcją gazety. Nie ma potworniejszych tortur niż konieczność wysłuchiwanie szefa, gdy to, co ma do powiedzenia, mało cię obchodzi.

Hidalgo przypominał Roberta Redforda z filmu o Nixonie (pewnie z powodu blond włosów i doświadczenia), a ja zbuntowanego Dustina Hoffmana z „Absolwenta”. Zarywaliśmy noce, łamaliśmy serca i kończyliśmy nad świtem przepelnieni melancholią oraz samotnością. Spirala niezdrowych nałogów, którą nakręcaliśmy sami, bez niczyjej pomocy.

Obu nam groziła utrata pracy i wtedy, ni stąd ni zowąd, Hidalgo zniknął z mojego życia.

Dzisiaj myślę, że postąpił słusznie.

Ale wtedy tego nie rozumiałem.

Byliśmy na fali wznoszącej. Wiedziałem, że pewnego dnia stracimy równowagę i rozbijemy się o skały.

W kolejnych miesiącach odstawiłem moje nałogi. Bez Hidalgo i tak nie miały sensu. Żyłem jak Robin bez Batmana, zagubiony i zniewolony przez świat, do którego nie należałem. Od tamtego czasu słuch o Hidalgo zaginął – nawet pół telefonu. Nie odpowiadał na e-maile ani na smsy.

Czułem się źle. Może miałem wyrzuty sumienia z powodu czegoś, czego nie byłem świadom. Sprawy nie układały się najlepiej, zarabiałem mało, a Patrycja zdradziła mnie z jakimś kretynem. Opowiedziałem mu o tym, bo widziałem, że czyta wiadomości ode mnie. Myślałem, że może się zlituje, ale mi nie odpisywał. Właśnie wtedy zrozumiałem, że nasza przyjaźń dobiegła końca. Takie są zasady gry, tłumaczyłem sobie. Takie jest życie. A przyjaźń? Cóż... czymś ulotnym, co nie mogło trwać wieki. Czego się więcej

spodziewać? Nie żywiłem do niego urazy.

Sześć miesięcy później dostałem e-maila z uniwersytetu. To była wiadomość od niego. Pisał, że został rektorem. Pogratulowałem mu i zaproponowałem, aby to uczcić, ale odpowiedział, że nie jest to najlepszy czas na takie rzeczy. Minęło sześć pieprzonych miesięcy, a on nawet po takim czasie potrafił mnie splawić.

Cała ta sprawa z Rocamorą już i tak była śmierdząca, a teraz na dodatek tkwiłem w samym jej środku – stałem w drzwiach Desdenu, słuchając grupy Los Planetas i szukałem na sali sprawcy moich problemów. Spojrzałem na zegarek. Dotarłem za wcześnie, więc czekając na Hidalga zamówiłem piwo.

– Masz Coltrane’a? – zapytałem brodatego kelnera.

– Co? – zapytał.

– Col-tra-ne.

– Nie.

– A możesz puścić jakiś jazz? – spytałem. Muzyka w sali przyprawiała mnie o ból głowy.

– Nie – odpowiedział stanowczo.

– Tam jest napisane „jazz” – powiedziałem i wskazałem na szyld. – Co się stało z tym barem?

Mężczyzna oparł ręce o ladę. Nie miał zamiaru zmieniać muzyki.

– Słuchaj człowieku – odpowiedział poważnie – jest, co jest. Jeśli nie podoba ci się muzyka, możesz zmienić lokal.

– Gdybyś nie stał za barem, to przywalilibym ci w zęby.

– Grozisz mi? – zapytał. Sprawa robiła się poważna. Poczulem zastrzyk adrenaliny. – Lepiej sobie idź.

– Wal się! – chwyciłem butelkę i cisnąłem nią o podłogę. Zrobiłem scenę. Potłukłem szklanki i rozlałem piwo na podłodze.

Mimo 27 lat nadal nie potrafiłem trzymać języka za zębami. Ciągłe byłem idiotą. Zawsze nim byłem i będę. Paplą, w gorącej wodzie kąpaną, z niewyparzoną gębą.

Opuściłem lokal w towarzystwie spojrzeń gości i ruszyłem, jak samotny kowboj, wzdłuż ulicy Labradores w kierunku Concatedral.

– Co ja teraz ze sobą zrobię? – spytałem samego siebie. Stojąc na środku

ulicy, w jednym z barów z kebabem dostrzegłem przez witrynę półkę uginającą się pod ciężarem butelek. Lokal był pełen podchmielonej młodzieży. Wszedłem do środka i zamówiłem whisky z colą za trzy euro. Zapisalem nazwę baru i wysłałem SMS-aa do Hidalga.

Pojawił się kilka minut później.

– Przepraszam za spóźnienie – usłyszałem zza pleców. Odwróciłem się. Spojrzałem mu w oczy. Z początku go nie poznałem. Był jakiś odmieniony. Coś sobie zrobił z włosami. Trudno to opisać słowami. Hidalgo został rektorem uniwersytetu, ale dla mnie nadal był poznanym kiedyś, rozwiedzionym facetem. W przeciwieństwie do mnie sprawiał wrażenie osoby, która wreszcie wzięła odpowiedzialność za swoje życie. Musiało ono jednak być dość nudne, bo wyglądał na człowieka wypalonego.

– Nie uściskasz przyjaciela?

– Pileś?

– Miałem kiepski dzień – odpowiedziałem. Rozbawiła go moja odpowiedź. Był jedyną osobą, która zawsze śmiała się z moich dowcipów. – Poszukajmy bardziej przytulnego miejsca.

Wyszliśmy z baru.

W milczeniu doszliśmy do pizzerii, gdzie zamówiliśmy dwa piwa i Margaritę. Usiedliśmy przy stoliku pośród par, które albo obcałowywały się namiętnie, albo dopiero nawiązywały znajomość.

– Jak się masz? – zapytał.

– Jak się mam? – odparłem. – Minał ponad rok.

Hidalgo zasłonił twarz rękami, jak gdyby przyznawał się do winy.

– Wszystko jest inaczej, Gabriel – tłumaczył się. – Wiesz, nowe projekty, odtruwanie, zaczynanie od nowa... My dwaj...zmieraliśmy ku kompletnemu chaosowi.

– Byliśmy chaosem – przytaknąłem. – Ale to nie powód, aby wymazać mnie z życia, skurczybyku.

– Przykro mi.

– Nie – zaprzeczyłem. – Wcale nie jest ci przykro. Zresztą, jakie to ma znaczenie. Dobrze wyglądasz i to najważniejsze, co nie?

– Dziękuję – odparł.  
– Kobieta? Prawda?  
– Coś w tym stylu – odpowiedział, uśmiechając się.  
– Znam ją?  
– Nie, nie sędzę – zaprzeczył i szybko zmienił temat. Zakłopotano go moje pytanie. – Co to za pilna sprawa?  
– Mam problem – odpowiedziałem. – A dokładnie, to sam jestem problemem.  
– O co chodzi? – dociekał. – Pieniądze? Nie myśl sobie, że jestem teraz bogaty.  
– Za kogo ty mnie uważasz? – obruszyłem się.  
– Przepraszam – wycofał się. – Ludzie myślą, że dzięki mojemu stanowisku...  
– Oszczędź sobie – przerwałem mu. – Nie interesuje mnie zawartość twojego portfela.  
– Rozumiem – odpowiedział Hidalgo. – Więc, o co chodzi?  
– Rocamora – rzuciłem krótko. – Coś ci mówi to nazwisko?  
– Nic – odpowiedział, siląc się na obojętność. Nawet nie drgnął. Byłem pijany, ale nie aż tak, żeby dać się na to nabrać. Ciężko będzie cokolwiek z niego wyciągnąć.  
– Nie kojarzysz Rocamory?  
– Już ci powiedziałem, że nie wiem, o kim mówisz.  
Uderzyłem pięścią w stół. Ludzie popatrzyli na nas.  
– Nie ściemniaj, Antonio – odpowiedziałem, prężąc kark. – To ty mu o mnie powiedziałaś! Sam tak twierdził.  
Nagle, bez powodu, Hidalgo zaczął się pocić. Sięgnął nerwowo do szyi, by poluzować kołnierzyk koszuli. Kelnerka podała dwa piwa. Upiłem łyk swojego. Było gorąco, zarówno na zewnątrz, jak i w środku małej restauracji. W oddali pobrzmiwała opera, ale nie znałem jej tytułu.  
– Co ci powiedział? – spytał. – Do cholery, muszę wiedzieć, co ci mówił.  
– Powiedział mi, że jesteś wielkim sukinsynem.  
– Tak powiedział? – zapytał zaskoczony.  
– Nie – odpowiedziałem. – Tak mówię ja.

– Kurwa, Gabriel – nalegał. – Bądźmy poważni.  
– Napij się czegoś – zarządziłem – bo się odwodnisz.  
– Rocamora to kretyn – wyjaśnił – ale wplątał się w coś poważnego. Nie wiem, w co.

– Mówisz o nim w czasie przeszłym.  
– Nie oglądasz wiadomości? – zapytał wzburzony.  
– Słuchaj, nie wiem, skąd znalazłeś tego człowieka, ale to mnie podejrzewa policja. Myśla, że to ja go zabiłem.

– Ty? – zapytał i wybuchł sztucznym śmiechem. – Dlaczego?  
– Facet rzucił się do przemysłowego rozdrabniacza – powiedziałem. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Kurczę... – westchnął. Odniosłem wrażenie, że moje ostatnie słowa nieco go uspokoiły. – Co jeszcze mówił?

– Niewiele więcej... – odparłem. – Dał mi kopertę z pieniędzmi. Nazwał mnie idiotą i powiedział, że ty też tak o mnie mówileś. A potem skoczył. Wszystko jest nagrane. Co mam robić, Antonio?

Jego telefon zawibrował. Gdy wpatrywał się w ekran, kelnerka podała jedzenie. Rozmyślał przez kilka sekund, a następnie odezwał się protekcjonalnym tonem, przez co zabrzmiał bardziej jak adwokat niż przyjaciel.

– O nic się nie martw – oznajmił Hidalgo. – Rocamora był w niezłych tarapatach, również finansowych. Facet stracił kompletnie głowę. Był winien ludziom pieniądze, chciał umyć od tego wszystkiego ręce i wyjawić jakiś skandal prasie. Zadzwoił do mnie i prosił o pomoc... Odesłałem go do ciebie, ale do głowy by mi nie przyszło, że tak skończy... Naprawdę, uwierz mi, to tylko nieszczęśliwy biedak. Nie ma powodu do niepokoju.

Kłamał. Wiedziałem o tym od samego początku.

– To nie wszystko – dodałem. – Jest coś jeszcze.  
– Daj spokój – odpowiedział, krojąc pizzę nożem. – Pewnie kolejna plotka.  
– Kim była ta dziewczyna? – zapytałem. Zakrztusił się kawałkiem pizzy. Jęknął, chwycił szklanekę piwa i wziął duży łyk.

– O czym ty mówisz? – odpowiedział, gdy złapał z powrotem oddech.

– Rocamora nie zadzwonił do mnie, aby rozmawiać o pieniądzach –

powiedziałem. – Chciał przyznać się do popelnienia zbrodni.

– Mój Boże!

– Tak – odpowiedziałem. – Chodzi o jakąś dziewczynę. Powiedział mi coś o jakiejś dziewczynie. Mówił też, że nie chce wciągać cię w kłopoty, że byliście przyjaciółmi. Wspomniał o pewnej grupie osób, ale nie chciał wytłumaczyć, kim są, a potem... skoczył. O co w tym wszystkim chodzi, Antonio?

Hidalgo wyciągnął banknot i położył na stole.

– Przykro mi, ale nie mogę tutaj o tym rozmawiać – powiedział nerwowo. – Muszę już iść, czekają na mnie.

– Żartujesz? – powiedziałem urażony. – Nigdzie nie pójdziesz. Musisz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Najedz się do woli i zapłać – powiedział i wstał od stołu. – Wyświadczyć mi przysługę i nie rozmawiaj o tym z nikim. Nie przyznawaj się, że mnie znasz... Powiedz policji, że facet chciał cię przekupić. Nic nie znajdą, zaufaj mi, a tobie nic się nie stanie.

– Antonio! – krzyknąłem, ale już wyszedł pospiesznie z restauracji.

Wszyscy patrzyli na mnie.

Prawdziwa scena.

Ruszyłem za nim biegiem. Jedzenie spowolniło działanie alkoholu i powoli wracałem do formy. Ulica Calle Mayor była pełna ludzi spragnionych rozrywki. Ciężkie, duszne powietrze mieszało się z zawartością ociążałego żołądka. Ruch był spory i musiałem przedzierać się przez tłum. Między palmami dostrzegłem jego głowę i zacząłem go śledzić.

Doszliśmy do Paseo de la Explanada, gdzie wsiadł do taksówki. Zatrzymałem następną i poprosiłem kierowcę, żeby jechał za nim.

– Pan z policji? – zapytał chudy taksówkarz z wąsem, w koszuli w kwiaty i paczką papierosów w kieszeni.

– Nie – odpowiedziałem. – Ale tamten facet kręci z moją żoną.

To była pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy.

– Nie musi się pan tłumaczyć. Sporo w życiu widziałem – odparł kierowca i przyspieszył, utrzymując odpowiedni dystans do drugiej taksówki. – Nie chcę się wtrącać, ale nie ma pan zamiaru zrobić jakiegoś głupstwa, prawda?

– Nie. Spokojnie – odparłem. – Po prostu chcę go zaskoczyć. Wiedzieć,



gdzie mieszka. Rozumie pan?

– Rozumiem... – odpowiedział uspokojony. – Ale nie zapomnij pan o swojej żonie, ona też w tym bierze udział.

– Zamierzamy się rozwieść – wyjaśniłem, ciągnąc wątek; bawiło mnie to. – Chcę po prostu wiedzieć, gdzie mieszka. Nie powinno się rozbijać rodzin, prawda?

– Rozumiem pana doskonale – powiedział mężczyzna. – Dobrze panu z oczu patrzy. Wyrwałbym język temu kretynowi.

Dojechaliśmy do starej stacji kolejowej na obrzeżach miasta i skręciliśmy w prawo. Zobaczyłem studia telewizyjne Canal 9 i wtedy taksówka Hidalgo zwolniła.

– To musi być gdzieś tutaj – powiedziałem. – Byleby nas nie zauważył.

Hidalgo wysiadł z samochodu, zapłacił i wszedł do budynku na pobliskim osiedlu. To nie mogło być jego mieszkanie. Mieszkał w innej części miasta.

– Życzę powodzenia – pożegnał się ze mną taksówkarz.

Zapłaciłem i wysiadłem. Wyjąłem zmiętolonego papierosa, zapaliłem i czekałem w żółtym świetle latarni na opustoszałej ulicy. Słysząc było tylko dobiegający z oddali uliczny hałas i dźwięk opuszczanych rolet w zamykanym właśnie barze.

Antonio, w co ty pogrywasz? – szepnąłem do siebie i paliłem dalej papierosa, wpatrując się w budynek z czerwonej cegły.

## 6

Otworzyłem oczy. Miałem wrażenie, jakby ktoś przekręcił mój mózg przez maszynkę do mięsa. Było południe a promienie słońca wpadające przez okno przypiekły mi ramię do czerwoności. Obudziłem się z potwornym kacem, chociaż objawy były inne niż zawsze. Spałem dłużej niż powinienem. Zwykle na kacu nie bolał mnie żołądek. Natomiast tego ranka wyskoczyłem z łóżka, pobiegłem prosto do muszli klozetowej i zwymiotowałem wszystko, co spożyłem poprzedniego dnia. Dopiero gdy wróciłem do pokoju, uświadomiłem sobie, że przecież nie byłem w stanie wrócić do domu sam. A może tak się stało? Po prostu nie pamiętałem nic poza ostatnim papierosem.

Wróciłem do łazienki, starej i zużytej, wyłożonej żółtymi kafelkami, z podłużną wanną, nad którą wisiała biała plastikowa zasłonka. Lustro nad umywalką miało ten sam kolor co wanna, przed którą leżał fioletowy dywanik ze sztucznego włosia. Przejrzałem się w lustrze. Miałem przekrwione oczy.

Poczułem potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Miałem wrażenie, że umieram. Otworzyłem okna we wszystkich pokojach i wpuściłem do środka uliczny hałas i spaliny.

Nogi drżały mi jak galareta i musiałem przysiąść na kanapie.

Przyjrzałem się mieszkaniu. Stary apartament miał osiemdziesiąt metrów kwadratowych i składał się z sypialni, saloniku i większego pokoju gościnnego, w którym stała zakurzona meblościanka z butelkami piwa, rodzinnymi zdjęciami i kineskopowym telewizorem Sanyo oraz niewygodna, choć

praktyczna, kanapa. Kiedy zacząłem pracować, w saloniku urządziłem sobie gabinet i zastąpiłem nakryty koronkowym obrusem stół zmarłej ciotki długim blatem, który sam złożyłem. Miejsce to stało się moją pracownią, świątynią, w której, za radą Hidalgo i z potrzeby odstawienia alkoholu na jakiś czas, oddawałem się literaturze. Alkohol zawsze był obecny w moim życiu, ale gdy Hidalgo, Patrycja i wszyscy inni opuścili mnie, został mi tylko on i niezawodny Coltrane. Upłynęło trochę czasu, zanim uświadomiłem sobie, że palenie i picie to nie sposób na obcowanie z literacką muzą, tylko nałóg. Miałem wkrótce skończyć 27 lat, pracowałem jako dziennikarz w prowincjonalnej gazecie i już byłem alkoholikiem. Kiedy dotarła do mnie wiadomość, że dziennik ma się połączyć z innym tytułem tej samej grupy, co oznaczało zwolnienia, uczepliłem się jeszcze mocniej likworu natchnienia. Na początku było kilka piwek, aby zapobiec blokadzie twórczej, a potem picie stało się codziennością. Wraz z moim problemem rósł brzuch. Zgubne działanie nałogu widać było też na mojej twarzy. Na jakiś czas literatura powstrzymała mnie przed upadkiem, ale potem zmieniłem klimaty. Zacząłem spotykać się z innymi ludźmi, poznałem soul, modernizm, zażywałem innych substancji, spałem w bramach i nie golilem się. Zdałem sobie sprawę, że problemem nie był nałóg, ale ja sam, chęć zatracenia się, ucieczki, zerwania ze wszystkim i znalezienia winnych. Na szczęście był to bardzo krótki okres w moim życiu. W dwudzieste siódme urodziny zerwałem z tym wszystkim, oprócz piwa.

Z tamtego okresu zostało mi trochę wspomnień i stara płyta „Blue Train” Coltrane’a. Pudelko było zniszczone, popękane, jakby ktoś usiłował wcisnąć do niego ze sto płyt. Dostałem ją od Patrycji i było to jedyne wspomnienie, które mi po niej pozostało. Mojej byłej dziewczynie nigdy nie podobał się jazz. To był urodzinowy prezent. Wiem, że był to krążek z drugiej ręki, a przynajmniej tak napisała mi w jednym z listów po rozstaniu. Samo wspomnienie o tym powodowało, że nienawidziłem jej jeszcze bardziej. Mimo wszystko, był to najlepszy prezent jakiegokolwiek dostałem.

Tego ranka płyty Coltrane’a nie było na miejscu, na półce w pokoju. Ten szczegół nieco mnie zaniepokoił. Przeszła mi przez głowę niemila myśl, że ktoś musiał mnie w nocy odwiedzić. Woląłem jednak wierzyć, że sam z jakiegoś powodu położyłem ją w innym miejscu. Próbowałem sobie to

wmówić, ale bezskutecznie. Po plecach przeszły mi ciarki, gdy wyobraziłem sobie, że oprócz mnie ktoś tu był, gdy ja spałem.

Wyjrzałem przez wizjer na klatkę schodową. Nikogo nie było. Wyszedłem więc z mieszkania i szybko dostrzegłem zgubę. Płyta leżała na schodach. Wróciłem do mieszkania i otworzyłem szafę. Ktoś grzebał w moich ubraniach. Były pogniecione i ułożone bez ładu. Dziennikarski instynkt podpowiedział mi, że musiało tu być więcej niż jedna osoba. Być może mężczyzna i kobieta. Byłem tego prawie pewny. Zajrzałem do łazienki. Tutaj ktoś zachował się na tyle przyzwoicie, że tylko pozamieniał rzeczy miejscami, nie psując niczego. Odczytałem to jako zaszyfrowaną wiadomość, anonimowy list, delikatne ostrzeżenie. Pozostała część mieszkania wyglądała mniej więcej tak samo. Z każdą sekundą czułem coraz większą bezsilność. Nie mogłem złapać oddechu. Ogarnęło mnie poczucie beznadziejności.

Usiadłem na kanapie, chwyciłem się za głowę i rozplakałem. Pozwoliłem sobie na słabość, bo nikt mnie nie widział. Ale rozpacz trwała krótko. Nie było sensu rozczulać się nad sobą. Użalanie się zawsze było dla mnie aktem bezplciowym, niskim i żalonym, efektem nieudolności i desperacji. Było ostatnią deską ratunku, aby wyżebrać coś od życia, gdy sprawy przybierają obrót inny niż zaplanowany.

Ubolewanie nad czymś, co się wydarzyło, było stratą czasu.

Zgłoszenie tego na policję nie miało większego sensu.

Otarłem lzy rękawem i pomyślałem o podsłuchu, który mogli mi zostawić. Sprawdziłem wszystkie kąty, najbardziej zaniedbane zakamarki i wreszcie znalazłem male, plastikowe urządzenie. Nie wystawały z niego jednak żadne przewody. Dziwne.

– To jakaś pomyłka, to jakieś jedno wielkie nieporozumienie – wymamrotałem, przejrzałem się w lusterku i przemyłem twarz lodowatą wodą.

Wziąłem prysznic, aby stanąć na nogi i ubrałem się. Żołądek miałem pusty. Zebrałem się szybko i ruszyłem do redakcji. Było południe, pora obiadowa i zerowy ruch na ulicy. Dotarłem do dziennika. Z pokoju Ortiza dobiegały krzyki.

– Co tu robisz? – zapytał mnie chłopak w okularach w drucianej oprawce.

– Gdzie jest Ortiz? – odpowiedziałem.

– W swoim biurze – powiedział i wyciągnął rękę w geście powitania. – Nazywam się Dawid, jestem praktykantem.

– Co robisz przy moim biurku? – zapytałem urażony i podszedłem do niego. W redakcji był jeszcze tylko Ramiro, który właśnie wszedł do łazienki.

– Nie wiem... – wydukał niepewnie chłopak. – Przydzielili mi ten komputer.

– Wynocha! – krzyknąłem i jednym gwałtownym ruchem odsunąłem jego krzesło na bok. Otworzyłem wszystkie szuflady i wyciągnąłem z nich stosy zdjęć oraz dokumentów. – Zwolnij komputer, potrzebuję go.

– Ty jesteś Gabriel? – zapytał zachwycony. Przypominał mi pewnego chłopaka zaraz po skończeniu uniwersytetu. Był podobny do mnie i wielu moich kolegów. Młodzież wstępująca na uniwersytet ma bardzo idealistyczne podejście do życia. Zakochani w swoim zawodzie, są przekonani, że będą w stanie przelknąć wszystko, byleby tylko zdobyć swoją kolumnę w dzienniku. Dopiero po pewnym czasie dociera do nich, że praca, którą wykonują, ma niewiele wspólnego z tym, czym zajmują się ich przełożeni. A w końcu większość z nich jest dużo lepsza od swoich szefów. Ci, którym się nie powiedzie, a są bardziej inteligentni, wybierają karierę wykładowcy i mieszają w głowie kolejnym pokoleniom, indoktrynując lub opowiadając historie, które nigdy się nie wydarzyły. Ten zawód był skończony na długo przed moimi narodzinami.

– Czytałem artykuł o tym, co ci się przydarzyło.

– O czym mówisz? – odpowiedziałem, dalej szperając w komputerze. Chciałem znaleźć korespondencję mailową od Hidalga. Byłem pewien, że znajdę w niej coś ciekawego.

– O mężczyźnie, który popełnił samobójstwo w fabryce... – wyjaśnił przemądrzałym tonem. Miałem ochotę odwrócić się i kazać mu nie odzywać się do końca dnia. – Mówią, że ta sprawa ma coś wspólnego z rektorem Hidalgiem. To był twój przyjaciel, prawda?

Po plecach przeszły mi ciarki.

– Co powiedziałeś? – spytałem i odwróciłem się energicznie.

Chłopak przestraszył się.

– W wiadomości podali twoje nazwisko... – odpowiedział i podał mi

gazetę konkurencji. – Jesteś podejrzany?

– Zamknij dziób! – wykrzyknąłem i chwyciłem gazetę. – Możesz?

Chłopak miał rację, jednak posłusznie zniknął z pola widzenia. Jakiś cwaniak z gazety popuścił wodze fantazji. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Antonia Hidalga podczas jednej z ostatnich ceremonii. Na kolejnej znajdowała się fotografia jakiegoś budynku. To nie było miejsce, które Antonio odwiedził ostatniej nocy.

Falszywe zdjęcie, niewyjaśnione samobójstwo.

Hidalgo odszedł. Powiesił się na sznurze.

Na parę sekund wstrzymałem oddech. Nie wierzyłem w to, co przeczytałem.

Hidalgo nie żył.

Krew przestała mi krążyć, a serce podeszło do gardła.

Śpiew syren.

Znalazłem nazwisko autora artykułu i zapisałem na kartce.

Blanka Desastres<sup>1</sup>. Dziwne nazwisko.

Nie miałem nic innego do roboty, więc postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce.

Zebrałem rzeczy i opuściłem redakcję. Na odchodne trzasnąłem drzwiami. Mój szef dalej darł się do słuchawki.

W drodze do miejsca, gdzie Hidalgo pożegnał się z życiem, zadzwoniłem do paru kolegów z branży, by podpytać ich o pannę Desastres. Byli to informatorzy innych gazet, handlarze informacjami, ludzie, którym nie można było zbyt ufać. Gotowi zabić na tyłach jakiegoś baru za krzykliwy tytuł, za wiadomość z ostatniej chwili. Tak właśnie funkcjonował ten fach. Miernoty. Trzeba było postępować z nimi twardo, zapomnieć o szacunku do bliźniego i kierować się czystym egoizmem. Spełniałem wszystkie powyższe warunki. Nie było łatwo namierzyć miejsce pobytu dziewczyny. Nie pisała dla El País i jak podejrzewałem, nie była również stąd; pracowała dla jakiejś ogólnokrajowej gazety. Zastanawiałem się, dlaczego jakaś redakcja wysyła nowicjuszkę.

Informacje, które zebrałem, były skromne, ale cenne. Wszyscy moi rozmówcy znali jej nazwisko i mówili o okropnym usposobieniu dziewczyny. Tupet, arogancja, klótność. Reporterzy, których wysyłano do nas z Madrytu

lub Barcelony, wyobrażali sobie, że praca na prowincji będzie łatwa i monotonna. I mieli rację. Trzeba było mieć psi węch, żeby znaleźć jakiś chodliwy temat. Brak sensacyjnych wydarzeń często zmuszał nas do zagładania pod każdy kamień, puszczenia wodzy fantazji i zapelniania kolumn ubarwionymi historiami. Prawdziwymi historiami: o staruszkach rzucających się z trzeciego piętra, o mafii rosyjskiej z Torre Vieja, o wymianie ognia na środku ulicy w piątkowe popołudnie. Właśnie w takich miejscach zjawialiśmy się my, reporterzy. Narażaliśmy własną skórę, tyraliśmy w pocie czoła, aby opisać historię typków, których nazwiska w paszporcie zapisane były cyrylicą. W tym samym czasie kosmopolici uzbrojeni w smartfony zapelniali sale na konferencjach prasowych, a potem pisali półstronicowe notatki o planach rządu na przyszłość, w które sami nie wierzyli. Jednak kogo to obchodziło? Miałem niewielki staż w zawodzie, ale Ortiz wtajemniczył mnie we wszystko. Pewnie dlatego jeszcze nie wyrzucił mnie z redakcji. A takie rzeczy zdarzały się nawet w najlepszych rodzinach. Poznał się na moim talencie, a ja cenilem jego zalety. Szanowałem go, chociaż przez większość czasu wylewał na mnie pomyje. Nie był jednak złym człowiekiem.

Zbliżałem się do ulicy Calderón de la Barca, kiedy zobaczyłem kilka policyjnych samochodów. Posterunek był blisko, ale w letnie dni rzadko panował tu taki ruch. Minałem szepczących do siebie przechodniów i dotarłem do otoczonego radiowozami budynku. Oblegali go też fotoreporterzy i koledzy z gazet. Była nawet ekipa lokalnej telewizji.

– Cholera jasna – wyszeptalem.

Zapaliłem papierosa i zatrzymałem się, aby obmyślić sposób, jak dostać się do mieszkania, w którym powiesił się Hidalgo. Nie skoczyłbym za nim w ogień, ale ta sprawa wydawała mi się co najmniej dziwna. Po co miałby się zabijać? Miał dobrą pensję, a sprawy układały mu się dużo lepiej niż mnie. Musiał być zamieszany w coś równie poważnego, jak grubas Rocamora. Teraz wizerunek miasta ucierpi jeszcze bardziej niż z powodu ostatnich politycznych skandali korupcyjnych. „Rektor powieszony jak salceson i podejrzany dziennikarz” – tak zatytułowałbym artykuł, gdyby jego bohaterem był ktoś inny.

Stanąłem na rogu ulicy, nogę oparłem na kamiennym murku i

przysłuchiwałem się dobiegającym z baru odgłosom automatów do gry. Podeszła do mnie jakaś dziewczyna i zapytała:

– Przepraszam, masz ogień? – Kątem oka przyjrzałem się jej zza zielonych szkieł okularów. Długie i białe jak mleko nogi. Ładna twarz i włosy, ciemne oczy. Już dawno nie widziałem tak czarnych tęczynek ani tak gwałtownego, niemal dzikiego, spojrzenia. Wyciągnąłem zapalniczkę i podałem jej. Podziękowała i spojrzała mi prosto w oczy: – No nie, poczekaj... to nie może być prawda.

– Odpaliłaś? – odparłem.

– Jesteś Gabriel? – spytała podekscytowana i trochę zdenerwowana. – Gabriel Caballero?

– A z kim mam przyjemność? – zapytałem naburmuszony.

Dziewczyna rozejrzała się. Zapewne zorientowała się, że bar dla emerytów nie jest najlepszym miejscem, do którego mogłaby mnie zaprosić.

– To ty – powiedziała. – Tak podejrzewałam. Teraz wszyscy o tobie mówią.

Chwyciłem ją za ramię i ścisnąłem mocno. Miała na sobie białą bluzkę z nadrukiem okładki płyty Metalliki „Ride The Lightning”. Była delikatna, choć trochę za chuda.

– Słuchaj – wycedziłem przez zęby. – Zostaw mnie w spokoju. Idź sobie.

– Puść mnie – rozkazała. – Rozplaczę się. Tego chcesz?

Puściłem ją.

– O co ci chodzi? – spytałem. – Pomyliłaś mnie z kimś innym.

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i wyciągnęła pogniecioną kartkę. Rozłożyła ją. Było to moje czarno-białe zdjęcie.

– Nie – powiedziała. – Nie pomyliłam się.

– Wiesz co? Czekam na kogoś – odpowiedziałem i zgmiotłem nogą niedopalek. – Więc zostaw mnie w spokoju, idź tam, skąd przyszłaś i korzystaj ze słońca... mamy piękne popołudnie.

– Ani myślę – odparła – dopóki mi nie opowiesz wszystkiego o Hidalgu.

Scyzoryk otworzył mi się w kieszeni.

– Co powiedziałaś?

– Chcę wiedzieć wszystko – powiedziała. – Badam tę sprawę.

– Chwila... – powiedziałem. Nagle mnie olśniło. To była ona. Jak mogłem



być tak ślepy? – To ty napisałaś to szmatławie gównu?

– Mam na imię Blanka – powiedziała z uśmiechem.

Kopnąłem kilkakrotnie leżący niedopalek.

Przechodnie zaczęli nam się przyglądać.

Czulem na sobie ich spojrzenia.

– Przekłeta suka – powiedziałem. – Wiesz, w co mnie wpakowałaś?

– Wyluzuj... – odpowiedziała. – Wykonuję tylko moją pracę.

– Dla kogo pracujesz? – zapytałem.

– Dla tych, którzy płacą.

– Gdybyś była facetem... – odparłem.

– To co wtedy? – spytała prowokacyjnie.

– Dostałabyś w zęby.

– Nie ułatwiasz mi pracy, chłopaku.

– Nie odzywaj się tak do mnie, dobrze? – odparłem. Byłem zdenerwowany i przestraszony. Blanka Desastres była inteligentna, wyrachowana i mało delikatna. Spotkanie z nią to nie był przypadek. Nie doceniłem jej. Elokwentna i zbyt pewna siebie, jak na mój gust. Brakowało jej oglady oraz kobiecości. Wiedziałem, że jeszcze przysporzy mi problemów. – Słuchaj. Nie wiem, co wiesz, a czego nie wiesz, ale to nie robi mi różnicy... Rozumiesz? Nie mogę ci pomóc. Policja oskarża mnie o coś, czego nie zrobiłem.

– Nie oskarża cię policja – powiedziała – tylko opinia publiczna.

– Jeszcze lepiej – powiedziałem. – Opinia publiczna to ty, suko, bo rozpowszechniasz te plugawe kłamstwa.

– Z tego powodu jeszcze nikt nie trafił do więzienia.

– Jesteś bardzo sprytna.

– Powiesz mi to, co chcę wiedzieć – powiedziała groźnym tonem. – Potem zostawię cię w spokoju.

Nie wiem, skąd się wzięła ta dziewczyna, ale niewątpliwie szukała zaczepki.

– Dobrze, już dobrze, powiem ci to, co chcesz wiedzieć – odpowiedziałem, blefując. – A teraz uspokój się i chodźmy stąd. Zrozumiałaś?

– A jeśli nie, to co? – odpowiedziała i dmuchnęła mi w twarz dymem z papierosa.

– Mam swoje sposoby – rzuciłem. – Wolalabyś ich nie znać.

Nigdy nie wiesz, czy osoba, którą spotykasz przypadkowo w życiu, ma serce z kamienia czy ze złota – czy będzie ci aniołem, czy katem. Zawsze tak jest. Mimo najszczerzych chęci nie jesteśmy w stanie przewidzieć przyszłości – uwięzieni w pułapce teraźniejszości, jak gwóźdź wbity w ścianę. Miałem zwyczaj podejrzewać wszystkich, których spotykałem na swojej drodze i nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał spoufalać się z kimś takim jak ja. A jeśli to robił, to rzadko z przyjaźni. Blanka od samego początku była dla mnie jak natrętny komar. Spotkałem ją wcześniej niż się spodziewałem. Albo raczej to ona znalazła mnie. Postanowiłem zabrać ją stamtąd, zanim wywołamy sensację. Nie wyglądaliśmy na parę. Ona w swoich modnych ciuchach zbuntowanej dziewczyny, a ja, jak jakiś przeżytek z poprzedniej epoki: w ciasnych i wytartych dżinsach, w koszuli z podwiniętymi rękawami i rozczochranymi włosami.

Nie musiałem jej długo przekonywać i szybko opuściliśmy dzielnicę. Weszliśmy do jednego z tych niewielkich i niechlujnych barów z aluminiową ladą i wytartymi stolkami. Przy ulicy General O'Donell było ich mnóstwo, a zarabiała na podawaniu kawy za jedno euro, dżinu Larios i śniadaniowych tostów z szynką. Zamówiłem dla siebie whisky DYC z colą, a dla Blanki, która zniknęła w toalecie, piwo. Wybrałem miejsce przy ścianie wyłożonej kafelkami z wizerunkiem Matki Boskiej i godłem Real Madrid, przy starym stoliku z laminatu z oryginalnym wykończeniem, typowym dla minionej epoki. Model, który nie zmienił się od lat. Napoje podał owłosiony kelner koło pięćdziesiątki. Podziękowałem mu i westchnąłem do Najświętszej Pani i Realu Madrid z błaganem, aby nigdy nie zniknęły tak urokliwe, pełne życia i osobliwe lokale. Bary były moją twierdzą, schronieniem i jedynym miejscem, w którym mogłem usiąść w spokoju, nie nagabywany przez nikogo.

– Nie przychodzi tu zbyt wiele kobiet, prawda? – zapytała Blanka siadając przy stole. – Łazienka przypomina chlew.

– Jaka delikatna! – powiedziałem drwiąco, rozkoszując się własnym szyderstwem.

Blanka wyjęła z torby dyktafon i postawiła na stole.

– Za kogo ty się uważasz? – powiedziałem i uniosłem szklanę do ust. – Żadnego nagrywania. Schowaj to, proszę.

– Nie – powiedziała. – Potrzebuję tego.

Pociągnąłem tęgi lyk whisky i poczułem, jak trunek pali mnie w gardło. Nie ma to jak krajowa destylacja. Odstawiłem szklanę na stół, chwyciłem dyktafon i cisnąłem nim o podłogę.

Uderzył z impetem o ziemię. Wokół stolika rozsypały się kawałki plastiku. Część gości spojrziała na nas wzburzona. Telewizor zagłuszył jednak hałas i po chwili wszyscy wrócili do swoich spraw.

– Ej! Zachowujcie się! – krzyknął kelner.

– Mój dyktafon! – obruszyła się Blanka. Wytrąciłem ją z równowagi i teraz to ja byłem górą. – Zwariowałeś? Zapłacisz mi za niego, głupku.

Pociągnąłem kolejny lyk. Drugi zawsze smakuje lepiej.

– Przykro mi, naprawdę... – powiedziałem, wymiatając nogą kawałki plastiku spod stołu. – Miałem kiepski poranek.

Zaśmiałem się.

Wyraz jej twarzy przypominał wiersz początkującego poety: smutny, nieskładny i bez rymu. Zamiast tłumaczyć się, postanowiłem ciągnąć tę grę dalej.

– Kim jesteś, Blanko? – spytałem. – Dlaczego to robisz?

Upiła lyk piwa.

– Chcę napisać reportaż o tym, co się wydarzyło – odpowiedziała. – Potem go sprzedam.

– Dlaczego? – nalegałem. – Dlaczego tutaj?

– To interesujące miejsce – powiedziała. – Dużo się mówi o was w Madrycie.

– O nas? – zdziwiłem się.

– Tak – wyjaśniła. – Wydawałoby się, że nic się tutaj nie dzieje. Gadacie tylko o korupcji. – Wiesz co? – dodała, nakręcając się. – Cała ta historia śmierdzi z daleka.

– Słuchaj – odparłem – nie potrzebujemy cię.

– Potrzebujesz kogoś z zewnątrz – dowodziła. – Wszyscy jesteście zadzumieni. A wy, dziennikarze, nie stanowicie wyjątku.

– Proszę... – powiedziałem urażony, skrzyżowałem ramiona i odchyliłem się do tyłu. – Tego tylko brakowało. Bogaty bachor udzielający mi rad.

– Taka jest prawda – odpowiedziała.  
– Tracisz czas – powiedziałem. Denerwowała mnie. Zamówiłem kolejną whisky. – Dlaczego nie opowiesz tego mojemu szefowi?  
– Twój szef też jest w to zamieszany – wyjaśniła.  
– Ortiz? – spytałem. – Biedaczysko. Jakby miał mało kłopotów ze swoją rodziną.

Dziewczyna wyciągnęła z torebki wydrukowane e-maile i pokazała mi korespondencję między szefem działu dziennika El País a Ortizem. Ortiz odmawiał współpracy przy śledztwie w kwestii ostatnich wydarzeń, określając je jako jedno z nieszczęść o nikłej wadze społecznej.

– Dlaczego? – spytałem.  
– Bo ktoś mu zabrania – odpowiedziała dziewczyna. – Twój szef cię zdradzi.

– Chyba żartujesz? – odpowiedziałem. Teraz ona była górą. Byłem trochę zagubiony. Nie wiedziałem, czy próbowała mi pomóc, czy po prostu przekonać, że stoję po niewłaściwej stronie. Na szczęście nie ufałem nikomu, nawet własnym przeczuciom. – I co teraz?

– Pomóż mi – powiedziała – a ja pomogę tobie.  
– Ty mnie nie uratujesz – powiedziałem. – Niewiele wiesz. To moja sprawa.  
– Dlaczego nie chcesz współpracować? – zapytała. – Dlatego, że jestem kobietą, tak?

– Ależ skąd – odpowiedziałem. – Uwielbiam kobiety.  
– Jasne – powiedziała. – Za kogo ty się uważasz? Za Péreza-Revertego?  
– Nie – odpowiedziałem. Miałem już dość jej zuchwalstwa. – To ty jesteś problemem. Nie podobasz mi się.

Roześmiała się.

– Ty również mi się nie podobasz – wyznała. – Ale nie szukam chłopaka.  
– Koniec rozmowy – powiedziałem.  
– Jak to? – zapytała.  
– Wynoś się – rzuciłem.

Zachowałem się jak palant. W tamtym momencie jednak przypomniałem sobie, że ciało Hidalgo leży teraz prawdopodobnie w miejscu wyłożonym kafelkami. Pamiętam jak pewnej nocy pijany Hidalgo powiedział mi, że umrze

przede mną. I tak też zrobił. Na myśl o tym zmarkotniałem. Rozwścieczona Blanka zbierała się z baru i coś jeszcze do mnie mówiła, ale nie słuchałem jej. Było już na to za późno. Na chwilę odpłynąłem, więc jej słowa mieszały się z dźwiękiem płynącym z telewizora.

Kiedy się ocknąłem, jej już nie było, a na stole przede mną leżała wizytówka.

I znowu nastąpiła noc. Miasto otulało granatowe, prawie czarne niebo. Delikatna morską bryza pieściła moją twarz. Ciągnęło mnie w stronę morza, ale nogi wybrały przeciwny kierunek. Na ulicy nie było żywej duszy. Wsiadłem do nadjeżdżającego autobusu i po przejechaniu kilku przecznic dotarłem do domu pogrzebowego. Naokoło niego zgromadzili się dziennikarze i ludzie z uniwersytetu. Sformowali grupki, które dyskutowały o nieszczęściu i pocieszały się po stracie człowieka, którego ledwie znały. W jednej z nich stała ubrana na czarno była żona Hidalgo, Lola. Towarzyszył jej nowy partner wyglądający na bogatego biznesmena. Wszyscy sprawiali wrażenie przygnębionych, ale zapewne nikt z obecnych nie wysilił się nawet na telefon do Hidalgo w ostatnich latach jego życia. Hidalgo imprezował ze mną nie tylko ze względu na łączącą nas przyjaźń. Był samotny tak samo jak ja. Problem z nawiązywaniem przyjaźni to brzemię, które wszyscy dźwigamy na swoich barkach.

Tylko ja mogłem powiedzieć, że znałem Hidalgo.

Nie byłem ubrany stosownie do okazji ani nie czułem się na siłach, by witać się z kimkolwiek. Tak czy siak, nigdy nie wiedziałem, jak zachować się podczas ostatniego pożegnania. Może właśnie na tym polegał mój problem – nigdy nie umiałem powiedzieć „żegnaj”.

Zdjąłem okulary i przeczesalem ręką włosy. Obszedłem budynek od tyłu i ruszyłem za jedną z pracownic korytarzem, który doprowadził mnie do sali głównej. Udało się. Byłem w środku. Wspiąłem się po schodach na trzecie piętro, unikając spotkania z kolegami po fachu. Z góry zobaczyłem Hidalgo, który leżał w trumnie z rękami splecionymi na piersi. Smutny widok. Zapragnąłem, aby ktoś mnie przytulił. Pomyślałem, że mógłbym poprosić o to kogoś nieznanego. Pewnie nikt by mi nie odmówił. Na dole zobaczyłem

Ortiza i idiotów, którzy pracowali dla konkurencji. Tak więc pozostało mi pożegnać się z Hidalgiem na odległość. Gdy przycupnąłem w kącie na schodach, na stopniu pół piętra niżej usiadła dziewczyna. Miała na sobie czarne džinsy i obcisłą koszulę z guzikami zapiętymi pod samą szyję. Kasztanowe włosy spływały po jej szczupłych ramionach. Dziewczyna zaczęła cicho płakać. Chyba chciała pozostać niezauważona, ale zarazem być blisko Hidalga. Obserwowałem ją przez chwilę i próbowałem sobie przypomnieć, czy kiedyś ją poznałem. Bezskutecznie. Płakała szczerze, jak nikt z obecnych. Kim była? Skąd znała Antonia? Powstrzymałem się od zadawania pytań. Sam byłem zrozpaczony, a ta dziewczyna, w odróżnieniu od Blanki Desastres, emanowała czułością i dobrocią. „Bądź ostrożny”, szepnąłem do siebie.

Zsunąłem się kilka stopni w dół. Wyczuła moją obecność i dyskretnie obejrzała się za siebie.

Pokonałem kolejne dwa stopnie. Z każdym moim krokiem jej zdenerwowanie rosło. Przestała szlochać.

W końcu znalazłem się obok niej.

– Będziemy za nim tęsknić... – westchnąłem. – Biedny Antonio.

Wzięła głęboki oddech.

Jeżeli dobrze znała Hidalga, to wiedziała, że po imieniu zwracali się do niego tylko najbliżsi. Nienawidził, kiedy w ten sposób porównywano go do pewnej postaci telewizyjnej. Były rektor wołał, żeby zwracano się do niego po nazwisku. Ja zaś zawsze powtarzałem mu, że mam kiepską pamięć do nazwisk.

– Tak, chyba tak – odparła dziewczyna. Miała delikatny, dziewczęcy głos, a oczy brązowe jak kasztany. – Był twoim przyjacielem?

– Byłem jego jedynym przyjacielem – odpowiedziałem stanowczo, chcąc ją sprowokować.

Jednak ona inteligentnie nie zareagowała.

– Miał wielkie serce – powiedziała.

– A ty? – zapytałem.

– Ja? – odpowiedziała zaskoczona, nie odwracając się w moją stronę. – Co?

– Kim byłaś dla Antonia?

– Znałam go – odpowiedziała. – Był też moim przyjacielem.

– Skąd go znałaś? – dążyłem.

– Był moim wykładowcą – odparła.

Przypuszczałem, że kłamała. To było mało prawdopodobne, bo Hidalgo był wykładowcą przez krótki okres, zanim wybrano go na rektora. Wtedy przypomniało mi się, że wspominał coś o pewnym projekcie. Pomyślałem, że zaraz dość łatwo dowiem się, czy brała w nim udział.

– Niemożliwe – powiedziałem.

– Myśl sobie, co chcesz.

– Ty jesteś dziewczyną z ulicy Joaquín Orozco? – zaryzykowałem. Rzuciłem jej wyzwanie. Kierowałem się intuicją. Musiałem połączyć fakty.

Zareagowała tak, jak się spodziewałem: źle. Pobladła jeszcze bardziej i zeszytniała. Chwyciłem ją za ramię.

– Poczekaj, chcę ci pomóc.

Uwolniła się i szybko uciekła.

Ruszyłem za nią. To musiała być ona – nie mogłem jej zgubić.

– Zostaw mnie – krzyknęła, gdy wychodziła przez zaplecze – bo wezwę policję.

– Nic nie rozumiesz? – wyszeptałem. – Antonio był moim przyjacielem.

– Pijaku! Odsuń się!

– Wiem, że ktoś go zmusił do samobójstwa.

– Jesteś policjantem? – zapytała i odwróciła głowę. W końcu zaczęła rozmawiać. – Dziennikarzem?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie jestem policjantem.

– A więc dziennikarz?

– Tak – odpowiedziałem niechętnie. – Ale to nie ma teraz znaczenia.

– Według mnie właśnie, że ma – odparła. – Kto cię przysłał?

– Nikt.

– Czy to oni? – zapytała. – Nie dam się wciągnąć w te gierki.

– Posłuchaj mnie, do diabła! – powiedziałem zrezygnowany. – Nie wiem, o czym mówisz, przysięgam.

– Nie boję się – odpowiedziała. – Wcześniej będą musieli mnie zabić.

– Nie chcę nikogo zabijać – odpowiedziałem, próbując ją uspokoić. – Koniec z trupami, zrozumiano?

Rozplakała się i wtuliła we mnie.

– Antonio... – wyszeptała, szlochając. – Antonio...

Przytulilem ją mocno, chcąc dodać otuchy. Chyba potrzebowała tego bardziej niż ja.

– Jestem Gabriel i byłem przyjacielem Antonia – wyjaśniłem. – Chcę żebyś wiedziała, że ci wierzę. Antonio nie popełnił samobójstwa. Nie był taki. Próbował ostrzec mnie przed czymś... Potrzebuję twojej pomocy. Muszę znaleźć tych, którzy go do tego zmusili.

Dziewczyna cofnęła się.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedziała. – Trzymaj się z dala od tego.

– Nie mogę – powiedziałem. – Muszę się dowiedzieć prawdy.

– Dlaczego? – spytała. – Nie możesz zostawić tej zagadki policji?

– Nie – odpowiedziałem. – To sprawa osobista.

– Daj spokój – odparła. – Wymyśl lepszą historyjkę.

– Ktoś chce mnie zrobić w coś, czego nie zrobiłem – powiedziałem. – Nie pozwolę na to. Nie mam nic do stracenia.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała, teraz już z lekkim zaciekawieniem.

– Znaleźć winowajcę – odpowiedziałem. – To moja rola.

Przyglądała mi się przez kilka sekund, jak nieufny kot i w końcu wyciągnęła do mnie rękę.

– Nazywam się Clara – przedstawiła się i uścisnęła mi dłoń. – Clara Montenegro. Jestem po twojej stronie.

– Dziękuję – odparłem. – Dlaczego to robisz?

– To długa historia – odpowiedziała. – Będzie lepiej, jeśli porozmawiamy w bezpieczniejszym miejscu.

– Jak sobie życzysz – odparłem. – Jak cię znajdę?

– Skontaktuję się z tobą.

Kolejne nazwisko na liście podejrzanych.

Dziewczyna pożegnała się. Wsiadła do taksówki, która zniknęła w chmurze spalin. Chciałem zrobić to samo – pojechać do domu i zakończyć ten nieszczęsny dzień – ale nie miałem dość pieniędzy. Wróciłem na przystanek autobusowy z zamiarem dotarcia do centrum. Po chwili pojawił się autobus. Kupiłem bilet i usiadłem przy oknie na końcu pojazdu.

Wtedy go zobaczyłem. Wysiadał z samochodu.



To był Rojo. Też mnie zauważył.

Nie wiem, dlaczego – może ze strachu, a może z poczucia bezsilności – zacząłem się śmiać. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i obserwując policjanta, śmiałem się nieprzerwanie na całe gardło.

Rojo patrzył na mnie z poważną miną.

Autobus ruszył. Wiedziałem, że Rojo wkrótce i tak się do mnie odezwie.

---

1 Desastre = Nieszczęście

## 7

Następnego dnia wyszedłem z domu wcześniej niż zwykle. Byłem niewyspany – z nerwów nie zmrużyłem oka. Wydawało mi się, że znajduję się w samym centrum erupcji wulkanu; jakby wszystko rozpadło się na drobne kawałki i fruwało wkoło, nie robiąc mi krzywdy. Nie byłem świadom, że za niedługo ten wir wciągnie mnie na całego.

Bezchmurne niebo zapowiadało, że dziś będzie większy upał niż zwykle. Tegoroczne lato przypominało prawdziwe piekło, a mnie zaczynało brakować energii. W drodze do baru dogonił mnie jakiś cień.

– Dzień dobry, panie Caballero – powiedział męski głos. To był Rojo. – Nie pracuje pan dzisiaj?

– Nie za wcześnie na przesłuchanie, panie władzo? – rzuciłem przez ramię. Szedł chwilę z tyłu, a następnie zrównał ze mną krok. Był w cywilnym ubraniu i miał, na swój sposób, dobry nastrój.

– Wczoraj odjechał pan tak szybko – powiedział z ironią. – A chciałem z panem porozmawiać.

– Policja nigdy nie odpoczywa? – zapytałem, przyglądając mu się znad okularów.

– Zrobiliśmy postęp w śledztwie – odparł. – Mogę zaprosić pana na kawę?

Usiedliśmy przy stoliku na tarasie kawiarni. Zamówiliśmy kawę i tosty z oliwą. Rojo zdjął okulary i położył na stole. Ja zostałem w swoich – nie chciałem, żeby czytał mi z oczu. Rojo próbował zaprzyjaźnić się ze mną i w

ten sposób wyciągnąć ode mnie więcej informacji. Był przecież policjantem, starym wyjadaczem.

– Czy to oficjalna rozmowa? – spytałem.

– Absolutnie nie – odpowiedział – w żadnym razie. To rozmowa między dwojgiem znajomych, zrozumiano?

Poprosił, żebym położył telefon na stole. Chciał upewnić się, że go nie nagrywam, ale na mój gust trochę przesadzał z ostrożnością.

– Po co to robisz? – zwróciłem się do niego per „ty”.

– Mam swoje powody – odpowiedział. – Coś mi tu nie pasuje.

– Naprawdę? – zapytałem. – Jakieś nowości w śledztwie? Czy to naprawdę było morderstwo?

– Ustalmy coś sobie – powiedział. – Unikajmy niektórych słów, dobrze? Nie chcę ściągnąć niczyjej uwagi.

– Zrozumiano.

– Dlaczego kłamałeś? – spytał policjant. – Nie powiedzialesz mi, że Hidalgo miał związek z samobójstwem Rocamory.

– Przypuszczam, że teraz to już nie ma znaczenia – odpowiedziałem.

– Kolejnym razem nabijesz sobie guza.

– Jasne – powiedziałem prowokująco i siorbnąłem kawę. – Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Wiesz coś, czego nie chcesz mi opowiedzieć.

– Już ci wszystko powiedziałem – podkreśliłem. – Nie wiem, co ich łączyło.

– Co ci wyznał Rocamora? – spytał. – Mów prawdę.

Zawahąłem się, zanim odpowiedziałem. Nie miałem jednak wiele do stracenia. Hidalgo odszedł na zawsze, a jeśli nie dam czegoś policjantowi, to ten nigdy się ode mnie nie odczepi.

– Wyznał mi, że kogoś zamordował.

– Ciekawe – mruknął. – Kogo?

– Jakaś dziewczynę. Nie powiedział, jak się nazywała. Przypuszczam, że nie mógł z tym żyć – dodałem. Policjant popatrzył w dal i zamyślił się na kilka sekund. – Nadal jestem podejrzanym?

– Co jeszcze wiesz?

– To wszystko – odpowiedziałem.

– Nie kłam – powtórzył. – Spotkałeś się z Hidalgiem tuż przed jego śmiercią.

– Co dostanę w zamian? – zapytałem. – Gdy opowiedziałem mu o tym, co się wydarzyło, ulotnił się.

– I co zrobiłeś?

– Śledziłem go.

– To wykroczenie.

– W porządku – odparłem. – Więc poprawka: wziąłem taksówkę. Ostatni raz widziałem go, jak wchodzi do tamtego mieszkania. Kto tam mieszka?

– Nikt – odparł policjant. – To było mieszkanie wynajęte na jego nazwisko. Pewnie miał kochankę.

– To niedorzeczne – odpowiedziałem z udawaną ciekawością. – Miał przecież własne mieszkanie. Hidalgo nie miał powodu, aby ukrywać cokolwiek.

– To ty tak uważasz – odrzekł policjant. – Hidalgo, zanim się powiesił, dał nam wskazówki, gdzie mamy zacząć śledztwo.

– Jak to? – powiedziałem zaskoczony. To był dla mnie prawdziwy cios.

– Przed śmiercią, wiesz... – wyjaśnił. – Zostawił na biurku dysk twardy z informacjami i kilka teczek z papierami.

– Co w nich jest? – zapytałem podekscytowany.

– To tajne.

– Poważnie?

– Zapytaj o to swoją przyjaciółkę – powiedział policjant.

– O czym ty teraz mówisz? – spytałem.

– O dziewczynie – odpowiedział. – Hidalgo spotykał się z jakąś dziewczyną. – Widziałem, jak właśnie z nią wychodziłeś z domu pogrzebowego.

– Kawał sukinsyna z ciebie. – Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem. – Od kiedy mnie śledzisz?

– Posłuchaj uważnie. – Pochylił się w moją stronę. Wyjął mi papierosa z ust i cisnął na ziemię. – Zginęły dwie osoby i to nie przez przypadek. Nie interesujesz mnie szczególnie, ale mi się nie podobasz. To nie zabawa, to moja

praca. Jeśli tylko dasz mi powód, to cię dopadnę i schrzanię ci życie.

Te słowa odbiły się echem w mojej głowie. Szybko zdjął maskę sympatycznego policjanta. Woląłem przemilczeć zdeptanego papierosa. Bez wątpienia nie podobało mu się, że palę w jego towarzystwie.

– Mylisz się, co do podejrzanego – odpowiedziałem. – Nie jestem osobą zdolną do czegoś takiego.

– A kto jest? – zapytał. – Zdziwilbyś się, gdybym ci powiedział, do czego zdolny jest człowiek.

– Tracisz czas.

– Ależ skąd – odpowiedział zarozumiale. – Wiem o tobie wszystko. Wiem, kim jesteś i jak pracujesz.

– A co z nią? – zapytałem o Clarę. – Co wiesz na temat dziewczyny?

– A co ty wiesz?

– Była przyjaciółką Hidalgo, tak? – odpowiedziałem. – Nigdy mi o niej nie wspomniał.

– Więc nic nie wiesz – stwierdził policjant. – Uważaj na siebie. Ona przyciąga problemy.

– Dziękuję za radę.

– Wykonuję swoją pracę. Uważaj, bo skończysz, jak tamci – powiedział. Jego słowa nie zabrzmiały pokrzepiająco. Czy to było ostrzeżenie? Rojo albo blefował, albo naprawdę wiedział coś, o czym nie miałem pojęcia. Chciał mnie ostrzec przed Clarą, ale tylko namieszał mi w głowie. Czy taki miał zamiar?

Policjant założył okulary przeciwsłoneczne. Wyciągnął banknot o wartości dziesięciu euro i położył na stole.

– Zapłać, muszę już iść. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. I trzymaj gębę na kłódkę, jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Wszedłem do środka lokalu i poprosiłem o rachunek.

Kiedy wróciłem do stolika, jego już nie było.

Zostawił serwetkę, na której zapisał adres. Facet oszczędny w słowach, naprawdę. Schowałem świstek papieru i telefon, po czym ruszyłem w stronę centrum miasta.

Rozmowa z Rojo wykończyła mnie. Pojawił się w moim życiu niedawno, a już wywoływał mdłości. Musiałem wszystko przemyśleć. Postanowiłem

pospacerować po plaży, zrobić notatki i uporządkować sprawy. Upić się, posłuchać Coltrane'a. Zrelaksować się. Potrzebowałem przemyśleć wszystko na chłodno, co przy trzydziestopięciostopniowym upale i w tłumie poparzonych słońcem turystów było prawie niemożliwe.

Nadeszła przekłeta letnia pora zdominowana przez prostackich i pospolitych turystów zamkniętych w towarzyskich enklawach i spędzających czas na próżnych rozmowach. Trywialne postacie, przechadzające się bez koszul, wystawiające na widok swoje sflaczale ciała i obwisłe brzuchy, zdeformowane przez nadmiar piwa i brak ruchu. Brzuchy, które z upływem lat nabiorą kształtu ogromnej oliwki. Mężczyźni i kobiety bezwstydnie zalegający na plażach, jak foki zlaknione słońca, umazane w kremowym mleczku o zapachu lawendy, wystrojone w jarmarczne okulary przeciwsłoneczne, skrywające się pod parasolkami z logo lodziarni i chroniące głowy pod słomkowymi kapeluszami browarów z hasłami reklamowymi typu „Viva España”. Bo latem wszystko jest dozwolone, a najważniejsze to spędzić je w harmonii ze szklanką taniego dżinu z cytryną.

Rojo rozbudził moją ciekawość i chciałem dowiedzieć się wszystkiego, co policjant przede mną ukrywał. To, czy Clara była niebezpieczna, mogłem sprawdzić osobiście.

Zbliżało się południe i czas na coś mocniejszego. Od wewnątrz zżerała mnie potrzeba napisania artykułu, choćby kilku słów, ale zgubiłem gdzieś notes. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go zostawiłem. Moje notatki, całe moje życie. Pisanie było moją heroiną, moją terapią. Format nie był dla mnie ważny. Potrzeba pisania stała się chorobliwym nawykiem. Głowę miałem przepelnioną informacjami. Wrzało w niej jak w garnku na ogniu. Potrzebowałem wypluć całą tę papkę w postaci kroniki. Myśli kłębiły się w mojej głowie. Pomyślałem o Ortizie, o tym, jak sobie radził beze mnie; o mojej rodzinie, z którą nie rozmawiałem już od kilku tygodni; o moim rachunku bankowym – czy jeszcze w ogóle istniał? Pomyślałem o tych wszystkich zmysłowych dziewczynach, z którymi kiedyś spałem, a które teraz chętnie bym przytulił; pomyślałem o Manueli, o jej kragłościach, o fantastycznym wakacyjnym poranku, który spędziliśmy razem. Myślałem o tym wszystkim z

melancholią, chociaż bez szczególnego zaangażowania.

I wtedy do głowy przyszła mi jeszcze jedna osoba.

Pomyślałem o Blance Desastres, wdzięcznym brzmieniu jej nazwiska, wrednym charakterze i ekscytacji, jaką we mnie wzbudzała. Myślałem o Blance jak zadurzony nastolatek. Jej twarz pojawiała się przed moimi oczami raz po raz. Potrząsałem głową, ale ta dziewczyna nadal tam była, w tej swojej koszuli w paski. To nie mogło być prawdą. Przecież nie byłem zakochany. Już jakiś czas temu wyleczyłem się z tego. Miłość to spot reklamowy, bujda. Potrzebowałem przespać się z kimś. Tylko tyle.

Gdy się ocknąłem, stałem na placu przed Mercado Central.

Nagle dobiegł mnie dźwięk dzwonka telefonu. Rozejrzałem się, szukając jego źródła. Myślałem, że dobiega z któregoś domu, ale szybko zorientowałem się, że dochodzi ze starej budki telefonicznej. Rozejrzałem się wokół, ale nikt inny nie reagował.

Podszedłem jak w transie do aparatu i odebrałem.

– Słucham? – zapytałem.

– To ja – powiedział kobiecy głos. To była Clara. – Musimy się zobaczyć. Chcę ci o wszystkim opowiedzieć.

– Tak, jasne – odpowiedziałem zaskoczony. – Gdzie?

– Na ulicy Carlet – powiedziała. – Jest tam parking. Za godzinę. Będę czekać na najwyższym piętrze.

– Chwila... Gdzie teraz jesteś?

Połączenie zostało przerwane.

– Kurwa! – krzyknąłem i cisnąłem słuchawką.

Wyszedłem z budki i rozejrzałem się po fasadach budynków, balkonach i sklepikach spożywczych, ale Clary nigdzie nie było. Oślepiło mnie tylko słońce odbijające się w sklepowych witrynach.

Włożyłem rękę pod koszulę i wyciągnąłem złocony krzyżyk, który od zawsze nosiłem na piersi. Pocałowałem go. Zrobiło mi się słabo i nogi ugięły się pod mną, a po rękach spłynęły strużki potu. Ruszyłem w stronę parkingu. Clara wybrała ustronne miejsce przy malej ulicy, łączącej dwie aleje. Wszedłem schodami na najwyższy poziom. Wszystkie parkingi pachniały tak samo:

olejem silnikowym, zdartymi oponami, benzyną i spalinami. Zerknąłem na zegarek. Nie widziałem jednak nigdzie dziewczyny.

Przeszedłem się wkoło i zwróciłem uwagę na kamery monitoringu. Wszystko było pod kontrolą.

Przeszło mi przez myśl, że to spotkanie mogło być po prostu żartem w dość kiepskim stylu, że traciłem czas. Wtedy jednak właśnie w zaparkowanym nieopodal Fordzie Sierra zapaliły się reflektory. Odwróciłem się. To była ona.

Gdy skinęła na mnie ręką, podszedłem.

– Clara? – spytałem.

– Wsiadaj, szybko – szepnęła z wnętrza samochodu.

Usiadłem z przodu i zapiąłem pasy. Coś jednak mi nie pasowało. Albo jej samochód był zbyt duży, albo ona zbyt mała, jak na niego. Spojrzałem ukradkiem na tylną kanapę: leżały na niej jakieś stare graty i porozrzucane książki. Uruchomiła silnik i powoli opuściliśmy parking. Szarpało samochodem przy każdej zmianie biegów. Nie zachowywała się za kierownicą tak jak w swoim pojeździe.

– To twój? – spytałem.

– Samochód? – odpowiedziała pytaniem. – Nie, to mojego ojca.

Podejrzewałem, że będzie klamać, więc postanowiłem zamilknąć i skończyć z banalami.

Wyjechaliśmy z parkingu i ruszyliśmy do miasta. Zapanowała cisza. Clara prowadziła w okularach przeciwsłonecznych i nie zdjęła ich ani na chwilę. Przyjrzałem się jej i zrozumiałem, dlaczego chowała za nimi twarz. Dostrzegłem siniak wokół prawego oka. Chciała ukryć, że została pobita.

W milczeniu dojechaliśmy w pobliże apartamentu, w którym powiesił się Hidalgo. Drogę tę znała na pamięć.

– Chcę ci coś pokazać – powiedziała. Sprawiała wrażenie czymś poruszonej. Zaparkowaliśmy koło narożnej kawiarni. Weszliśmy do lokalu i Clara wybrała stolik.

– Ja stawiam – dodała.

Nie sprzeciwiłem się.

Podszedł do nas kelner.

– Czego państwo sobie życzą?



– Kawę – odpowiedziała.

– Whisky z colą – rzuciłem. Clara spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami, najwyraźniej zdziwiona tym, że zamawiam alkohol o tak wczesnej porze. Kelner nie był zaskoczony – przywykł już do takich gości.

– Wedle życzenia – odpowiedział mężczyzna i oddalił się.

– Może zdejmiesz okulary? – spytałem.

– Nie – odparła. – Nie chcę zwracać niczyjej uwagi.

– Już to zrobiłaś – powiedziałem. – Wątpię, by miało to coś zmienić.

Kelner wrócił i podał kawę, miseczkę z frytkami oraz whisky z colą w wysokiej szklance.

– Reszta dla pana – powiedziała Clara i wręczyła mu banknot dziesięciu euro. – Dziękuję.

– Jak pani sobie życzy – podziękował zdumiony.

– Słuchaj, Gabriel – zaczęła. – Jest coś, co powinieneś wiedzieć.

– Słucham – powiedziałem i upiłem łyk. – Do rzeczy. O co w tym wszystkim chodzi?

– Hidalgo był nie tylko moim przyjacielem – wyznała. – Był również moim partnerem.

– Byliście parą?

– Nazywaj to jak chcesz – odpowiedziała dziewczyna. – Nie mieszkaliśmy razem, chociaż spędziłam wiele nocy w jego apartamencie. Poznaliśmy się na wydziale. Nie był moim profesorem, nawet nie wiedziałam, że jest wykładowcą. Przechodził wtedy trudny okres.

– Jak się poznaliście? – spytałem, ściskając zimną szklankę.

– Na jednym ze spotkań – odpowiedziała.

– Spotkaniu...? Jakim spotkaniu?

– To była sesja terapeutyczna – odpowiedziała dziewczyna. – Widać, że znałeś tylko starego Hidalga.

– Mów dalej – powiedziałem urażony. Wyjąłem długopis z kieszeni i sięgnąłem po serwetkę. Nigdy nie słyszałem o tym, o czym teraz mówiła.

– Pracowałam w pewnej organizacji, która pomagała osobom z problemami – ciągnęła dalej. – Jestem psychologiem. Pewnego dnia siedziałam w ośrodku, czytałam książkę, gdy zobaczyłam, jak wchodzi – nieobecny i

zgaszony. Jego głos mnie oczarował. Sprawiał wrażenie zawstydzonego, jakby zastanawiał się czy postępuje właściwie. Uspokoiliam go i umówiliam na pierwszą sesję. Obiecałam, że nie podam nikomu jego nazwiska.

– Kiedy to było? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Zanim mianowano go rektorem – odpowiedziała, uśmiechając się nostalgicznie. – Hidalgo szukał pomocy i ją otrzymał. Z początku tylko się przysłuchiwał. Później otworzył się na grupę. Opowiadał o swoim rozwodzie, o problemach finansowych, o swoim dziecku...

– Miał dziecko? – spytałem osłupiały.

– Nie – odparła. – Wtedy już nie. Umarło, w tym samym roku, w którym się urodziło. To było przyczyną rozwodu.

– No nie – powiedziałem, analizując informacje, które spadły na mnie jak grom z jasnego nieba. – Nigdy mi tego nie powiedział.

– Mówił nam też o tobie – dodała.

– Co? – zapytałem.

– Nigdy nie nazwał cię przyjacielem – wyjaśniła dziewczyna. – Nawet nie wspomniał twojego imienia. Nie mógł się uwolnić od ciebie, zerwać z tobą. Byłeś jego heroiną, z tobą czuł się wolny, ale kiedy wracał do domu, widział rozsypujące się powoli małżeństwo.

– Nabijasz się ze mnie? – zapytałem. Jej słowa spowodowały, że po plecach spłynął mi zimny pot. Hidalgo uważał mnie za niegodziwca. – Nigdy go do niczego nie namawiałem.

– O tym też wspominał – odpowiedziała.

– Wydaje mi się, że Hidalgo postradał zmysły – odpowiedziałem i upiłem łyk whisky. – Teraz już rozumiem, dlaczego unikał mnie przez ten cały czas.

– Potrzebował pomocy – powiedziała. – Zatrzaszczyliśmy się o niego.

– Słucham? – spytałem zdziwiony. – To dlaczego się powiesił?

– Chciał mnie ochronić – odpowiedziała. – To była moja wina. Ja go do tego popchnęłam.

– Do samobójstwa?

– Udało nam się sprawić, że przestał pić i zapomniał o tobie – wyjaśniła dziewczyna – stał się innym, nowym człowiekiem. Nie do poznania, naprawdę wspaniałym.

– To widziałem – przerwałem jej. – Dlaczego zachęciłaś go do samobójstwa?

– Zakochałam się w nim, ale mu tego nie powiedziałam – ciągnęła dalej. – Parę razy zjedliśmy coś razem na mieście, ale do niczego nie doszło... Więc zaprosiłam go na weekendowy wyjazd medytacyjny. Tam poznał resztę grupy, naszej rodziny.

Z każdym jej słowem historia stawała się coraz bardziej zagmatwana. Nie mogłem zrozumieć, jak udało im się wyprać mózg Hidalgowi tak zręcznie, że był w stanie całkowicie o mnie zapomnieć. Clara miała rację – gdy spotkaliśmy się w restauracji, był innym człowiekiem. Zacząłem się zastanawiać, co takiego musiał zrobić Hidalgo, że ktoś pragnął jego śmierci.

– Wtedy został rektorem, prawda? – zapytałem.

Dziewczyna przytaknęła.

– Rozwinął dar empatii, co nie wszystkim się podobało – powiedziała Clara. – Antonio promieniał niczym gwiazda i nasz przywódca chciał go poznać.

– Wasz przywódca... –powtórzyłem, marszcząc brwi. – Dziwne.

– Reszta to już historia – dodała. – Gabriel, musisz to nagłośnić.

– Hidalgo dał się wciągnąć w jakąś sektę... – powiedziałem. – O to chodzi?

– To nie jest sekta – wyjaśniła. – To coś więcej. Sekta to tylko nazwa, słowo.

– W jaki sposób go urobili? – zapytałem. – Nie brakowało mu przecież oleju w głowie.

– Nie wiesz, jak to przebiega – wyjaśniła. – Pranie mózgu to proces stopniowy. Gdy zdajesz sobie z tego sprawę, jest już za późno.

– Ale on się w tym połapał, prawda?

– Nie – odparła. – Ja byłem pierwsza. Ja go w to wciągnęłam, a potem chciałam uwolnić.

– Ale?

– Antonio miał wiele zobowiązań – ciągnęła. – Zabrnął w ślepy zaułek.

– Dlatego wysłał Rocamorę – powiedziałem.

– Mniej więcej – powiedziała Clara. – To był strzał na chybił trafił. Rocamora zabił dziewczynę i nie wiedział, do kogo zwrócić się o pomoc. Opowiedział wszystko Hidalgowi.

– Jaką dziewczynę? – spytałem.

– Tą dziewczyną miałam być ja – powiedziała. – Biedny idiota pomylił się. To był tępak.

– Nie rozumiem.

– Chcieli skończyć ze mną – wyjaśniła. – Rocamora wybrał niewłaściwą dziewczynę.

– Jak można się pomylić i zabić inną osobę?

– Czasami się zdarza – powiedziała.

– Hidalgo powiesił się, aby chronić ciebie? – spytałem. Clara kłamała jak najęta. – Dotarło do niego, w co się wpakował?

– Zgadza się – odparła. – Teraz chcą dorwać mnie.

– To ty mnie szukałaś przez cały ten czas – zapytałem. – Prawda?

– Ci ludzie są niebezpieczni – wyjaśniła. – Mają ogromną władzę, większą niż sobie wyobrażasz.

– Kim, do cholery, jesteś? – spytałem. – Jak to możliwe, że do dzisiaj o tobie nie słyszałem?

Clara włożyła rękę do kieszeni, wyjęła pęk kluczy i położyła na stole.

– To klucze do apartamentu – powiedziała i spojrzała na mnie zza okularów przeciwsłonecznych. W głębi lokalu słychać było hałas z telewizora.

– Pod kuchenką ukryta jest skrzynka.

– O nie, dziękuję – odparłem. – Nie jestem Hidalgiem. Nie dam się wciągnąć w te twoje gierki. – Przysunęła klucze bliżej mnie. – Już ci powiedziałem... Skąd ten pomysł? – zaprotestowałem.

– Masz to wymalowane na twarzy – powiedziała. – Chcesz opisać tę historię.

– Na chwilę obecną – wyjaśniłem – mam inne zmartwienia.

– Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz, aby ten policjant skreślił cię z listy podejrzanych... – dodała. – Wszystko jest w skrzynce.

– Ja nic nie zrobiłem, rozumiesz? – opierałem się. – Jestem niewinny... Jeśli chcą mi coś udowodnić, to już ich problem.

– Zrobisz to – odpowiedziała z przekąsem.

Umiała zagrać na emocjach. Przycisnęła mnie do ściany. Moja ciekawość była silniejsza od rozumu. Pokusa dowiedzenia się, co było w mieszkaniu,

rosła we mnie z każdą sekundą.

– A co ty będziesz z tego miała? – zapytałem.

– Sprawiedliwość – odpowiedziała i zdjęła okulary. Odsłoniła oczy, prawe oko miała spuchnięte. Ktoś się zagalopował. – To za niego. Za mnie. Za tych, co próbowali.

Założyła z powrotem okulary.

– Potrzebuję więcej informacji – powiedziałem. – Mam sporo pytań.

– Wszystko jest w skrzynce, Gabrielu – odpowiedziała wyczerpana. Straciła ochotę na dalszą rozmowę. – Adresy, nazwiska, zdjęcia... A teraz idź już sobie.

Wstałem od stołu i schowałem klucze do kieszeni spodni.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytałem.

– Być może – westchnęła – pewnego dnia.

– Mam ostatnie pytanie – powiedziałem.

– Mów... – zachęciła mnie.

– Dlaczego akurat ja?

– Bo jesteś jedyną osobą, której się obawiają – powiedziała kobieta. – Hidalgo opowiadał nam o tobie. Zawsze byłeś jego obsesją, punktem odniesienia. To był dobry człowiek, wiesz? Podziwiał cię, do tego stopnia, że stał się twoim wrogiem... Mylił się. Sam był sobie wrogiem. Dla tych z góry jesteś wcieleniem diabła, przyczyną wszystkich kłopotów.

Odwróciłem się i bez słowa wyszedłem, rozmyślając o tym, co powiedziała. Ruszyłem wprost do drzwi, które wskazała Clara. Nie wiedziałem, czy mam wierzyć w jej historię i przerażało mnie to, czego dowiedziałem się o życiu najbliższego przyjaciela. Myśląc o Hidalgo czułem ból oraz bezsilność. Nie rozumiałem, co takiego zrobiłem, że tak się mną fascynował. Każdy ma swoje obsesje, które spędzają mu sen z powiek. Nie wszystkie udaje się nam okiełznać. Może Hidalgo zabrnął zbyt daleko...?

Byłem wykończony tą rozmową. Wziąłem głęboki oddech, pozwalając świeżemu powietrzu wdrzeć się do moich płuc. Dla poprawy samopoczucia zatrzymałem się na środku chodnika, aby zapalić papierosa. Gdy wyciągałem zapalniczkę, jakiś odgłos zwrócił moją uwagę. W lusterku zaparkowanego obok samochodu zobaczyłem, że ktoś mnie obserwuje. Na środku ulicy, kilkanaście metrów za mną, stał czerwony samochód z włączonym silnikiem.

Nie widziałem dobrze kierowcy, ale po sylwetce i łokciu wystającym przez otwarte okno wywnioskowałem, że był to mężczyzna. Na ulicy, jak to często bywa latem o tej porze, nie było żywej duszy. Samochód, z każdym moim krokiem nieco przyspieszał, a dystans między nami malał. W końcu pojazd zrównał się ze mną. Kierowca zrobił pierwsze podejście, zbliżył się do chodnika i uderzył w jeden z zaparkowanych samochodów. Rozległ się zgrzyt wyginanej blachy. Zatrzymałem się wystraszony i gdy podjechał bliżej, chwyciłem zielony pojemnik na śmieci instynktownie cisnąłem nim w kierunku samochodu. Pękła przednia szyba i auto stanęło w miejscu. Nagle z oddali dobiegł mnie warkot silnika nadjeżdżającego motocykla.

– Gabriell – usłyszałem kobiecy głos. To była Blanka na niebieskiej Vespie.  
– Uciekajmy!

Pobiegłem w jej stronę, wskoczyłem na tylne siedzenie i ruszyliśmy na północ, zostawiając za sobą chmurę dymu. Blanka podała mi kask. Założyłem go i objąłem ją w pól. Cud, cholerny cud. Czulem mdłości, chciało mi się jednocześnie rzygać i skakać z radości.

Samochód został z tyłu. Klucząc małymi, ciasnymi uliczkami, dotarliśmy do plaży Albufereta. Blanka zatrzymała się. U naszych stóp zobaczyliśmy morze.

– Na Boga – powiedziałem, zsiadając z motocykla. – Co to było?

Czulem się, jak po małej kresce o poranku.

Blanka zdjęła kask.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Podszedłem i stanąłem naprzeciwko niej.

– Co tam robiłaś? Mów! – krzyknąłem, celując w nią palcem. – Śledziłaś mnie?

– Właśnie uratowałam ci życie – odpowiedziała. – Jesteś idiotą, czy co?

Zeszliśmy na plażę po schodach, które łączyły kamienny mur nabrzeża z brzegiem morza, i usiedliśmy na piasku.

– Czego chcesz? – zapytałem wyczerpany.

– Mam twoje zdjęcia z tą kobietą – powiedziała chłodno, tak jakby to, co stało się przed chwilą, wydarzyło się w wakacyjnym kinie, a nie naprawdę. – Chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Nic nie rozumiesz? – zapytałem i popatrzyłem jej w oczy. – Masz poważny problem.

– Nie. Jeśli ktoś tutaj ma problem, to ty – powiedziała. – To jest moja historia. Opiszę ją i ani ty, ani nikt inny mi w tym nie przeszkodzi.

Byłem jej winny przysługę – uratowała mi życie.

Blanka dopiero się rozkręcała.

Opowiedziałem Blance o tym, co się wydarzyło: o Clarze, o kluczach i skrzynce w mieszkaniu Hidalgo. Powiedziała mi, że śledziła mnie od samego początku. Nie wiem, czemu nie domyśliłem się tego wcześniej.

Blanka była podekscytowana całą tą historią i chciała poznać jej koniec. Bez wątplenia, oprócz motywacji zawodowej, napędzało ją coś więcej. Zacząłem podejrzewać, że musi to być jakieś bardzo silne uczucie, którym niebawem się ze mną podzieli.

Sam nie miałem większego wyboru. Wplątałem się w niezły labirynt, a znalezienie wyjścia wydawało się coraz bardziej skomplikowane.

Podejrzanych przybywało, a Clara zajmowała coraz wyższą pozycję w rankingu. Nigdy wcześniej nie słyszałem o niej, nie widziałem jej twarzy ani w prasie lokalnej, ani w telewizji.

Przypomniałem sobie, że parę lat temu zajmowałem się podobną historią związaną z sektami. Bohaterem był chłopak, któremu udało się wyrwać ze szponów pewnej religijnej grupy. Organizacja, którą stworzyli psychiatry i terapeuci, ograbiła swoich członków z tysięcy euro. Wszystko załatwili po cichu. Rodziny poszkodowanych skrzyknęły się i zaangażowały w sprawę całą dzielnicę. Później, w trakcie procesu przywódców, chłopak wkradł się do domu jednego z nich i obciął mu głowę piłą, po czym popełnił samobójstwo, strzelając sobie w skroń. Ponura historia, która szybko poszła w zapomnienie. Przywykliśmy do takich sytuacji i w ogóle nas już nie ruszają.

– Zamierzasz pójść z tym na policję? – spytała Blanka.

– Nie – odpowiedziałem. Clara nie pozostawiła mi wyboru. Wszystko, czego potrzebowałem, znajdowało się w skrzynce. Nie mogłem popełnić żadnego błędu. Inspektor Rojo przestałby traktować mnie serio, gdybym opowiedział mu historyjkę rodem z jakiegoś konkursu literackiego. – Musisz

pójść ze mną do tego mieszkania.

– Chodzi o skrzynkę? – zapytała.

– Tak. Przypuszczam, że tak.

– Będą obserwować dom. Musimy być ostrożni.

– Nie znajdują jej.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ nie wiedzą czego szukać.

Blanka podwoziła mnie do domu. Zaparkowaliśmy koło baru Ramiro, starego, hiszpańskiego lokalu, przypominającego tawernę. Zazwyczaj gościł mieszkańców dzielnicy i serwował piwo oraz wino z beczki, kanapki i futbol. Bar był przepelniony. Trwał mecz, ale nie pamiętam, kto z kim grał.

– Dziękuję – powiedziałem i zsiadłem z motocykla.

Gdy oddawałem kask, nieumyślnie musnąłem jej dłoń.. Może to było zwykle wyładowanie elektrostatyczne, a może napięcie wywołane wydarzeniami, ale poczułem, że coś między nami zaiskrzyło. Poczuliśmy to oboje. Blanka spojrzała na mnie ukradkiem i nieufnie. Krępująca cisza trwała kilka sekund. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Blanka miała powierzchowność osoby twardej, ale wyczułem jej skrępowanie, więc odważyłem się pierwszy:

– Masz ochotę na piwo? Ja stawiam. Za uratowanie życia... – powiedziałem.

– Tutaj? – spytała, wskazując na bar dla emerytów.

– Tak – odpowiedziałem.

– Dobrze – odpowiedziała bez grymasu.

– Najpierw jednak muszę zajrzeć na chwilę do mojego mieszkania – dodałem. – Na minutę.

Blanka postanowiła pójść ze mną. Nie miałem zamiaru pokazywać jej mieszkania. Muszę przyznać, że byłem bardziej skupiony na sobie niż na stwarzaniu sposobności zaciągnięcia jej do łóżka. Po wyjściu z windy okazało się, że zamek w drzwiach do lokum ciotki jest rozbity. Ktoś włamał się do środka.

– Niezły bajzel – powiedziała Blanka. – Ciekawe, co mówią odwiedzające cię kobiety?



– Nie zachowuj się jak idiotka – odparłem. – Przecież od razu widać, że ktoś się do mnie włamał.

Szybkim krokiem ruszyłem do mojego pokoju. Wszystko było wywrócone do góry nogami. Ubrania leżały porozrzucane na łóżku, materac był rozpruty. Podobnie wyglądała reszta pomieszczeń. Ktoś zabrał laptopa i zdjęcia, które miałem zawieszane na korkowej tablicy.

– Cholera jasna – powiedziałem i kopnąłem w drzwi. – Kim są ci dranie?

– Nie wiem. Ale przyłożyli się.

– To już drugi raz.

– Czego szukają?

– Trudno zgadnąć – odpowiedziałem. – Przypuszczam, że chcą znaleźć na mnie haka.

Blanka wyjęła z torby aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć.

– To nam pomoże zrozumieć, o co tu chodzi – powiedziała, hałasując migawką. – Chyba nie masz zamiaru dzwonić na policję?

Spojrzałem na nią wściekły. Była przejęta wyłącznie sobą i tym swoim całym artykułem. Niczym więcej.

Chwyciłem oprawione w ramkę zdjęcie i cisnąłem nim o ścianę kilka metrów od niej. Rozległ się huk.

– Zwariowałeś, człowieku? – wykrzyknęła. – Mogłeś mnie zabić!

Wyciągnąłem zmiętą paczkę papierosów z kieszeni, zapaliłem i nie oglądając się za siebie, wyszedłem. Zszedłem do knajpy, zamówiłem whisky z colą i usiadłem przy barze. Potrzebowałem przemyśleć sprawy, podjąć decyzję. Mogłem zadzwonić na policję lub skończyć ze wszystkim, skacząc do maszynki do mięsa jak ten facet w fabryce. Byłem senny, słaby i bolała mnie głowa. Głód nie pozwalał mi zebrać myśli, więc zamówiłem kanapkę z polędwicą. Wziąłem kilka kęsów i popatrzyłem na mecz. Szklanka stała pełna – whisky mi nie wchodziła. Zrozumiałem, że skoro już raz włamali się do mojego mieszkania, to nic nie stoi na przeszkodzie, by zrobili to po raz drugi. Drzwi były stare, a zamek nie należał do najdroższych. Na szczęście w mieszkaniu nie było zbyt wiele wartościowych przedmiotów. Wprowadziłem się do niego z dwiema walizkami – to było wszystko, co posiadałem. Nie kupowałem żadnych mebli ani ubrań. Tylko jedzenie, środki do sprzątnięcia i

trochę drobiazgów. Nie przywiązywałem wagi do posiadania rzeczy i zadowalałem się tym, co niezbędne do życia. Obok lampki w pokoju postawiłem fotografię Steve'a Jobsa i wyobrażałem sobie, że jestem taki jak on, choć nie dorównywałem mu ani talentem, ani stanem portfela. Jobs był geniuszem w swoim fachu, a ja w swoim. Z tą różnicą, że ja jeszcze nie odkryłem swojego daru.

Nie zabrali zeszytów z zapiskami. Idioci pominęli najistotniejszy element dziedzictwa ludzkości: literaturę. Robiłem notatki w zeszytach kupowanych w sklepach z chińską tanioczą. Pisałem na skrawkach papieru i gazet, które następnie zszywałem, robiąc z nich książeczki z zapiskami. Czasami pisałem też na marginesach powieści wypożyczanych w publicznych bibliotekach. Pisanie było dla mnie jedną z podstawowych funkcji życiowych, czasami ważniejszą od jedzenia i picia.

Po chwili w barze zjawiała się Blanka. Chwyciła tapicerowany taboret i przysiadła się. Jej słodki głos przebił się przez hałasującą telewizję i prostackie okrzyki kibiców:

– Możesz spać u mnie na kanapie – powiedziała. – Zostań tyle czasu, ile potrzebujesz.

Blanka Desastres, dziewczyna patrząca wyłącznie na czubek własnego nosa, przygarnęła mnie do swojego domu. Musiałem wyglądać naprawdę żałośnie, skoro wzbudziłem w niej litość.

– Jesteś pewna?

– Uważaj, bo za chwilę się rozmyślę.

– Dziękuję. Nie sprawię ci kłopotu.

Kelner postawił przed nią piwo. Blanka wzniosła toast, co sprawiło, że poczułem się odrobinę lepiej. Jeszcze nie dotarło do mnie, co zrobiła, ale rosła we mnie potrzeba przytulenia się i uśnięcia u czyjegoś boku. Wiedziałem, że dzisiaj będę spać na sofie i pewnie minie trochę czasu zanim zasnę z Blanką w ramionach. Ale to nie miało znaczenia. Czulem się samotny. Hidalgo odszedł na zawsze.

Spojrzałem na szklanę z trunkiem rozpuszczonym w topniejącym lodzie. Podniosłem ją do góry, zakolysałem nią, patrząc pod światło na zawartość i upiłem jeszcze jeden łyk. Płyn zmroził mi język, podrapał w gardło i spłynął

do żołądka.

Czekało mnie mnóstwo pracy.

Musiałem ratować siebie i pozbyć się Blanki Desastres... albo związać się z nią do końca życia. Czas działał na moją niekorzyść.

Bar powoli pustoszał, a my siedzieliśmy pogrążeni we własnych myślach. W telewizorze nadal leciał mecz. W lustrze widziałem odbicie kibicujących facetów w rozpiętych na piersi koszulach.

Zapowiadała się wilgotna noc. Pomyślałem, że z przyjemnością zajmę kanapę Blanki.

Spojrzałem dziewczynie prosto w oczy, pożerając ją wzrokiem.

Ona spojrzała na moje usta.

Byliśmy blisko.

Wtedy rzuciła:

– Skończyłeś? Już zamykają.

## 8

Obudził mnie szum kawiarki i hałaśliwa muzyka dobiegająca z laptopa. Spałem na brzuchu z głową wciśniętą w sofę i teraz czułem każdą jej nierówność odciskającą się na twarzy. Blanka wynajmowała kawalerkę, która składała się z sypialni i salonu połączonego z kuchnią. Białe ściany, skromne meble i stół z Ikei. Otworzyłem jedno oko i zobaczyłem ją krzątającą się w kuchni ze spiętymi w koński ogon włosami.

Było gorąco. Wstałem, aby wziąć prysznic. Promienie słońca odbijały się od lodówki, obok której stała Blanka i na czarnej patelni podpiekała pieczywo do przygotowanej w filiżankach kawy.

– Dobrze spałeś? – zapytała łagodnym tonem. – Twój telefon dzwonił kilka razy, ale nie chciałam cię budzić.

– Mój telefon? – zdziwiłem się. – A ty? Odpoczęłaś?

– Wystarczająco – powiedziała, kładąc opieczony chleb na talerzu. – Nie znalazłam wielu informacji o tej kobiecie.

– A co masz?

– Adres – powiedziała. – Adres jakiegoś ośrodka.

– Z tym to niewiele zdziałamy – odpowiedziałem.

– Musimy iść do tego mieszkania, Gabriel – powiedziała. – Nie ma innego wyjścia.

Wstałem, chwyciłem filiżankę ze stołu i upiłem łyk kawy. Parzyła w język. Wyjrzałem przez okno.

– Pójdę sam – oświadczyłem. – Ty poczekaś na zewnątrz.

- Nie – odpowiedziała.
- Gdyby coś ci się stało... – zacząłem.
- Nic mi nie będzie – odpowiedziała pewnie. – Nie są zawodowcami. Już z daleka wyczuwam amatorszczyznę.
- Nie doceniasz ludzi – powiedziałem. – Kiedyś za to zapłacisz.

Podszedłem do stołu i usiadłem obok niej. Ugryzłem kilka kęsów chleba z oliwą i udałem się pod prysznic. Po wyjściu z łazienki, zauważyłem, że na stole pojawił się stary laptop. Blanka nadal się nie przebrała i paradowała w koszulce bez ramiączek, spod której wystawał czarny biustonosz.

Włączyłem komputer.

- Co myślisz o kinie? – zapytała, wpatrując się w komputer.
- Niezbyt mnie pociąga – odpowiedziałem. – Nigdy mnie za bardzo nie interesowało.
- Jesteś dziwnym facetem – stwierdziła. – Wszyscy lubią oglądać filmy.
- Ja nie – odpowiedziałem. – Dla mnie to tylko kolejna forma rozrywki. Szanuję pracę aktorów i rozumiem, że dostają pieniądze za zabawianie innych.
- To trudny zawód – odpowiedziała, stukając w klawiaturę.
- Jak każdy inny – upierałem się. – Aktor jest po prostu aktorem, niczym więcej.

Nie interesowała mnie sztuka dramatyczna ani życie milionerów. Nie uznawałem filmów za formę twórczą, ale odtwórczą. Dlatego też mało mnie interesowały. Podziwiałem muzyków, pisarzy, nawet malarzy. Natomiast aktorów traktowałem podobnie jak piłkarzy, gwiazdy pop lub prezenterów telewizyjnych. Każdy powinien zarabiać na życie tak, jak potrafi. Nie mogłem jednak powiedzieć Blance, że rozmowy o kinie, muzyce lub na jakikolwiek inny temat niezwiązany z naszym śledztwem, wywołają tylko kłótnię. Taki już byłem: nie potrafiłem udawać kogoś innego i może właśnie dlatego nie cenilem aktorów.

Sprawdziłem telefon. Moja sytuacja robiła się coraz mniej ciekawa – miałem dwa nieodebrane połączenia od Ortiza. Teraz to już na pewno stracę pracę. Redakcję zamieniłem na stół w mieszkaniu w nieznanym mi dzielnicy.

Poprosiłem Blankę, aby ściszyła muzykę i włączyłem radio. W wiadomościach mówiono o ostatnim pożegnaniu Hidalga. Spikerka wymieniła

długą listę osobistości i polityków biorących udział w kondukcje żałobnym. Oprócz uroczystego pogrzebu, zaplanowano również oddzielne wydarzenie dla uczczenia jego pamięci.

– Wszyscy będą uczestniczyć w uroczystości i my też powinniśmy pójść – powiedziała Blanka. – Może być ciekawie – dodała, wpatrując się w ekran laptopa. Chyba coś znalazła.

Zerknąłem w ekran, ale nie dostrzegłem tam niczego istotnego. Przyjrzałem się Blance. Tak naprawdę, to wolalbym znaleźć się w tej kawalerce z innych powodów niż te, które nas teraz połączyły. Bez ubrania i w łóżku. Teraz wyglądaliśmy jak dwójka studentów piszących pracę semestralną.

– Cholera, Blanka, wątpię, że w tym mieszkaniu znajdziemy coś ciekawego.

– W ten sposób niczego się nie dowiemy.

Nalegałem, aby dalej prowadzić śledztwo, by zebrać jak najwięcej informacji. Blanka jednak była nieugięta. Wciąż upierała się przy swoim, zdając się w ogóle nie zważać na konsekwencje.

Klucze do mieszkania leżały obok wielkiej, kryształowej popielniczki. Chyba czekały, aż schowam je do kieszeni. Jeżeli miałem rozwikłać zagadkę, to wcześniej czy później i tak musiałem tam pójść. Było jednak coś, co nie do końca pasowało mi w planie kochanki Hidalga. Policjant ostrzegł mnie, aby zbytnio jej nie ufać – przecież mieszkanie, po wyniesieniu zwłok Hidalga, musiało zostać zaplombowane. Byłem jednak pewien, że Blanka nie odpuści, póki nie dowie się, co znajduje się w środku. Z kolei mój wewnętrzny głos podpowiadał mi, że powinniśmy zaczekać.

– Mam to, czego szukaliśmy – oznajmiła Blanka z rozpromienioną twarzą, odwracając się od laptopa.

Znalazła kilka artykułów na temat grupy terapeutycznej zwanej „Bractwo milczenia”. Nigdy nie słyszałem takiej nazwy. Poprosiłem, żeby zaczęła czytać, a sam dolałem sobie trochę kawy, zająłem miejsce na parapecie i zapaliłem papierosa. W komentarzach na forach internetowych donoszono o nadużyciach pewnej organizacji, która wykorzystywała swoich członków, stosując hipnozę lub manipulacje psychologiczne. W opiniach przewijały się wciąż te same historie, tylko z innymi bohaterami. Wszystko wskazywało na to,

że była to sekta, jednak brakowało dowodów potwierdzających, że motywem działania były pieniądze.

– Powinniśmy spróbować – powiedziała Blanka, kończąc czytać.

– Przykro mi – odpowiedziałem. – Ja w to nie wchodzę.

– Jak chcesz – odparła. – Pójdę na jedną z ich sesji. Chcę poznać tych ludzi. To musi mieć jakiś związek z twoją sprawą.

– A jeśli i tobie zrobią pranie mózgu? – zapytałem nieufnie.

– Ktoś musi zaryzykować – powiedziała. Podeszedłem do niej i rzuciłem okiem na stronę internetową ośrodka. Na ekranie widać było zdjęcie schludnego, pozbawionego jakichkolwiek ozdób budynku. Obok fotografii pełno było cytatów Konfucjusza, Siddharty, LaoTse i innych wschodnich filozofów. Ze zdjęcia emanował spokój. Cisza może również oznaczać spokój, pomyślałem. – Jesteś pewien, że nie chcesz iść? Mają kółko medytacyjne.

– Świat się wali, Blanka – odpowiedziałem.

– Twój również – powiedziała. – Może cię to zainspiruje.

– Muszę zadbać o swoje dotychczasowe życie – powiedziałem. – Nie chcę zaczynać od zera.

– Dobrze. Twój wybór – odpowiedziała.

Blanka podjęła już decyzję. Dalej oglądała zdjęcia. Na żadnym z nich nie było widać ludzi. Królowała anonimowość. Nie było też żadnych wycinków ani informacji prasowych. Najwyraźniej nie udzielali wywiadów i nie promowali swojej działalności.

Na jednej z fotografii coś przykuło moją uwagę. Zobaczyłem postać mężczyzny o siwych, krótkich włosach i wyniosłym spojrzeniu.

– Powiększ to zdjęcie – poprosiłem. Blanka posłuchała i gdy tylko zbliżyła obraz, momentalnie poczułem, jak w mojej głowie uruchomia się film, klatka po klatce, jak tasowana talia kart. Gdzieś już widziałem tego faceta. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach, a w oczach mi pociemniało. To był ten mężczyzna, z którym zderzyłem się kilka dni wcześniej na komisariacie. Przypomniałem sobie drania. Oblał mnie zimny pot. Pomyślałem o Hidalgu. Powiązałem ich obu. Miałem ochotę poderżnąć draniowi gardło. Ten facet, który uklął mnie czymś w ramię, mógł wkraść się w nocy do mojego mieszkania. Odurzył mnie jakąś substancją? W tym momencie przestałem

wierzyć w zbiegi okoliczności. To był on, na sto procent, a jego twarz była twarzą ośrodka. Zmieniłem zdanie. Postanowiłem jechać razem z Blanką.

Wyszliśmy na ulicę i w drodze do motoru obmyślaliśmy naszą historyjkę. Dziennikarstwo śledcze nie było moją mocną stroną, ale Blanka miała trochę więcej doświadczenia. Nie powiedziałem jej tego, ale jej artykuły bardzo pozytywnie mnie zaskoczyły. Była młoda, ale naprawdę dobra w tym, co robiła. Co chyba jednak najważniejsze, była przy tym cholernie odważna. Przed nią trudne lata. Ale jakie to miało w tej chwili znaczenie, skoro zaledwie pięć minut dzieliło ją od wstąpienia do sekty, której zasadą było milczenie, a celem osiągnięcie wiecznego spokoju. Postanowiliśmy udawać zwykłą parę z normalnymi domowymi problemami. To był jej pomysł, który od razu mi się spodobał.

Nasze niechlujne ubranie, trochę new age, a trochę rock and roll, z pewnością będzie zwracać uwagę. Blanka ubierała się w obcisłe prążkowane koszule w stylu weneckim, podkreślające biust, spodnie poprzecierane na kolanach i tenisówki All-Star na płaskiej podeszwie. Była apetycznym kąskiem dla chłopaków grających w metalowej kapeli lub koleśki jeżdżących na motorach. Staralem się jednak hamować przed zbyt idealizowaniem i stawianiem jej na podium tuż obok innych pięknych dziewczyn, bo wiedziałem, że przez to stanie się dla mnie jeszcze bardziej nieosiągalna. Tacy faceci jak ja musieli trzymać w ryzach swoje pragnienia, nie dać ponieść się fantazjom, bo pewnego dnia mogłyby przerodzić się one w obsesję. Blanka zauważyłaby to i straciła na zawsze zainteresowanie mną.

– To nie zadziała – powiedziałem, przyglądając się naszemu odbiciu w witrynie sklepu meblowego.

Wsiadliśmy na motor Blanki i po paru minutach dojechaliśmy na miejsce.

– To tutaj – powiedziała Blanka. – Gotowy? Tylko nie przesadz.

– Nie martw się – odpowiedziałem. – Wczuwam się w rolę.

Zdjęliśmy okulary przeciwsłoneczne i weszliśmy do otynkowanego na biało budynku. Pachniało czystością i środkami do dezynfekcji, trochę jak w szpitalnej łazience.

Ruszyliśmy korytarzem. Wnętrze było ogromne. Na parterze z wysoko



zawieszonym sufitem znajdowało się wiele pomieszczeń. Kiedyś musiał tu być magazyn.

Naprzeciw nam wyszła dziewczyna. Na jej pozbawionej wyrazu twarzy widniał sztuczny uśmiech. Włosy miała spięte w koński ogon i ubrana była w biały lekarski fartuch.

– Dzień dobry – przywitała się. – W czym mogę pomóc?

Blanka sprzedała jej naszą bajeczkę. Kobieta słuchała uważnie, przytakując głową raz po raz. Białe, szpitalne wnętrze sprawiło, że czułem się jak w reklamie opatrunków.

Wtedy na scenę wkroczył mężczyzna. To był on. Obok nas stał typ z komisariatu, twarz ze strony internetowej. Spojrzał na mnie, a potem na Blankę, która trajkotała jak tropikalna papuga. Podszedł do dziewczyny w białym kitlu i położył dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam, że przerywam... – powiedział niskim, hipnotycznym, ale miłym głosem. – Nazywam się Cornelio.

Uśmiechnął się i zdecydowanym ruchem uściśnął nam ręce. Oczy miał takie same jak na zdjęciu: ciemne i przenikliwe. Roztaczał wokół siebie aureę lidera. Musiał być przywódcą tego stada baranów.

Przedstawiliśmy się i opowiedzieliśmy mu o naszym wydumanym problemie, który rzekomo nas tu przyprowadził. Blanka była niezła w zmyślaniu historii. Nawet lepsza niż w ich opisywaniu. Ledwo nadażalem za wszystkimi szczegółami, które zręcznie łączyła, uwiarygadniając naszą bajeczkę. Postanowiłem milczeć i przytakiwałem ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Jak dowiedzieliście się o ośrodku? – spytał Cornelio, głaszcząc podbródek.

Zacząłem się pocić. Przelknąłem ślinę.

– Od przyjaciela – odpowiedziała Blanka.

– Jak się nazywa? – zapytała kobieta.

– Tutaj jesteśmy dla siebie jak rodzina – powiedział Cornelio, łagodząc wagę pytania.

– Antonio... – odpowiedziała Blanka – Antonio Hidalgo.

– Ciekawe... – powiedział mężczyzna. Potem wykonał porozumiewawczy

gest w stronę dziewczyny, odwrócił się i rzucił: – Ja się państwem zajmę, Carolina.

– Czy powiedziałam coś niestosownego? – obruszyła się Blanka. – Hidalgo był moim wykładowcą. Zachwalał ośrodek... Od wielu lat nie miałam z nim kontaktu.

Mężczyzna uśmiechnął się sztucznie, rozpostarł szeroko ramiona i zaprosił nas do środka.

– Witajcie – powiedział.

A więc zostaliśmy oficjalnie przyjęci do Bractwa Milczenia.

## 9

Idąc korytarzem, oboje zwróciliśmy uwagę na ogromny obraz wiszący na ścianie. Na czarnym, kwadratowym tle widniał duży, biały okrąg z kropką pośrodku. Gdzieś już widziałem ten symbol. Przyglądaliśmy się mu uważnie. Po lewej stronie znajdowało się zdjęcie Carla Junga oraz cytat mówiący, że Bóg jest okręgiem, którego środek znajduje się wszędzie, a obwód nigdzie. Wątpiłem, aby Bóg faktycznie był w tym miejscu. Okręgi z kropką pośrodku, okręgi wszędzie. Abstrakcyjny symbol, który każdy mógł interpretować na swój sposób.

– Milczenie to język, którego używamy w rozmowie z Bogiem – powiedział Cornelio. – Trzeba się w nim zatracić, aby móc go usłyszeć.

Nasz nowy guru wyjaśnił, że punkt centralny obwodu symbolizuje przenikanie Boga przez wszystko. Następnie westchnął i spytał sam siebie, jak to się stało, że tyle czasu zabrało nam uświadomienie sobie jego istnienia. Raz po raz przytakiwałem mu, udając zainteresowanie jego nudną przemową. Popisywał się przed Blanką wiedzą rodem z Telemango. A ona zahipnotyzowana jego głosem słuchała, nieświadomie pograżając się coraz bardziej i bardziej w okręgu przenikania.

– Jak to wszystko może nam pomóc? – spytałem. – Naszemu związkowi.

Oboje spojrzeli się na mnie.

Cornelio uśmiechnął się.

– Myśleliśmy, że milczenie jest nicością – odpowiedział – ale myliliśmy się.

Ma wiele postaci. Dopiero wtedy, gdy nauczymy się słuchać sercem, jesteśmy w stanie je zrozumieć. W ten sposób znajdujemy odpowiedź, w ten sposób usłyszysz ją ty...

– To prosty sposób – powiedziałem.

Pogroził mi palcem. Dopiero później dowiedziałem się, czego dotyczyła ta przestroga.

– Prostota jest najwyższą formą wyrafinowania – powiedział. – Nie wierz temu, co widzisz... To tylko złudzenia... Może chcecie wziąć udział w popołudniowej sesji?

– Brzmi fantastycznie – powiedziała Blanka.

Rozmowa zmieniła charakter, stała się bardziej intymna. Przekonał nas. Blanka uwierzyła mu na słowo. Patrzyłem na jeden z tych okręgów, które znaczyły wiele, a zarazem nic. Cała ta symbolika wydawała mi się mocno podejrzana. Cornelio inspirował się Bogiem i jego wszechobecnością i nie trzeba było wielkiej inteligencji, by zauważyć, że sam chciał uchodzić za wszechpotężnego. Podczas gdy ja medytowałem nad tymi sprawami, Blanka piała z zachwytu nad tanimi sztuczkami magika, którymi byle iluzjonista-amator potrafił zabłysnąć przed podchmieloną widownią.

Wrózenie z ręki lub fusów, jarmarczne sztuczki, odgadywanie przeszłości na podstawie informacji wydobytych od samej zainteresowanej – to zawsze pociągało dziewczyny. Zagadka istnienia, naszego pochodzenia, tajemnice przeszłości. Zawsze chodziło o to samo.

Blanka zachwycała się, zafascynowana naukami Cornelia.

Powoli zaczęli pojawiać się inni członkowie Bractwa. Były to w większości pary w średnim wieku, które roztaczały wokół siebie dziwną aurę. Zrelaksowani i uśmiechnięci witali się Corneliem, a ten kierował ich do jednej z sal. Wszyscy wyglądali bardzo podobnie. Pozbawieni jakichkolwiek oznak ludzkiej próżności i seksualnych podtekstów. W ich ubiorach brakowało frywolności: dekoltów, zbyt krótkich spódniczek, opiętych pośladków. Uśmiechnięte istoty proszące się o to, aby znowu zrobić je w trąbę.

– Tędy – powiedział Cornelio i zaprowadził nas na koniec korytarza. Stanęliśmy przed podwójnymi drzwiami, przypominającymi wejście do sali gimnastycznej. Bez wątplenia kiedyś było to miejsce, w którym ćwiczono

sztuki walki. Zachowały się maty treningowe. Ściany pomieszczenia pomalowano na białe, okna zamurowano. Przygaszono lampy, natomiast sam środek sali skąpany był w oślepiającym świetle.

Ktoś zamknął drzwi. Usłyszałem odgłos przekręcanego klucza w zamku. Wiedziałem, że jeżeli chcę stąd wyjść cało, to muszę mieć się na baczności.

– Mam gęsią skórkę – powiedziała Blanka.

– O czym ty mówisz? – spytałem. – Widzisz tych ludzi? Są jak zahipnotyzowani.

– Czy to nie ekscytujące? – odpowiedziała.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła. – Po prostu wczuwam się w rolę.

– Używa tych swoich trików – powiedziałem. – Bądź ostrożna.

– Serio myślisz, że uwierzyłam w to wszystko?

– Bądź ostrożna – nalegałem. – Nie chcę, aby coś ci się stało.

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała, uśmiechając się.

Podeszła do nas jakaś dziewczyna i wręczyła nam dwie, obszerne tuniki z białego lnu.

– Proszę – powiedziała. – To na sesję. Biały kolor oznacza harmonię.

Wzięliśmy je i bez sprzeciwu założyliśmy. Ruszyliśmy w kierunku kręgu, który uczestnicy utworzyli na środku sali. Był on podobny do tego, który widzieliśmy na obrazie w korytarzu. Rozejrzałem się wokół, ale nie zauważyłem kamer monitoringu. Sesje nie były rejestrowane. Doskonale miejsce, aby wszystkich zagazować. Przez głowę przemknęło mi kilka możliwych scenariuszy tego spotkania. Obstawiałem, że będzie to orgia, w której udział wezmą wszyscy. Przebrani w maski i tuniki będą się wzajemnie ujeżdżać.

Nie mogłem uwierzyć, że Hidalgo wplątał się w coś takiego. Albo był bardzo zakochany w tamtej dziewczynie, albo całkowicie porąbany. Wszystkie szczegóły – symbolika, rytuały, hierarchia – wskazywały na to, że jest to sekta lub jakieś bractwo.

Cornelio pojawił się ubrany w czarną tunikę, doskonale pasującą do okazji. Na środek sali wprowadziła go rudowłosa kobieta, która następnie dołączyła do pozostałych uczestników. Oświetlał go snop światła, tworzący wokół niego

okrąg. Zgaszono resztę światel i zapadła cisza. Białe tuniki eksponowały figury zebranych, a ich twarze skrywał mrok. Popatrzyliśmy na siebie. Blanka skinęła głową, prosząc mnie o zachowanie powagi.

Usiedliśmy na kolanach w pozycji orientalnej, jak do medytacji i oparliśmy dłonie na udach. Cornelio pozdrowił wszystkich:

– Bracia... – rozpoczął – dziś jest z nami para nowicjuszy... Przywiódł ich tutaj, jak nas wszystkich, jakiś problem... Bo nikt nie przychodzi do nas bez powodu....

Nie wymienił naszych imion, nie powiedział nic na temat naszych problemów. Potem zachęcił nas do głębokiego oddychania. Terapia polegała na relaksacji i grupowej medytacji – jednym z tych ćwiczeń, które wielokrotnie widziałem w telewizji. Jednak Cornelio miał własne sposoby.

– Słuchajcie ciszy... Rozluźnijcie się i wsłuchajcie się w nią – powiedział. Nie potrafiłem się jednak skoncentrować. Bo niby na czym? Jak, do cholery, miałem usłyszeć coś pośród ciszy? Zacząłem się denerwować. – W waszych głowach pojawi się kształt... Zapamiętajcie jego kolor i formę. Później to przeanalizujemy.

Rozejrzałem się wokół. W ciemnościach ledwie widziałem Blanę – oczy miała zamknięte, była skoncentrowana na ćwiczeniu i całkowicie zrelaksowana. W białej tunice i włosach rozpuszczonych na ramiona, z niewinną miną, przypominała anioła. Pozostali uczestnicy wyglądali tak samo. Oddychali głęboko, pogrążeni w poszukiwaniu swojego kształtu. Wtedy spojrzałem na Cornelia, a on na mnie.

– Poczekajcie chwilę, bracia... Wygląda na to, że mamy problem... – powiedział, wbijając we mnie wzrok. Uczestnicy otrząsnęli się z transu, jakby ktoś nagle zakręcił im kurek. W sali rozległy się szepty. Cornelio wymierzył we mnie palec. W padającym na niego z góry świetle wyglądał bardzo majestatycznie. – Nie jest możliwe znalezienie kształtu, kiedy jeden z nas w to nie wierzy. Brakuje harmonii i nie podążamy w tym samym kierunku... Uważasz się za kogoś lepszego? Za bardziej inteligentnego?

Pytanie zawisło w próżni.

Milczałem. Blanka spojrzała na mnie zawiedziona. – No dalej, odpowiadaj. Myślisz, że to wszystko jest głupie, tak?

– Nie – odpowiedziałem, czując wewnętrzny przymus. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. To była jego kolejna sztuczka.

Wszyscy na mnie patrzyli. Mój głos zabrzmiał bardzo donośnie, objając się o wszystkie ściany w pomieszczeniu.

– No pięknie... – powiedział Cornelio. Jego czar prysł. – Naprawdę, nikt cię tu nie trzyma. Możesz sobie iść, jeśli uważasz, że to jest absurdalne...

– Wcale tak nie uważam – odpowiedziałem. – Po prostu... to nie dla mnie.

– Cóż – odpowiedział. – Nie dla ciebie... A co jest dla ciebie?

– To tutaj... nie – odparłem. – Chcieliśmy rozwiązać problemy, które mamy w naszym związku. Wątpię, by ten numerek w czymś nam pomógł.

Blanka szturchnęła mnie.

– Znacie to prawda? – powiedział Cornelio, kierując się do pozostałych. – Jest wśród nas brat małej wiary. Widzę w nim podobieństwo do wielu z was. Jak ci na imię?

– Gabriel.

– Bracie Gabrielu – powiedział. Wszyscy wpatrywali się jak urzeczeni w tego faceta w śmiesznej, czarnej tunice, stojącego w snopie światła. – Podejdź tu, no już.

– Po co?

– Nie zrobię ci krzywdy – odpowiedział. – Chodź.

Zebrani popatrzyli na mnie. Ich oczy świeciły w ciemności jak oczy dzikich kotów w nocy. Spojrzałem na Blankę, moją ostatnią deskę ratunku. Próbowwała przekonać mnie, abym uległ.

Stałem obok Cornelia, a ten wyciągnął dłoń i wbił dwa palce w mój obojczyk. Spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się i nacisnął, powodując ogromny ból. Krzyknąłem i upadłem przed nim na kolana, bezsilny i upokorzony.

– Przestań! – wrzasnąłem. – To, kurwa, boli!

– Wytrzymaj – powiedział pełen energii. – Musisz znaleźć spokój.

Zwinałem się w kłębek u jego nóg, a on dalej naciskał, i to coraz mocniej.

– Nie!

– Dalej, Gabriel – krzyknął. – Znajdź swój kształt! Bóg jest w tobie! Poczuj go. Zaproś go w milczeniu. Ból to tylko iluzja!

Wtedy przestałem krzyczeć i zacząłem głęboko oddychać przeponą.

Wytrzymałem ból, który powoli ustępował. Chwyciłem go za ramię, wstałem i spojrzałem mu głęboko w oczy. Cornelio powoli cofnął rękę. Byłem gotów przyłożyć mu w twarz, tymczasem on uśmiechnął się i nagle niespodziewanie mnie uścisnął. Przytuliłem się do niego. To dziwne, ale poczułem się trochę jak nowo narodzone dziecko. Byłem zrelaksowany i czułem się lekki jak piórko. Wszyscy patrzyli na mnie, a na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi. Cornelio poklepał mnie kilka razy po plecach. Czułem pełnię, jakbym się odrodził.

– Dziękuję – odpowiedziałem, nie wiedząc za bardzo, za co. Wzruszyła mnie ta chwila, i to, że znalazłem się w centrum uwagi.

– Już nie będziesz mi się sprzeciwiał, zrozumiałeś? – powiedział i pogładził podbródek. – A teraz idź i dołącz do pozostałych.

Oszołomiony wróciłem na swoje miejsce. Blanka uśmiechnęła się do mnie. Jakiś dziwny facet obok niej również.

– Gratuluję – powiedział gość.

Podziękowałem mu i obróciłem się w stronę Cornelia. Jedną dłoń trzymał wyciągniętą w górze, a drugą zasłaniał twarz. Staliśmy w ciszy jeszcze przez kilka minut. Sesja skończyła się chwilę później. Wyszliśmy tą samą drogą, którą weszliśmy. Przy wyjściu stały półki z książkami autorstwa Cornelia. Oferta dla wtajemniczonych. Lekcje do domu. Kupiłem książkę i płytę z przewodnikiem do medytacji. Jeśli chciałem dowiedzieć się, kto wyprał mózg Hidalgowi, musiałem stać się jednym z nich. Po wyjściu na zewnątrz zapaliłem papierosa i czekałem na Blankę, która została jeszcze w środku. Wypaliłem do końca i zniecierpliwiony wróciłem do budynku. Blanka rozmawiała z Corneliiem. Nie miałem pojęcia, co kombinuje. A może faktycznie uległa czarowi tego straganiarza...? Wydawała mi się zbyt zaangażowana w rozmowę. Doprowadzało mnie to do szewskiej pasji. Dziewczyna podobała mi się, a ten skurczybyk wyglądał na lajdaka z elit.

Postanowiłem poczekać na nią przy motorze. Przyszła kilka minut później.

– Co tak długo? – zapytałem, trzymając w ustach kolejnego papierosa.

– Teraz będziesz mi matkował? – odpowiedziała. Policzki miała rozpalone.

– Wyluzuj, Gabriel. Musisz nad sobą popracować i się wyciszyć.

– Odczep się.



– Jedźmy do domu. Powiem ci coś ciekawego.  
– A ja tobie. Powinnaś być bardziej ostrożna.  
– Gabriel – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Już ci mówiłam, że mam wszystko pod kontrolą.  
– Skoro tak mówisz... – odpowiedziałem i zdjąłem kask z bagażnika.  
Odpaliła motor, zwolniła podnóżek i ruszyliśmy.  
Następnego dnia dowiedziałem się, co takiego wymyśliła.  
Blanka umówiła się na spotkanie z Corneliiem. Bez konsultacji ze mną.  
Wściekłem się.  
Postanowiłem ich śledzić.

Parę dni później przeprowadziłem się z powrotem do swojego mieszkania. Życie z Blanką pod jednym dachem stało się nie do zniesienia. Po sesji w ośrodku współpraca przestała nam się układać. Rozmawiała dużo przez telefon i przypuszczałem, że jej rozmówcą był nie kto inny, jak ten cały Cornelio. Nie chciała mi jednak udzielić żadnych sensownych wyjaśnień. Możliwe, że przesadzałem i po prostu byłem zazdrosny. Cokolwiek to było, zebrałem swoje rzeczy i wsiałem do autobusu, który zawiózł mnie do mojego starego mieszkania. W środku wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy je zostawiłem.

Wziąłem się za sprzątanie i wyrzuciłem na śmietnik stare graty. Zerwałem plakaty, zostawiając tylko ten z The Exploding Hearts. Oczyszczyłem ściany z naklejek, moich zdjęć z dzieciństwa... Chciałem stać się nowym człowiekiem. Mieszkanie przypominało norę narkomanów, było brudne i cuchnące. W ciągu kilku godzin pozbyłem się wszystkich zbędnych rzeczy. Wyrzuciłem nawet stare meble ciotki, które w nagłym przebłysku geniuszu uznałem za bezużyteczne. Gdy skończyłem, mieszkanie wydało się większe i łatwiej było w nim oddychać. Przeszawiłem sprzęty i zmieniłem przeznaczenie pokoi. Czulem się jak nowo narodzony. Z niezrozumiałych dla mnie powodów zaprzagnąłem zlikwidować wszystko, co kojarzyło mi się z ostatnimi wydarzeniami. Włączyłem stare radio tranzystorowe i poszukałem audycji z jazzem – to było wszystko, co mi pozostało. Przypomniałem sobie Bukowskiego słuchającego radiostacji z muzyką klasyczną. Nie uznawał innych

gatunków. Może dlatego, że był biedny i skąpy. Przecież dobra płyta Coltrane'a nie kosztowała wiele.

Usiadłem na podłodze obok radia, zapaliłem papierosa i rozkoszowałem się nowym porządkiem. Było mi niewygodnie, ale chciałem poczuć tę chwilę. Gdy tak rozpływałem się w swoich myślach, w drugim pokoju zadzwonił telefon. Odebrałem.

– Tak?

– Za kogo ty się, do cholery, uważasz? – powiedział obrażony, kobiecy głos w słuchawce.

– To ty? – spytałem. – Jak leci, Clara?

– Dlaczego nie poszedłeś do tego mieszkania? – spytała. W jej głosie wyczulem lekkie zdenerwowanie. Z ulicy dobiegał hałas kopanej puszki aluminiowej. Nie mogłem się skupić. Poszedłem do salonu, aby wyłączyć radio. – Dlaczego mnie nie posłuchałeś, Gabriel?

– Chwilka... – powiedziałem. – Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

Zadawałem dość zdawkowe pytania. Clara sprawiała wrażenie poruszonej.

– Słuchaj, myślę, że powinniśmy się spotkać. Nie podoba mi się ten Cornelio... Co ty na to?

– Pozbądź się tej dziewczyny – powiedziała Clara. – Tylko napyta ci biedy.

– Kim on jest? – zapytałem zaciekawiony. – Gdzie mieszka?

– Dokumenty. Musisz pójść do tamtego mieszkania – nalegała Clara.

– Mam już dość tego, że tak nagle znikasz, bez żadnego ostrzeżenia – powiedziałem. – Mogło ci się coś przytrafić.

– Tani dziennikarzyna... – westchnęła. – Jesteś gównianym dziennikarzem...

– O czym ty mówisz?

– Ona nie nazywa się Estrella<sup>2</sup> – powiedziała. – Zakichany reporter...

– Nie wiem, o czym ty mówisz, chora kobieto... – odpowiedziałem, teraz już szczerze zdumiony.

– Czy wszyscy mężczyźni to kretyni? – spytała.

Połączenie zostało przerwane. Ustał hałas kopanej puszki i nastąpiła głucha cisza.

Kilka godzin później spotkałem się z Blanką na ulicy, przy której znajdowało się mieszkanie Hidalgo. Przed sąsiadującym z nim barem, gdzie Clara wręczyła mi klucze, siedziała ta sama co ostatnio para pijąca kawę i staruszek czytający gazetę, a za kontuarem krzątał się niezmiennie wąsaty kelner.

Przyjrzałem się Blance Desastres – w rozpuszczonych włosach wyglądała bardzo atrakcyjnie. Lato służyło jej bardziej niż mnie. Była moim przeciwieństwem. Energiczna, gotowa stawić czoła wszelkim problemom, by tylko dokończyć układankę. Ja natomiast byłem tchórzem.

Wskazała mi wzrokiem wejście do budynku. Włożyłem rękę do kieszeni i potrząsałem kluczami, potwierdzając jej tym samym zamiar przeszukania mieszkania.

Weszliśmy do kamienicy. Hol wyglądał zwyczajnie. Na podłodze leżał marmur, na którym widniały ślady rowerowych opon.

– Schodami – powiedziała Blanka. – Nienawidzę wind.

Nie protestowałem i postanowiłem nie wnikać w jej problemy z klaustrofobią. Powody mogły być różne. Przypomniałem sobie historię pewnej dziewczyny, którą napadnięto w windzie. Było to dla niej tak bardzo traumatyczne przeżycie, że odtąd używała wyłącznie schodów. I nie miała znaczenia liczba pięter, które musiała pokonać w górę lub w dół. Uspokajała ją świadomość, że w razie potrzeby będzie mogła uciec. Kiedyś napisałem o niej artykuł do jednej z gazet. Kilka lat później dowiedziałem się, że dziewczyna skończyła studia inżynierskie i pracuje nad projektem wdrożenia ruchomych schodów w prywatnych budynkach.

Prościej byłoby nosić paralizator w torebce.

Po chwili dotarliśmy na trzecie piętro. Na klatce czuć było stęchliznę i panował tam półmrok, bo żarówka pod sufitem była przepalona. Blanka otworzyła drzwi windy i zablokowała je. Rozejrzeliśmy się wokół, ale byliśmy sami. Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy z brelokiem, na którym widniał ten sam numer co na drzwiach, przed którymi staliśmy.

– To musi być tutaj – powiedziałem. – Jesteś pewna, że chcesz wejść do

środka?

Blanka skinęła potwierdzająco głową. Denerwowałem się. Nie wiedziałem, co czeka nas w środku. Ogarnęły mnie wątpliwości. Chciałem opóźnić ten moment.

Spojrzałem na nią, na jej kark i twarz. Wpatrywałem się w nią jak ojciec, próbujący dociec, czy już bzykała się z Corneliem. Jednak nie byłem jej ojcem i nie czułem współczucia, ani nienawiści do nikogo poza samym sobą. Patrzyłem na nią w ten sposób, bo sam chciałem znaleźć się na miejscu tego skurczybyka.

Ktoś zerwał z drzwi policyjne plomby. Po chwili wahania włożyłem klucz do zamka, obróciłem go dwukrotnie i pchnąłem drzwi do środka. Oślepiły mnie promienie słońca wpadające przez niezasłonięte okna mieszkania, a w nozdrza uderzył mnie dziwny metaliczny zapach.

Woń wydała mi się znajoma. Czy już tu kiedyś byłem? To niemożliwe.

Gdy otworzyłem drzwi na oścież, zrozumiałem, skąd pochodziła.

Na środku korytarza znajdowała się ogromna kałuża krwi, w której, w dość nienaturalnej pozycji, leżała martwa dziewczyna.

Zapach był tak intensywny, że zebrało mi się na wymioty.

Przypomniała mi się fabryka.

Blanka weszła do środka.

– Chodź – powiedziała. – Na co czekasz?

Skóra dziewczyny była prawie sina. Blondynka o delikatnej i gładkiej cerze już nigdy nie zaczerwieni się w reakcji na komplement. Z pobladłej twarzy patrzyły na mnie pozbawione wyrazu oczodoły – ktoś wylupał dziewczynie oczy, a spływająca krew zakrzepła, tworząc na policzkach brunatny makijaż.

Weszliśmy dalej i szybkim ruchem zamknąłem za nami drzwi, by nikt nas nie zobaczył.

Poczułem silny ucisk w piersi, który nie pozwalał mi oddychać, a jednocześnie miałem przeogromną ochotę na papierosa i kilka kieliszków alkoholu. Świat, życie, moja egzystencja. Gdy patrzyłem na leżącą na podłodze dziewczynę, wszystko traciło znaczenie, stawało się nieistotne. Była projekcją końca, mojego, Blanki i wszystkich śmiertelników stąpających po ziemi.

Chciałem żyć i czułem strach przed śmiercią. Byłem gotów stracić wszystko poza moim życiem. Życiem, które, jak cebula, obrastało kolejnymi warstwami absurdalnych konsumpcyjnych potrzeb, dylematów moralnych i egzystencjalnych. Śmierć sama w sobie należy do codzienności. Jednak dopiero spotkanie z nią zamienia życie widza w prawdziwy dramat.

Coś mi jednak nie pasowało w tym obrazie. Cała scena wyglądała na wyreżyserowaną. Ciało było ułożone w nienaturalnej pozie. Wyglądało to sztucznie. Tak, jak ustawia się wazon na komodzie lub wieszka obraz na ścianie.

Moją uwagę zwrócił również uśmiech na jej ustach. Może był to efekt zabiegu kosmetycznego, a może przed śmiercią czymś ją znieczulono. Na całym ciele widoczne były cięte i klute rany. Ręce miała pokryte zastygłą krwią.

– Co za skurwysyny – powiedziała Blanka, obchodząc zwłoki. – Brak mi słów.

– Chyba się porzygam – wymamrotałem, powstrzymując torsje. – Zrób jej zdjęcie.

Blanka wyjęła aparat i zrobiła kilka zdjęć.

Potem stanęła na wprost mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała, przyglądając mi się uważnie. Przytaknąłem, chociaż zrobiło mi się słabo i byłem bliski omdlenia. Staralem się zachować pozory twardziela. – Ta sprawa zaczyna wyglądać bardzo poważnie, Gabriel.

Blanka również źle znosiła ten widok. Poszła do kuchni i przyniosła nam po szklance wody z kranu.

– Mówiłem ci, żebyś się w to nie mieszała – wyszeptałem ledwie żywy.

– Kim jest ta dziewczyna? – zapytała. – Znałeś ją?

Bez zastanowienia zaprzeczyłem. Postanowiłem nie patrzeć już więcej na zwłoki. Jeszcze jedno spojrzenie i padnę jak znokautowany bokser.

– Znałeś ją, Gabriel? – spytała ponownie.

Milczałem.

– Odpowiesz mi? Znałeś ją?

Wziąłem łyk wody i odstawiłem szklankę do zlewu.

– Nie – zaprzeczyłem ponownie. – Nie, nie znałem tej dziewczyny.

Ale to nie była prawda. Dziewczyna miała na imię Estrella i już nigdy nie

zabłyśnie.

Nie wiem, dlaczego zataiłem przed Blanką, że była moją znajomą.

Estrella, jak wskazywało imię, była wspaniałą i czarującą kobietą. Nie wiedziałem, co tutaj robiła ani dlaczego skończyła w taki sposób. Pracowała dla mediów i zawsze była żądna sławy oraz zawodowego uznania. W każdej piersi nosiła ćwierćkilogramowy implant. Kiedyś ich dotykałem. Były gładkie i jędrne jak plażowe piłki. Była też pierwszą moją kochanką, która poddała się operacji plastycznej. No i między nami coś zaiskrzyło, ale sprawy nie potoczyły się po mojej myśli.

Estrellę poznałem pod koniec pewnej zimy. Podjąłem wtedy pracę w gazecie i zaproponowano mi obsługę prasową targów obuwniczych w małym prowincjonalnym miasteczku. Nikt nie chciał zajmować się czymś takim w sobotę. W moim życiu niewiele się działo, więc zgłosiłem się na ochotnika, zainkasowałem diety i ruszyłem na imprezę. Autobusem, a potem taksówką, dotarłem do małego hotelu, który zaoferował mi gościnę. Mieścił się on w pięknej willi, stojącej na obrzeżach miejscowości, w której odbywały się targi. Miałem trochę czasu, więc przespacerowałem się po okolicy. Nie znalazłem jednak nic ciekawego. Wziąłem prysznic i wystroiłem się – choć to dużo powiedziane – tak, aby nie rzucać się zbytnio w oczy i nie uchodzić za skąpego reportera bez smaku.

Na samych targach nie było zbyt wiele do roboty. Większość dziennikarzy obsługujących imprezę pracowała dla specjalistycznych czasopism oraz portali internetowych i nie mogłem zrozumieć, dlaczego w ogóle redakcja dziennika interesowała się czymś takim jak niszowe, branżowe wydarzenia. Wśród obecnych gości rozpoznałem kilka osobistości ze świata polityki. Na co dzień dziennikarze i politycy prowadzili między sobą pozorną wojnę. Jednak na czas jedzenia i picia najwidoczniej zapominali o wzajemnej niechęci i zawierali rozejm.

Estrella, kilka lat młodsza ode mnie, pracowała w biurze prasowym organizatora targów. Nie trzeba było dużej inteligencji, aby zgadnąć, jak tam trafiła. Sposób, w jaki patrzył na nią jej szef, mówił sam za siebie.

Wyglądniały i wynudzony czekałem, aż wreszcie ktoś wypije o jednego drinka za dużo i rozwiąże mu się język. Była to tylko kwestia czasu, a mi i tak

placono, bez względu na to, co robiłem. Właśnie wtedy po raz pierwszy złapała mnie na tym, jak z drugiego końca sali gapilem się na jej szczupłe nogi w ciemnych koronkowych pończochach.

Po koktajlu organizatorzy zaprosili gości na kolację do restauracji znajdującej się w budynku wystawowym. Gdy skończyły się przemówienia, na salę wjechały przekąski bez smaku oraz barek wypełniony napojami serwowanymi na koszt gospodarza.

Po raz drugi wpadłem na Estrellę przy bufecie z kanapkami i nieco wstawiony bez namysłu skomplementowałem jej nogi. Byłem pewien, że chwalono je już setki razy, ale wydawało mi się, że będę bardziej oryginalny mówiąc o nogach niż o jej oczach i sztucznych piersiach. W trakcie luźnej rozmowy podała mi numer swojego pokoju. Zdziwiłem się, bo raczej nie wyglądała mi na puszczalską, z którą każdy mógłby się przespać. Dopiero, gdy zobaczyłem jej szefa, który chwilę wcześniej obsypywał ją miłosnymi spojrzeniami, domyśliłem się, o co jej chodzi. Jej przełożony flirtował z inną kobietą, a Estrella postanowiła odegrać się na nim. Poczuli się upokorzona, a pod ręką miała mnie. Równie dobrze mógł być to ktoś inny. Pewnie chciała zemścić się za wszystkie te nadgodziny, za pracę w weekendy i kolacje w portowych restauracjach, na które nigdy jej nie zaprosił. Chciała odplacić mu tą samą walutą, nie wiedząc jednak, że w ten sposób poniża się jeszcze bardziej.

Delikatnie chwyciłem ją za rękę – najpierw palec wskazujący, a potem całą dłoń. Łagodny gest sprawił, że obróciła twarz w moją stronę.

– Jeszcze wszystko przed tobą – powiedziałem, choć wcale jej nie znałem.  
– Nie rób sobie tego.

Estrella jednym haustem dokończyła drinka i zanim maleńka łza zdążyła spłynąć z oka ku górnej wardze, już towarzyszyłem jej wysportowanym pośladowcom w drodze do pokoju numer 75.

Reszta wieczoru potoczyła się w wiadomy sposób. Kochaliśmy się. Wyszedłem, kiedy jeszcze spała. Chciałem oszczędzić jej złego samopoczucia, które i tak pewnie ją dopadnie po pięciu wódkach z cytryną.

Później dowiedziałem się, że mianowano ją redaktorem w jednej z lokalnych rozgłośni telewizyjnych.

Nigdy nie zadzwoniła do mnie. Nie mogła, bo podałem jej fałszywy numer telefonu.

Kiedy zobaczyłem ją na podłodze, pomyślałem, że gwiazda zgasła już na zawsze.

Zegar tykał, zliczając minuty, które dzieliły mnie od omdlenia. Zostawiliśmy Estrellę na podłodze, tak jak ją zastaliśmy i zaczęliśmy szukać skrzynki.

Pod łóżkiem niczego nie znaleźliśmy, ale zauważyliśmy, że ktoś majstrował przy jednej z marmurowych płytek w podłodze.

– Jest tutaj – powiedziała Blanka. Chwyliła drewnianą lampę stojącą na nocnym stoliku i spróbowała rozbić płytkę. Lampa pękła.

– Świetnie – powiedziałem. – Może spróbujemy podważyć ją rękami.

Szczeliny wokół marmuru były jednak zbyt wąskie i trudno było chwycić za krawędzie.

– Co robimy? – zapytała Blanka.

Poszedłem do kuchni w poszukiwaniu młotka albo innego narzędzia do rozbicia płytki. Bez powodzenia. Pospiesznie przeszukałem szuflady. W końcu, w kredensie, znalazłem klucz francuski. Nie za bardzo wiedziałem, co tam robi i kto trzyma takie narzędzie w szafce na jedzenie. Przystanąłem na chwilę, bo serce waliło mi jak oszalałe. Nie mogłem oprzeć się dziwnemu wrażeniu obecności Hidalga.

– Gabriel, co tam, kurwa, robisz? – krzyknęła Blanka z drugiego pomieszczenia.

– Przepraszam – powiedziałem, gdy wróciłem.

– Czy z tobą wszystko w porządku? – spytała, patrząc mi prosto w oczy.

– Tak. A co?

– Jesteś blady – powiedziała. – Blady jak kreda.

– Wszystko w porządku – odparłem. – Muszę się czegoś napić.

Z całej siły uderzyłem w płytkę. Pękła dopiero za drugim razem. Odsunęliśmy na bok odłamki marmuru i zobaczyliśmy opakowanie po bombonierce, prostokątną metalową skrzynkę w żywych kolorach. Czy taki niewinny, kolorowy przedmiot mógł być przyczyną śmierci mojego przyjaciela?

– Na co czekasz? Otwórz ją – powiedziała Blanka.



Musieliśmy się pospieszyć. Z dołu zaczęły dobiegać nas odgłosy zamieszania. Na schodach słychać było męskie okrzyki. Wstałem i podszedłem do drzwi, zza których słychać było głośnie rozmowy mieszkańców. Przez wizjer zobaczyłem, że na korytarz wyszli sąsiedzi. Uchyliłem drzwi do mieszkania. Jakaś starsza kobieta krzyknęła i po chwili schowała się z powrotem za drzwiami. Inny sąsiad dojrzał za moimi plecami zwłoki Estrelli. Wybaluszył oczy i przeniósł wzrok na moje buty utyłane w zakrzepniętej krwi i nim zemdlął, zdążył tylko krzyknąć „skurwysyn”. Zewsząd słychać było okrzyki zdumienia. Wszystko to działo się tak szybko, że nie miałem nawet czasu zareagować. Sparaliżowało mnie. Po chwili pojawiło się kilku umundurowanych policjantów. Uniosłem ręce do góry, jedyną część ciała, którą byłem w stanie poruszać, i czekałem na polecenia. Zza pleców funkcjonariuszy wybiegł zdyszany i wściekły inspektor Rojo.

– Tak czułem, że to ty! – krzyknął rozgniewany. – Już po tobie.

Kątem oka zobaczyłem, jak Blanka przeskakuje na sąsiedni balkon i znika we wnętrzu przyległego mieszkania. Jak jej się to udało? Patrzyłem na oddalającą się sylwetkę. Policjanci rzucili się na mnie. Odwrócili mnie twarzą do ściany i skuli kajdankami. Czekałem, aż inspektor wygłosi formułkę o moim prawie do milczenia i kontaktu z adwokatem, ale nic takiego się wydarzyło. Kazano rozejść się wszystkim ciekawskim. Ktoś z tłumu wyzwał mnie od najgorszych. Funkcjonariusze także byli mocno poruszeni tym makabrycznym obrazkiem. Rojo rozkazał wezwać karetkę, jednak szybko odwołał rozkaz, uznając, że to już niepotrzebne.

Policjanci przykryli ciało Estrelli kocem termicznym, a skrzynkę zabezpieczyli, chowając ją do plastikowego worka.

Ze łzami w oczach zacząłem krzyczeć, że jestem niewinny, że to pomyłka, że nic nie zrobiłem. Nikt jednak nie reagował. Od kajdanek rozboleły mnie ramiona i nadgarstki. Wyprowadzili mnie z mieszkania, kazali zejść schodami na dół i posadzili na ciasnym plastikowym siedzeniu z tyłu radiowozu.

Dotarło do mnie wówczas, że siedzę po uszy w gównie i zacząłem wyobrażać sobie, jak spędzam resztę swojego życia za kratami.

---

2 Estrella = Gwiazda

# 10

**P**odniosłem wzrok i spojrzałem na niebieskie ściany. Byłem w pokoju przesłuchań. Siedziałem na krześle, przede mną stał plastikowy stół, a po lewej stronie znajdowało się weneckie lustro, w którym widziałem własne odbicie. Wyglądałem okropnie. Chciało mi się palić, pić, zrobić cokolwiek, zwalić winę na kogoś innego.

Do pomieszczenia zdecydowanym krokiem wszedł Rojo. W rękach trzymał notes, jakąś teczkę i odniosłem wrażenie, że ma wielką ochotę mi przywalić. Pomyślałem, że to dobrze, że jeszcze są policjanci tak zaangażowani w swoją pracę.

– Przejdźmy od razu do rzeczy – powiedział Rojo i usiadł naprzeciwko. – Przyznaj się, a dam ci spokój.

– Jestem niewinny – odparłem.

Rojo westchnął głęboko.

– To wszystko? – spytał.

– Tak – odpowiedziałem. – Co chcesz, żebym ci jeszcze powiedział?

Policjant otworzył teczkę i zaczął czytać na głos raport, zawierający wszystkie przestępstwa, które wedle policji miałem popełnić.

– Już nie wspomnę o pozostałych sprawach z tego miesiąca – powiedział. – Chcesz, żebym je też wymienił?

– Niekoniecznie. Wszystko, czego potrzebujesz, jest w skrzynce.

– Jakiej skrzynce?

– W tej, którą skonfiskowałeś – wyjaśniłem. – To właśnie jej szukałem w mieszkaniu.

– Co jest w środku?

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– To skąd wiesz, że to może wnieść cokolwiek do sprawy?

– Po prostu, wiem – odparłem. – Ufam osobie, która mi o niej powiedziała.

– To ta martwa kobieta? To ona? – spytał policjant.

– Otwórz skrzynkę – powiedziałem. – Może wtedy dowiemy się, o co chodzi w tej sprawie.

– Nie ze mną te numery – powiedział Rojo. – Jaką tym razem masz wymówkę?

– Jeśli chodzi ci o Estrellę, to kiedyś się z nią przespałem.

– Jesteś beznadziejny. Powinieneś wymyśleć coś bardziej oryginalnego... – powiedział policjant, wstając zza stołu. – To zresztą i tak bez znaczenia, bo już jesteś skończony.

– Wszystko ci wyjaśniłem – odparłem. – Nic nie zrobiłem. Ktoś mnie wrabia.

– To twoja wersja.

– Cała prawda jest w tym pudełku – powtórzyłem, gdy wstał.

Rojo spojrzał na mnie, uśmiechnął się i wyszedł trzaskając drzwiami.

Znowu zachowałem się jak idiota. Teraz pluję sobie w brodę, że w ogóle zaangażowałem się w tę sprawę. Zawsze będę kretynem.

Kilka minut później w sali pojawili się dwaj ostrzyżeni na krótko, muskularni funkcjonariusze.

– Pan pozwoli z nami – powiedział jeden z nich.

– Dokąd? – spytałem.

– Do apartamentu – odpowiedział drugi.

Ruszyłem za nimi bez protestu. Szliśmy korytarzem, a ludzie patrzyli na mnie jak na osobę gorszej kategorii. Dla nich nie byłem człowiekiem, nikt się mną nie przejmował, nikt mi nie współczuł. W ich oczach byłem kryminalistą. Z góry założyli, że popełniłem przestępstwo i teraz jestem w miejscu, na które zasłużyłem. Zeszliśmy schodami do piwnicznego aresztu, gdzie zamknięto mnie w celi. W pomieszczeniu śmierdziało moczem i brudem. Było duszno,

ciemno i ciasno. Przez małe okratowane okienko pod sufitem wpadało trochę światła. Nie było prawdziwego łóżka ani innych wygod. Za miejsce do spania służyły dwie betonowe platformy. Na jednej z nich siedział szczupły mężczyzna w średnim wieku.

Jeden z policjantów rzucił w moją stronę niezrozumiały dla mnie żart. Roześmieli się obaj, po czym odeszli.

Stałem przy kratkach, spojrzałem na korytarz i zapragnąłem znaleźć się po drugiej stronie. Coś we mnie pękło. Zateęskniłem za wolnością. Zapragnąłem jej z całego serca. Odwróciłem się i spojrzałem na nieznanego mężczyznę siedzącego nieruchomo w półmroku.

– Cześć – pozdrowiłem go. – Mam na imię Gabriel.

Nie odpowiedział od razu.

– Masz papierosy? – spytał po chwili.

Zrozumiałem, że przede mną długa noc.

Po kilku minutach pobytu w celi przywykłem do panującego tu smrodu i wilgoci. Woląłem nie myśleć o tym, kto tu przede mną był.

– Co nabroiłeś, Gabrielu? – spytał mężczyzna. Nie wiedziałem, czy mam ochotę z nim rozmawiać.

– Nic – odpowiedziałem. – Nic nie zrobiłem.

– Jasne – odpowiedział. – W takim razie szybko stąd wyjdiesz.

– A ty co zrobiłeś?

Facet podniósł głowę.

– Conrado – przedstawił się. – Conrado Desplantes, tak możesz do mnie mówić. To nie jest moje prawdziwe nazwisko. Zresztą, mam ich wiele.

To, co powiedział, nie miało żadnego sensu. Facet musiał być świrem i pewnie zasłużył sobie na to miejsce.

– Musisz mieć jakieś prawdziwe nazwisko – odparłem.

– Naprawdę cię to obchodzi? Nazwisko to tylko próba przyklejenia mi latki, zaszufładowania. To sposób, w jaki zwracasz się do mnie, bym wiedział, że mówisz właśnie do mnie.

– Niech ci będzie – odparłem.

– Oskarżają mnie o zamordowanie jednego faceta – powiedział – ale nie

mogą mi niczego udowodnić.

– A zrobiłeś to?

– Jakie to ma znaczenie? – odpowiedział.

– Z tego, co mówisz wynika, że kogoś zamordowałeś – stwierdziłem. – W przeciwnym razie...

– Miałem inne intencje – odpowiedział Conrado. – Czuję strach, który wydobywa się z porów twojej skóry. Osądzasz mnie, prawda?

– Nie – odpowiedziałem zdenerwowany. – Nie boję się ciebie.

– Czym się zajmujesz? – spytał. – O czymś w końcu musimy rozmawiać.

– Jestem dziennikarzem – odparłem. – Albo nim byłem. Teraz już nie jestem pewien.

– Nieźle – odpowiedział. – Ja też jestem dziennikarzem, ale tylko teoretycznie. Nigdy nie wykonywałem zawodu. Lubisz książki, Gabrielu?

– Tak, oczywiście – odpowiedziałem i nieco się rozluźniłem. Rozmowa zaczęła przybierać inny obrót. Wyciągnąłem z kieszeni zmietoloną paczkę i poczęstowałem mężczyznę jednym z dwóch ostatnich papierosów. Zapaliliśmy. Puściłem pierwszego dymka. – Również piszę.

– Beletrystyka?

– Tak – odpowiedziałem. – Właśnie kończę powieść. Ale pisanie to dość skomplikowane zajęcie.

– Nie, wcale nie – odpowiedział z powagą, wydmuchując dym przed siebie.

– Co ty o tym wiesz? – zapytałem urażony. Zawsze wkurzały mnie te tanie komentarze o literaturze. Miałem po dziurki w nosie ludzi krytykujących trud tworzenia, przekonanych, że zawód ten nie przynosi kokosów. – Pisanie jest sztuką.

– Wyluzuj – rzucił mężczyzna. – Napisałem pięć książek. Coś na ten temat wiem.

– Pięć?

– Pięć.

– Nie kojarzę twojej twarzy ani nazwiska – powiedziałem lekceważąco.

– Nikt nie czyta moich dzieł – odpowiedział poważnie. – Palę je po skończeniu. Tak właśnie robię.

– Jaki sens ma pisanie książek, których nikt nie czyta? – spytałem.

Pieprzony świr. – Po co więc piszesz?

– A po co ktoś ma czytać moje książki? – odparł z przekonaniem. – Piszę sam dla siebie. Ludzie mówiliby o nich, że nie są dobre, bo nie cierpię schematów i w moich historiach nie ma głównego bohatera, ani żadnego wątku. Podobnie jak w życiu, nie? Przecież życie większości osób to historia pozbawiona jakiegokolwiek głębszej intrygi. To oczekiwanie, aby każda historia miała swój początek i koniec. Ludzie na ogół chcą dostać wszystko na tacy. Myślę, że nie chcieliby mnie czytać. Moje książki nie byłyby bestselerami. Na pewno nie. Wiem o tym. Dzisiaj literatura staje się kolejną formą rozrywki dla ubogich. Prawie cały świat umie czytać i to sprawia, że pisanie schodzi na psy. Prostim umysłem niepotrzebna jest refleksja. Podobają mi się historie, które nie mają zakończenia – o apatycznych małżeństwach żyjących latami w całkowitej stagnacji, o ludziach przerażonych perspektywą wykonania kroku naprzód. W moich historiach nie ma bohaterów, są za to prości ludzie. To moje historie, moje przemyślenia i nie chcę się nimi dzielić z byle kim. Jeśli pisząc kierujesz się kryterium zysku, który przyniesie ci twoja książka, to jesteś pieprzonym obłudnikiem. Jesteś wtedy żaloszny, to wszystko. Kurwa. Pisanie to inna sprawa, to podróż, fantazje, marzenia. Ja chcę latać. Chcę iść do kina i oglądać mój film. Usiąść samotnie na sali, oprzeć nogi na fotelu w rzędzie przede mną. Chcę oglądać ludzi, którzy kochają się wedle moich wskazówek. Chcę być reżyserem i zabijać bohaterów z premedytacją. O to mi chodzi w pisaniu. O moją przyjemność, a nie radość innych. Taki jestem i nie chcę tego z nikim dzielić. Jeśli piszesz, by zadowolić innych, pojawić się w gazetach i sprzedać tysiące egzemplarzy, to jesteś pozerem. Jesteś tylko popularnym pisarzem. Ja nie przepadam za sławą. Może postępuję głupio.

– Twoja wizja jest szczególna – powiedziałem szczerze. Facet może nie był zbyt rozcgarnięty, ale jego słowa stawiały pisarstwo w innym świetle. Takiej perspektywy nigdy dotąd nie dostrzegalem. Niestety, nie tak funkcjonuje literatura. Sztuka opowiadania historii polega na czymś zupełnie innym. A to, co ten koleś uskuteczniał, to były czyste dywagacje pozbawione solidnych podstaw.

Wywód współwzięcia sprawił, że zupełnie zapomniałem o tym, że jest on podejrzany o przestępstwo. Mnie również oskarżono. Byliśmy w podobnym

położeniu.

– Masz jeszcze papierosy? – zapytał. – Ten się już wypalił. – Cisnął niedopalek na podłogę i przydeptał. – To był mój pierwszy papieros w życiu. A masz może coś do picia?

– Dziwny z ciebie facet, Conrado – powiedziałem. – Nie mam nic więcej dla ciebie.

– Szkoda – westchnął i dodał: – Zabiłeś kogoś? Dziewczynę?

– Nie – odparłem. – Już ci mówiłem, że jestem niewinny.

– Po twoim wyglądzie można wywnioskować, że prędzej zabiłbyś kobietę, niż mężczyznę – powiedział. – Taka jest obiektywna prawda.

– Każda prawda jest obiektywna. Czyż nie tak?

– Nie – odpowiedział i odchylił się do tyłu. – Istnieje wiele prawd. Jedyne, co wyróżnia prawdę obiektywną od nieobiektywnej, to fakt, że jest obiektywna dla obu rozmówców.

– Zaczynasz mnie wkurzać – powiedziałem. – To też jest obiektywne.

– Lepiej się prześpij – powiedział, zdjął okulary i wyciągnął nogi na betonowym posłaniu. – I nie próbuj żadnych sztuczek, bo cię uduszę gołymi rękami.

– Wal się, człowieku.

– Dobry z ciebie chłop, Gabriel – odparł. – Dobranoc.

Wyciągnąłem się na pryczy. Było mi niewygodnie i twardo jak na podłodze. Na dworze robiło się coraz chłodniej i przez maleńkie okno do celi wdzierał się zimny wiatr. Zamknąłem oczy. Wykończony przeżyciami dnia zasnąłem głębokim i krzepiącym snem.

Ze snu wyrwał mnie metaliczny dźwięk. Odgłos otwieranych drzwi zadziałał jak budzik. Ktoś przekręcił klucz w zamku. Otworzyłem oczy i spojrzałem w drugi koniec celi, ale nie było tam nikogo. Conrado Desplantes zniknął.

– Gabriel Caballero – wywołał mnie głos strażnika, który uchylił okratowane drzwi do celi.

– Co się dzieje? – zapytałem speszony.

– Zbieraj swoje rzeczy – powiedział mężczyzna. – Wychodzisz. Ktoś wpłacił za ciebie kaucję.



Podniosłem się i ruszyłem za klawiszem.

Pomyślałem, że kaucję wpłacili moi rodzice, chcąc mnie wyciągnąć z tej nory. Na myśl, że dowiedzieli się o pobycie w areszcie, tak się zawstydzilem, że straciłem ochotę iść dalej. Co im powiem? Idąc korytarzem, gorączkowo rozmyślałem nad wymówką, aż wreszcie doszliśmy na parter komisariatu. Tam jednak zamiast rodziny czekała na mnie nieznajoma kobieta. Miała ciemne, długie włosy i, jak na co najmniej czterdzieści lat, bardzo zmyslową figurę. Do tego karminowe usta i czarną, zwiewną letnią sukienkę, zza której prześwitywał jędrny biust i długie opalone nogi. Podeszła do mnie, gdy tylko wyszedłem na korytarz. Poczulem drażniący zmysły zapach perfum.

– Cześć Gabriel – powiedziała łagodnym głosem. – Mam na imię Violeta.

Przez chwilę miałem wrażenie, że w końcu los się do mnie uśmiechnął.

– Przyjemność po mojej stronie – odparłem zmieszany, świadom swojego wyglądu. – Kim jesteś?

– Będziemy mieć dużo czasu na rozmowę – odpowiedziała – po prysznicu. Zaufaj mi.

– Przykro mi – odpowiedziałem. – Nic z tego. Nigdzie z tobą nie pójde, dopóki nie powiesz mi kim jesteś i kto cię przysyła.

– Ty decydujesz – odpowiedziała trochę zirytowana. – Masz dwie możliwości – albo tu zostaniesz, albo pojedziesz ze mną.

Wzięłem głęboki oddech, zastanowiłem się chwilę i odpowiedziałem:

– Tutaj zawsze mogę wrócić.

– Będzie lepiej dla ciebie, jeśli wyjdziemy stąd razem – dodała.

– Tak, jasne – odparłem. – Przypuszczam, że po drodze wszystko mi wyjaśnisz...

– Powiedzmy, że tak – odpowiedziała. – Chodźmy już.

Wszyscy mężczyźni gapili się na nią, gdy opuszczaliśmy komisariat – kusila długimi nogami, stukotem obcasów i delikatną bielizną prześwitująca przez zwiewną sukienkę.

Przy wyjściu z posterunku czekała na nas taksówka. Wychodząc z budynku, miałem wrażenie, że spędziłem w nim kilka dni, a nie godzin. Było już ciemno i portowe latarnie oraz neony kasyna zostały już podświetlone. Mogłem rozkoszować się widokiem miasta pomalowanego światłami samochodów,

cieniami rzuconymi przez statki i powietrzem o zapachu morza, a nie zwierzęcego moczu.

– Lubisz żeglować? – zapytała siedząca obok mnie kobieta.

Spojrzałem na port, na bezkresne Morze Śródziemnomorskie i poczułem, że ta przygoda nie skończy się dobrze. Zapraǳiałem znaleźć się w swoim łóżku i wierzyć, że to był tylko sen.

Kobieta proponowała mi coś między wierszami.

– Chyba żartujesz? – opowiedziałem. – Ja uwielbiam wodę.

Samochód skręcił w kierunku morza.

# 11

**W** radiu leciała nocna audycja jazzowa. Obok mnie siedziała zrelaksowana Violeta i wpatrywała się w dal. Chyba nie miała ochoty na rozmowę, a ja nie chciałem się jej narzucać. Minęliśmy prostytutki stojące w świetle gwiazd przy wyjeździe z miasta, plażę San Gabriel i widoczny w oddali na wzgórzu zamek Santa Bárbara. Taksówka skręciła na drogę krajową, co przypomniało mi dzień, w którym zaczął się cały ten koszmar – tamtego ranka jechałem tą samą drogą. Jak potoczyłyby się moje losy, gdyby owego gorącego poranka telefon odebrała inna osoba? Co by się stało, gdyby grubas od Hidalga skoczył do maszynki do mięsa bez świadków? Do głowy cisnęły mi się dziesiątki podobnych pytań, na które nie znajdowałem odpowiedzi. Umysł to szkodliwy mechanizm, który bombarduje nas wątpliwościami, a jego jedynym celem jest potęgowanie niepokoju. Pytania pozostawione bez odpowiedzi nie miały sensu. A ja ich nie znajdowałem. Pytałem prawidłowo, jak przystało na dobrego dziennikarza. Najczęściej stawiamy niewłaściwe pytania, teoretyzujemy, szukamy alternatywnych rozwiązań, które uchronią nas przed koniecznością zmierzenia się z terażniejszością – jedyną realną rzeczą, która istnieje.

Poprosiłem kierowcę, aby pogłośnił radio, wyciągnąłem się w fotelu i spróbowałem się odprężyć.

Pusta szosa, na której ruch był niewielki, ginęła w ciemności. Samochód zjechał na lewy pas, minął drogowskaz kierujący do Santa Pola i skręcił tuż za

nim. Po paru minutach wjechaliśmy do małej, portowej miejscowości, zamienionej w początkach lat 60-tych na kurort. Z tamtej epoki pozostało niewiele. Teraz mieszkańców portowej osady terroryzowała międzynarodowa turystyka, tanie biura podróży i sieci hotelarskie. Ulice zapelnily się spacerującymi w klapkach i kąpielówkach Francuzami, opalonymi na czerwono Norwegami, pijanymi już w południe Anglikami i przybyszami z Europy Środkowej. Turystyka dodała miastu kolorytu, ale pozbawiła je rybackiego charakteru.

W miarę jak zbliżaliśmy się do morza, w powietrzu czuć było coraz większą wilgoć. Taksówka zatrzymała się na parkingu klubu jachtowego. Wzdłuż nadmorskiej promenady ciągnęła się strefa barów wypełnionych teraz gośćmi pijącymi piwo i zajadającymi rybne tapas. Przyglądałem się łakomie ludziom, którzy delektowali się browarem przy drewnianych stolikach. Pobyt w areszcie sprawił, że zapragnąłem umrzeć tutaj, topiąc się w jednej ze szklanek z bąbelkami, stojącej przy talerzu ze smażonym kalmarem.

Samochód zatrzymał się.

– To tutaj – oznajmiła Violeta, łaskawie otwierając usta po dłuższej przerwie. – Chodźmy.

Kierowca otworzył jej drzwi. Gestem dałem znać, że wysiądę sam. Upał powodował, że pot spływał ze mnie, tworząc plamy na ubraniu. Stukot obcasów Violety poprowadził nas przez metalową bramę do motorowej łodzi w porcie.

– To tutaj? – spytałem, ale nie dostałem odpowiedzi. Z kajuty wyszedł mężczyzna i zaoferował Violecie swoje ramię. Następnie pomógł wejść na pokład mnie i uruchomił silnik z tyłu łodzi. Płynąc pod falę opuściliśmy port, który powoli zniknął, a my zatapiailiśmy się coraz bardziej w całkowitej ciemności.

– Dokąd płyniemy? – zapytałem, ale hałas silnika zmieszany z wyciem wiatru bardzo utrudniał komunikację. – Kim jesteście?

Kobieta spojrzała w moją stronę, po czym podeszła, dotknęła mojego policzka i pocałowała mnie w usta. Mimo panującej wilgoci i smrodu ropy, pachniała niesamowicie. Odsunęła się i spojrzeliśmy sobie w oczy. Przeszedł mnie dreszcz. Przyłożyła mi palec do ust, prosząc o milczenie. Przestałem

zadawać pytania i usiadłem na ławce. Mężczyzna w kapitańskiej czapce udawał, że niczego nie widzi. Domyśliłem się, że nic ich nie łączy i że to ona ma nad nim władzę – nade mną również. Gdy nieco opadły emocje związane z pocałunkami, zobaczyłem w oddali wyspę, nad którą górowała luna rozświetlająca przybrzeżne wody. To była Tabarca, kiedyś ostoja korsarzy i rybaków, a teraz popularne miejsce turystyczne.

Minęliśmy uśpiony port i podpłynęliśmy do brzegu pokrytego kamieniami i zaschłymi wodorostami. Silnik zamilkł.

Byliśmy na miejscu.

Kamienne schody na nabrzeżu poprowadziły nas z plaży bezpośrednio na opustoszałe ulice miasteczka. W drzwiach tradycyjnych walencjańskich domów spały bezdomne koty. Idąc wąskimi ulicami, niewiele widzieliśmy i ciągle potykaliśmy się o bruk. Słysząc było jedynie łoskot fal rozbijających się o skały. Kierując się skąpym oświetleniem ulicznym dotarliśmy do jakiegoś placu. Widok z niego był przepiękny – w oddali rozciągało się morze skąpane w świetle księżyca.

– Tędy – powiedziała kobieta, skręcając w wąską uliczkę obok starego kościoła. Spojrzałem na dzwonnice i w duchu poprosiłem Boga o opiekę.

Szofer podniósł żaluzję w drzwiach jednego z domów i weszliśmy do środka. Wąski korytarz zaprowadził nas do skromnego, ale zadbanego salonu, z którego pięły się schody na piętro. Przypuszczałem, że na górze znajdowały się sypialnie i łazienka. Salon był połączony z kuchnią, ze starą kuchenką i kamiennym zlewem. Na stole stała świeca oraz dwa puste kieliszki i butelka wina. Mężczyzna podszedł do stołu i zapalił świecę.

– Na górze masz ręczniki i czyste ubranie – powiedziała kobieta, jakbyśmy byli starymi znajomymi. – Weź prysznic i odśwież się. Potrzebujesz tego.

Bez słowa poszedłem na piętro, na którym znajdowała się łazienka, sypialnia i mały pokój pełniący funkcję gabinetu. Na łóżku leżało przyszykowane ubranie. Zastanawiałem się, do kogo należy. Jego właściciel musiał być podobnej budowy do mnie, ale miał nieco lepszy gust i zasobniejszy portfel. Wykąpałem się, wziąłem trochę żelu stojącego na umywalce i zaczesalem włosy do tyłu. Założyłem dzinsy i ciemnoniebieską bawełnianą koszulę, w której podkasałem rękawy. Przypuszczałem, że Violeta

nie mieszka tu sama, albo że dom należy do kogoś innego, a ona korzysta z niego bez jego wiedzy. Coś mi jednak mówiło, że lepiej nie zadawać zbędnych pytań. Podejrzany wydał mi się też brak jakichkolwiek fotografii. Na ścianach nie było żadnego obrazu, żadnych ozdób, które przecież tak lubiły kobiety, a dzięki którym wewnątrz stawało się przytulne. Po prysznicu dopadło mnie zmęczenie. Byłem wykończony. Miałem za sobą dwa dni z niewielką ilością snu i pelen napięcia tydzień. Z trudem przychodziło mi uporządkowanie w głowie minionych zdarzeń. Po dwóch dobach ciągłego stresu wszystko zatarło się i zbladło, a umysł mieszał rzeczywistość z fikcją. Otworzyłem okno i usiadłem na łóżku małżeńskim. Przeszukałem szuflady w poszukiwaniu papierosów, ale znalazłem jedynie damską bieliznę i drogą biżuterię.

Gdy schodziłem po schodach, Violeta czekała już na mnie na dole. Jej twarz promieniała – pewnie zdążyła w tym czasie poprawić makijaż. Teraz widziałem ją z innej perspektywy, z góry, dzięki czemu mogłem zatracać się w jej bezkresnym dekolcie, krągłościach piersi i bioder. Cóż za kobieta!

– Myślałam, że zasnąłeś – powiedziała, odsłaniając piękne zęby. Mężczyzna zniknął. Może był na zewnątrz. Nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze było to, że choć przez chwilę mogłem być z nią sam na sam. Violeta przyniosła tacę z grzankami z dojrzewającym serem i mojąmą.

Wszystko miała przygotowane. Moja obecność tutaj nie była przypadkowa. Gdy napełniała winem pierwszy kieliszek, zobaczyłem stojącą na półce butelkę Jacka Danielsa. Przeszło mi przez myśl, że wino może mnie uspić, a whisky przeciwnie. Musiałem uważać, bo czułem, że zbliża się pora wyjaśnień.

– Wolalbym tamtą butelkę – powiedziałem, wskazując na półkę. – Mam swoje zasady.

Violeta nie zaprotestowała i wstała w poszukiwaniu lodu. Po chwili wróciła z dwoma kostkami, które od razu wrzuciła do szklanki. Wlałem sobie odrobinę trunku i wznieśliśmy toast, patrząc sobie w oczy.

– Usiądź – powiedziała, wskazując na kanapę. Przysiadła się do mnie i założyła nogę na nogę. – Wyobrażam sobie, że masz wiele pytań... Ja, na twoim miejscu, miałabym ich mnóstwo.

– Oszczędź mi kazania, dobrze? – przerwałem. – Mów wprost, o co tu chodzi?

Upiła łyk wina.

– Gabriel, bystry z ciebie chłopak – odpowiedziała. – Nie wiem, jak się w to wplątałeś..., ale powinniśmy temu jakoś zaradzić.

– Po pierwsze – powiedziałem – ja nic nie zrobiłem.

– Powiedzmy, że pomożemy sobie – odparła – wzajemnie.

– Pomożemy?

– Chcesz ocalić dziewczynę? Tę Blanę, bo chyba tak ma na imię, prawda?

– Tak... Czy coś jej grozi?

– Na razie, nie. Ale możesz uchronić ją przed tym, co spotkało tę drugą.

– Estrellę?

– Chyba tak. Mniejsza o imię.

– A skąd to wszystko wiesz? – zapytałem. Ta rozmowa zaczynała mnie drażnić.

– Ponieważ jestem... – odpowiedziała i upiła kolejny łyk. – Jestem żoną Cornelia.

– To jego sprawka? – spytałem. – Co za skurwysyn...

– Nie jestem pewna... – zareagowała nieśmiało. W jej głosie slychać było poruszenie. – On z nią tylko sypiał... właściwie to nie tylko z nią... z nimi wszystkimi.

– Chwileczkę... – przerwałem jej. Poczulem ucisk w żołądku. – Dlaczego nie zgłosisz tego na policję lub nie zawiadomisz prasy? Sam napisałbym artykuł.

– Nie. Nie mogę, bo nikt mi nie uwierzy.

– Masz przecież dowody.

– Nic nie mam na niego – odpowiedziała bez zapału. – Nikt nie ma.

– Policja ma jakąś skrzynkę, którą znalazła w mieszkaniu Hidalgo. Ta dziewczyna, Clara, to ona mi o niej powiedziała.

Nagle oczy Violety rozpromieniły się. Chyba wcisnąłem odpowiedni guzik.

– Co jest w skrzynce? – zapytała.

– Nie wiem. Nie miałem czasu zajrzeć do środka. Skąd znasz Clare?

– Ma szczęście, że żyje – powiedziała i doląla sobie wina.

– Dlaczego nikt nie zawiadomił policji?

– Posłuchaj, Gabriel – powiedziała stanowczym głosem. – Bractwo

Milczenia to sekta, organizacja kontrolująca umysły, a Cornelio jest jej szefem. To jego misja, jego życie, on panuje nad wszystkim. Wszyscy robią to, co on każe. Zawsze tak jest... Mam wrażenie, że mógłby kontrolować każdego, nawet mnie.

– Mów dalej... – zachęciłem ją.

– Niewiele jest do opowiadania – odpowiedziała. – To małe środowisko, łatwo w nim nawiązywać kontakty i zawierać sojusze. Cornelio ma dar przekonywania, opanował sztukę hipnozy i techniki manipulowania umysłem. Te sesje terapeutyczne mają na celu szybkie pranie mózgu uczestników i ich seksualne zniewolenie... Mężczyzn jest niewielu, a ci, którzy przychodzą, to przeważnie osoby ważne... To oni wybierają dziewczyny, z którymi uprawiają seks, gdy te znajdują się w transie.

– Gwałcą je, to chciałaś powiedzieć – skomentowałem. – Dlatego wprowadza je w trans...

– Te dziewczyny nie potrzebują hipnozy... – odpowiedziała. – Część z nich robi to dla awansu społecznego, a inne mają całkowicie zaburzone postrzeganie rzeczywistości.

– A ty? – zapytałem, odstawiając szklanekę na stół. Kobieta podniosła wzrok. – Czemu nadal jesteś jego żoną?

Nalala kolejny kieliszek wina i upiła łyk. Jak na swą delikatną budowę ciała, miała zaskakująco mocną głowę.

– Trudno w to uwierzyć, ale sama nie wiem... – wyjaśniła. – Cornelio i ja wzięliśmy ślub z myślą o otwartym związku... chyba wiesz, o co chodzi.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie wiem. Wyjaśnij mi.

– Dwadzieścia lat temu – powiedziała – zanim to wszystko się zaczęło, zanim kupiliśmy ten dom, Cornelio mówił mi o wymianie partnerów, o seksie z obcymi osobami... Nie byłam do tego przekonana, nie miałam żadnego doświadczenia... I chociaż on zapiera się, że tak nie było, to nasze wspólne rzekome medytacje, były tak naprawdę sesjami hipnozy...

– Zmienił twoją rzeczywistość – powiedziałem.

– Sama go o to poprosiłam – odpowiedziała. – To był mój błąd. Byłam przekonana, że to pozytywnie wpłynie na nasz związek. Bardzo go kochałam. Za każdym razem, gdy współżyłam z nieznajomymi rodziło się we mnie



dziwne poczucie straty i to sprawiało, że jeszcze bardziej się do niego przywiązywałam. Koniec końców, zawsze czułam, że jestem mu coś winna, że mam u niego dług do spłacenia.

– I wpadł na pomysł, aby zrobić na tym interes – stwierdziłem.

– Tak – ciągnęła dalej. – Obiecał, że nigdy mnie skrzywdzi, bo mnie kocha. I tak żyliśmy długi czas. Oboje utrzymywaliśmy intymne relacje z innymi członkami Bractwa Milczenia. Było to coraz bardziej intensywne, ale on nigdy nie pomyślał o konsekwencjach, o tym, kim się powoli stajemy.

– I co się wydarzyło? – zapytałem.

– Musisz pójść na jedną z jego sesji – powiedziała. – Musisz zobaczyć to na własne oczy, Gabriel.

Przysunęła się do mnie. Zorientowałem się, o co jej chodzi. Odstawiła kieliszek, pogłaskała moje krocze i zaczęła mnie całować. Wsunąłem rękę pod sukienkę i dotknąłem jej piersi, na co ona wyjęła mojego penisa ze spodni i zaczęła go intensywnie ssać, aż do bólu. Rozebrałem ją, obróciłem tyłem do siebie i zacząłem penetrować.

– Daj mi to, Gabriel! – jęczała. – Dawaj, pieprz mnie.

I tak zrobiłem, coraz szybciej i coraz mocniej. Alkohol opóźniał moją przyjemność, więc penetrowałem ją od tyłu jeszcze długi czas. W końcu ruszyliśmy do sypialni na piętrze. Po drodze złapałem butelkę wina i zabrałem ze sobą. Kolejna godzina wyglądała mniej więcej tak samo jak pierwsza. Po wszystkim padłem jak długi na łóżko obok niej. Spoceni przytuliliśmy się do siebie. Byłem wycieńczony.

– Odpocznij – powiedziała Violeta. – *Amor vincit omnia*<sup>3</sup>...

– Eee? – spytałem. Zaczęła ogarniać mnie senność. Czulem jak Violeta głaszcząc moje włosy i niskim głosem cicho szepcze mi coś do ucha.

Pociemniało mi przed oczami.

– Odpocznij – szepnęła. – Zrelaksuj się... Zaśnij... Teraz.

Obudziłem się, gdy przez otwarte okno wpadały już promienie słońca. Czulem nadchodzącego kaca. Światło raziło mnie. Ziewnąłem szeroko. Wstałem z łóżka i natychmiast zakręciło mi się w głowie.

Po Violecie nie było ani śladu. Gdyby nie pożyczone od kogoś płócienne

bokserki, byłbym całkowicie goły. Poszedłem do łazienki. Pachniało w niej kobiecymi perfumami. Może Violeta poszła kupić coś na śniadanie?

Gdy zszedłem po schodach, wpadłem na mężczyznę, który przywiózł mnie tu wczoraj.

– Dzień dobry – powiedział. Miał na sobie koszulę w kwiaty i szorty koloru khaki. – Pani wyjechała, jeśli to jej pan szuka.

– Dokąd? – spytałem. – Jak to wyjechała?

– Opuściła wyspę rano – wyjaśnił – o świcie.

– A co ze mną?

– Odwiozę pana z powrotem do miasta – powiedział mężczyzna. – Pani zostawiła coś dla pana.

Z kieszeni koszuli wyciągnąłem ręcznie zaadresowaną żółtą kopertę. Domyśliłem się, że to przeprosiny od Violety. Otworzyłem i wyjąłem list.

– Tu nic nie ma – odpowiedziałem, przyglądając się pustej stronie.

– Proszę odwrócić kartkę na drugą stronę – powiedział i dodał na odchodne: – Proszę dać znać, kiedy będzie pan gotowy. Będę w pobliżu.

Odwróciłem kartkę i przeczytałem list. Violeta błagała mnie w nim, abym powstrzymał Cornelia. Na widok jego imienia wzrósł mi poziom adrenaliny. Co to za człowiek? Oprawca znęcający się fizycznie i psychicznie nad kobietami..., ale nie tylko nimi. Robił w konia wszystkich – jednak ze mną mu się to nie uda. Jego dni są policzone. Dopadnę go, zanim dobierze się do Blanki.

Otworzyłem jedną z szuflad komody i znalazłem nóż, który, niewiele myśląc, wetknąłem za pasek od spodni. Zrobiłem sobie kawę, wtarłem pomidora w chleb tostowy i po takim śniadaniu opuściłem dom.

W miasteczku panował spokój. Był środek lipca. Dzień powszedni i mały ruch uliczny. Było jeszcze wcześniej, ale nie miałem za dużo czasu. Za chwilę na ulice wylegną hordy prostaków z parasolkami i plażowymi ręcznikami. Najwyższy czas, aby opuścić wyspę.

Tajemniczy mężczyzna wyłonił się zza rogu domu – albo mnie szpiegował, albo palił papierosa po kryjomu.

– Jestem gotów.

– Proszę za mną – powiedział. Zamknął za mną drzwi i założył na nie

klódkę.

Uciekając przed bezlitosnym słońcem i nadciągającymi na wpół rozebranymi turystami, opuściliśmy miasteczko i ruszyliśmy pnącą się ku górze polną drogą w kierunku latarni morskiej. W oddali widać było mewy krążące nad statkami w poszukiwaniu łakomego kąska oraz dzieci rzucające kawałki chleba do wody i próbujące zwabić ryby.

Pot ściekał ze mnie strużkami. Mężczyzna prowadził samochód spokojnie, zgrabnie omijając zarośla. Znal tę drogę. Pośrodku pustkowia rósł rozłożysty figowiec obsypany owocami. W życiu nie widziałem tylu fig na jednym drzewie. Przypomni mi się mój ojciec, dziadek, dom na wsi i dłonie pokaleczone cierniami.

– Daleko jeszcze? – spytałem spocony.

– To tam, na dole – powiedział, wyciągając rękę w kierunku cmentarza.

– Wydaje mi się, że kiedyś cmentarz nie był aż tak daleko od miasteczka...

– Bo nie był.

Przejechaliśmy obok bramy cmentarza i dotarliśmy do brzegu. Przez mały prześwit pomiędzy skałami dostrzegłem zacumowaną łódź motorową. Wyszliśmy i ruszyliśmy w kierunku plaży po stromej i śliskiej od wodorostów skale. Mężczyzna szedł pewnym krokiem, przygotowany do wędrówki po skalistym podłożu. Ja natomiast musiałem uważać na każdy krok. Mimo to i tak poślizgnąłem się i straciłem równowagę. Gdyby nie wystający kawałek skały, o który się oparłem, stoczyłbym się w dół.

– Do cholery jasnej – wymamrotałem.

– Wszystko w porządku? – krzyknął z dołu mężczyzna.

– Tak, do cholery! – odpowiedziałem rozzłoszczony. – Jeszcze żyję.

Idąc, powoli dotarłem do skały, przy której zacumował łódź. Mężczyzna odpalił silnik.

– Wsiadaj – powiedział. – Mamy mało czasu.

Widziałem żagłówki na drugim końcu wyspy i łodzie cumujące w porcie.

– Dlaczego nie skorzystaliśmy z przystani? – spytałem

– Bo nikt nie powinien wiedzieć, że tutaj jesteśmy – powiedział mężczyzna i odpłynęliśmy w kierunku Alicante.

Niebo było bezchmurne i błękitne jak woda w basenie, a rzeński wiatr,

wiejący prosto w twarz, łagodził objawy kaca. W oddali widać było Santa Polę, Alicante i część El Campello. Przypomniałem sobie o Cornelio i natychmiast poczułem się tak, jakby poraził mnie prąd. Automatycznie sięgnąłem do noża wetkniętego za pasek.

– Wszystko pod kontrolą – powiedziałem do mężczyzny, który zauważył moją reakcję. – Niczego nie zapomniałem.

Wróciliśmy do Alicante. Tajemniczy mężczyzna na pożegnanie pomachał mi czapką. Nigdy się nie przedstawił.

Morska wycieczka pozwoliła mi odzyskać siły. Chciałem na nowo odkrywać znane mi miejsca, stracić poczucie czasu, porozmawiać z nieznanymi i upić się z nimi w barze. Ruszyłem aleją Maisonnave, przeciskając się przez tłum opalonych dziewcząt, wracających z zakupów w H&M lub zmierzających gdzieś na kawę. Ruch uliczny, dźwięk klaksonów samochodów stojących w korkach, błękitne niebo, plaża – życie. Przespacerowałem się po centrum miasta, a następnie złapałem autobus do domu. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Zwolniony za kaucją, miałem 48 godzin – potem komisarz Rojo zacznie mnie szukać. Dzięki informacjom od Violety wiedziałem teraz jednak od czego zacząć, by zdemaskować Cornelio.

W kinie wszystko było o wiele prostsze. W prawdziwym życiu zdobycie dowodów było okupione wysoką ceną. Mimo wszystko chciałem sprawdzić, czy zwierzenia Violety były prawdziwe.

Byłem jednak ostrożny. Tego nauczył mnie dziennikarski fach. Na podstawie dostępnych informacji można było sporządzić obiektywną lub tendencyjną publikację. To była kwestia interpretacji. Musiałem w odpowiedni sposób przedstawić Cornelia, szefa sekty dopuszczającej się nadużyć seksualnych. Tego typu wiadomości błyskawicznie znajdowały oddźwięk we wrażliwym społeczeństwie. Telewizja budowała wokół nich prawdziwy teatr, wywołując powszechny niepokój matek o swoje córki. Prokuratorzy ustawiali się w kolejce do prowadzenia takich spraw. Były one przepustką do medali, wywiadów w prasie, zmontowania kancelarii prawnej i odcinania kuponów przez długie lata.

Zanim jednak uzbrojona policja wtargnie do ośrodka i pojawią się w nim

kamery, zanim wyprowadzą z niego zakutego w kajdanki Cornelia, musiałem osobiście się na nim odegrać.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po wejściu do domu, było naładowanie telefonu. Po włączeniu aparatu na wyświetlaczu pojawiły się komunikaty o wiadomościach w poczcie głosowej. Z podniecenia drżały mi ręce. Zbliżyłem telefon do ucha i wcisnąłem zieloną słuchawkę.

Usłyszałem sygnał. Pierwsza wiadomość.

– Ech! Co ta dziwka, twoja przyjaciółka, robi z Corneliem? – pytał kobiecy głos. To była Clara. – Znowu dałeś dupy. Mam nadzieję, że zgnijesz w więzieniu.

Drugi sygnał.

– Wyszedłeś już? – pytała inna kobieta. To była Blanka. – Zadzwoń, gdy odsłuchasz wiadomość. Żałuję, że nie mogłam cię odwiedzić.

Trzeci sygnał.

– Widziałeś, co jest w skrzynce? – to była znowu Clara. – Dlaczego nie ma cię w domu? Unikasz mnie?

Czwarty sygnał.

– Masz mnie za idiotę? – krzyczał mężczyzna. To był Ortiz. – Co ty, do kurwy nędzy, wyrabiasz? Mam nadzieję, że tym razem masz dobrą wymówkę.

Piąty sygnał.

– Kurwa, Gabriel. – To był znowu Ortiz. – Już rozmawiałem z policją. Co ja mam z tobą zrobić?

Szósty sygnał. Poszedłem do lodówki, wyjąłem piwo i upiłem łyk.

– To w ten sposób bronis honoru przyjaciela? – powiedziała kobieta. To była Clara. – Nie rozumiem cię.

Siódma wiadomość.

– Ostrzegam cię. – Clara nagrała się ponownie. – Cornelio jest niebezpieczny. Musisz ratować tę dziewczynę.

Ósmy sygnał.

– Gdzie, do diabła, się podziewasz!? Widziałam ich w restauracji – powiedziała rozwścieczona Clara. – Okręcił ją sobie wokół palca.

Dziewiąta wiadomość.

– Panie Caballero! – Tym razem to był męski głos. – Mówi inspektor Rojo.

Proszę o jak najszybszy kontakt.

Ostatnia wiadomość.

– Kochanie, czy wszystko w porządku? – zapytał kobiecy głos. To była moja matka. – Doszły mnie słuchy, że...

Odłożyłem telefon.

Tego było już za wiele.

Duszkciem wypilem piwo do końca. Wziąłem kolejne, otworzyłem butelkę i ruszyłem do pokoju w poszukiwaniu czarnego polo i starych džinsów. Było mi niewygodnie w pożyczonym ubraniu przesiąkniętym obcym zapachem.

W kieszeni džinsów znalazłem zmiętolonego papierosa. Zapaliłem i zaciągnąłem się głęboko. O, tak. Potrzebowałem tego. Potem odsunąłem biurko, aby zrobić sobie dojście do ściany. Chwyciłem ostatni plakat, jaki mi pozostał, z okładką albumu *Guitar Romantic The Exploding Hearts* i powiesiłem go frontem do ściany. Na odwrocie zaznaczyłem nożem pionową linię. Potrzebowałem sporządzić plan sytuacji, uporządkować wydarzenia, nazwiska i znaleźć powiązania między nimi. Połączyć ze sobą luźne końce – o to właśnie chodziło...

Nie wiedziałem od czego zacząć. W pracy nie płacili mi za rozwiązywanie lamigłówek, a tym bardziej kryminalnych spraw. Ortiz nie chciał, żebym bawił się w Sherlocka Holmesa lub pisał smutne historie na wzór Stiega Larssona. Ale byłem w tarapatkach. Musiałem ratować własny tyłek i znaleźć rozwiązanie.

Przez kolejne dwie godziny wyszedłem z pokoju tylko dwa razy: do sklepu na dole po piwo i do toalety.

Byłem coraz bardziej zmęczony, ale czułem, że powoli dochodzę do sedna. Szukałem powiązań między bohaterami historii. Dlaczego Hidalgo nie opowiedział mi o tym wcześniej? Ogniwem łączącym wszystkich była Clara. Nie mogła zabić Antonia, ale mogła być powodem jego śmierci. Cornelio był zazdrosny o Clare, bo sypiała z Antonio i chciał ją wymazać ze swojego życia. Dlatego, posługując się manipulacjami psychologicznymi, wykorzystał do tego Rocamorę. Rocamora był przedsiębiorcą nieudacznikiem, właścicielem rodzinnej masarni, którą doprowadził do upadku złym zarządzaniem. Jako kokainista znajdował w Bractwie Ciszy źródło zaspokojenia swojego nałogu i w zamian za biały proszek, był gotów wyświadczyć Corneliowi każdą

przysługę. Ten natomiast znalazł idealnego człowieka, którym posłużył się jak narzędziem. Zaoferował Rocamorze pomoc w uratowaniu fabryki w zamian za zabicie Clary. Wówczas Hidalgo stałby się głównym podejrzanym o morderstwo Clary. Usmażyłby dwie pieczenie na jednym ogniu. Zapomniał jednak o Violecie, którą wyrzuty sumienia skłoniły do szukania pomocy i skontaktowania się ze mną. Tymczasem Rocamora zabił niewłaściwą dziewczynę. Hidalgo zorientował się, o co chodzi i właśnie dlatego następnego dnia na moim biurku zadzwonił telefon.

Bingo.

Koniec historii.

Rozpracowane. Rozwiązałem zagadkę.

Zgasiłem papierosa, topiąc go w puszcze z piwem. Spojrzałem na plakat pełen różnokolorowych linii, powiązanych haseł i pomocniczych gryzmołów. Teraz musiałem to wszystko przepisać na czysto, zawrzeć w jednym dokumencie i opublikować.

Przemyślałem jednak sprawę jeszcze raz. A może, lepiej tego nie robić? A jeżeli nikt nie uwierzy w moją historię? To mnie pograży. Nie, nie mogłem tego opublikować.

Byłem wściekły.

Złapałem krzesło i cisnąłem nim o ścianę. Wtedy pomyślałem o Blance. Jakim byłem głupcem! Jak mogłem zapomnieć o najważniejszej osobie?

Chwyciłem leżący na komodzie nóż, który zabrałem z Tabarki, i wyszedłem z mieszkania.

---

3 Amor vincit omnia [łac.] = Miłość zwycięża wszystko



## 12

**W**siadłem do autobusu, który jechał do centrum miasta. Znałem tę dzielnicę. Kiedyś spałem w jednym z mieszkań w tej okolicy. Ale po tylu nocach na mieście, nie kojarzyłem już, kiedy to było.

W trakcie spaceru zadzwoniłem kilka razy do Blanki, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Zastanawiałem się, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności. Przez chwilę czułem się winny całej tej zaistniałej sytuacji, ale szybko się otrząsnąłem. Była przecież dorosła i potrafiła sama o siebie zadbać. Przypominała mnie na początku kariery dziennikarskiej, kiedy byłem tak jak ona zaangażowany w pracę. Z czasem mój stosunek do zawodu zmienił się. Pracy nie należy traktować zbyt serio – nieważne czy jest to pisanie dla redakcji, czy sprzątanie stolów w barze. Od dziecka wpajano nam, że posiadanie pracy to błogosławieństwo. Z upływem lat dotarło do mnie, że sprawy mają się inaczej. Żyłem ze ściśniętym ze strachu gardłem, faszzerowałem się tabletkami na uspokojenie i nabierałem odrazy do mojego zawodu – zajęcia, które przysparzało mi wielu problemów i niewiele satysfakcji. Profesji, w której się nie spełniałem. Chciałem być pisarzem, podobnie jak wielu moich kolegów. Tymczasem wszystko co robiliśmy, to opowiadaliśmy jedynie cudze historie. Zawzięcie walczyliśmy o popularność, chociaż były to tylko artykuły w gazecie. Satysfakcja, że twoje nazwisko pojawia się na łamach dziennika, trwa co najwyżej jeden dzień. Potem staje się jednym z elementów kolumny. Jak marginesy, podkreślenia i pogrubienia.

Nazwisko Gabriela Caballero było nazwiskiem, które można była zastąpić każdym innym. Przypomni mi się mój dziadek i nasza wspólna rozmowa o mojej karierze:

– Kiedy zobaczymy cię w telewizji?

– Jak kogoś zabiję, dziadku – odpowiedziałem.

Już nigdy więcej nie poruszył tego tematu. Ani on, ani nikt inny. Zrozumieli, że poniosłem klęskę, że nigdy nie będę trzymać mikrofonu, że nie będę dziennikarzem robiącym wywiady z ludźmi na ulicy. I wolalem, żeby tak zostało. Nie chciałem być utożsamiany z bzdurami, które wypisywałem, których nikt nie pamiętał następnego dnia, a których czasami nawet nie publikowano. Gazety stały się elementem dekoracji barów i bibliotek.

Teraz byłem bliski utraty pierwszego i jedyne legalnego zajęcia, jakie zdobyłem do tej pory. W pewnym sensie cieszyłem się, a jednocześnie przerażała mnie perspektywa przymierania z głodu. Zaniedbywałem pracę i ryzykowałem, że Ortiz w końcu powie „dość” i wręczy mi wypowiedzenie. Siedziałem na plastikowym krześle i rozmyślałem o innych zajęciach, których mogłem się podjąć. Miałem przecież niedokończoną powieść, ale brakowało mi wsparcia, nie wygrałem żadnego konkursu, a wydawnictwa przestały nawet wysyłać odmowne listy, dając jasno do zrozumienia, co myślą o mojej twórczości. Tak więc miałem niezły dylemat. Pomysł, aby kogoś zabić, nie wydawał się całkowicie pozbawiony sensu. W więzieniu przynajmniej miałbym co jeść.

Autobus opustoszał. Jakaś kobieta z telefonem przystawionym do ucha spojrzała na mnie dziwnie. W końcu zrezygnowałem z dzwonięcia i napisałem do Blanki SMS-a. Miałem pewność, że była w niebezpieczeństwie i to nie dlatego, że powiedziała mi to Violeta, ale dlatego, że nie ufałem Corneliowi.

Stałem przy drzwiach i nacisnąłem guzik otwierania drzwi. Kobieta z telefonem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Ma pani jakiś problem? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała. Patrzyła mi prosto w oczy, ale nogi jej drżały. Pewnie zauważyła, co mam za paskiem.

– Powinna pani bardziej uważać... – odpowiedziałem. – Żyjemy w niebezpiecznym świecie.

Gdy autobus stanął, wysiadłem i ruszyłem powoli chodnikiem – kobieta wciąż gapiała się na mnie. W jej spojrzeniu było coś niepokojącego. W końcu dotarłem do ośrodka, odsapnąłem kilka minut i wszedłem niezauważony do środka.

W holu panował półmrok. Nie działało oświetlenie. Dziwny nastrój. Dzięki wpadającemu z zewnątrz światłu ulicznych latarni znalazłem drogę do szatni i ukryłem się w niej. Violeta powiedziała mi, że spotkanie tego wieczoru nie będzie zwykłą sesją terapeutyczną. Z głębi budynku dobiegły mnie metaliczne dźwięki. Ktoś opuścił roletę w drzwiach wejściowych. Potem usłyszałem brzęk kluczy i odgłos zamykanego zamka. Ujrzałem migające cienie ludzkich sylwetek, zmierzających w jednym kierunku. Po drodze zapalali świece wiszące na ścianie. Rozejrzałem się po szatni i pierwsze, co przyszło mi do głowy to pytanie: co ja właściwie robię w takim miejscu? Było to niewielkie pomieszczenie, w którym znajdowały się małe boksy z zaciągniętymi zasłonami, przypominające sklepowe przymierzalnie. Zacząłem przeszukiwać wnętrza. Znalazłem damskie ubranie, bieliznę, pończochy... Były ciepłe i wilgotne, czyli ktoś zdjął je niedawno. Otworzyłem niewielką, czarną skrzynię stojącą obok lustra. Było ciemno i nie widziałem zbyt dobrze, więc wyteżyłem wzrok, ale bez skutku. Próbowałem wymacać co jest w środku. Natknąłem się na duży, elastyczny przedmiot z gumy. Miał kształt walca i wyśliznął mi się z rąk. To nie było żywe stworzenie. Wyjąłem go z kufra i podszedłem do okna, aby sprawdzić, co to takiego. Był ogromny i czarny. Po raz pierwszy trzymałem coś takiego w dłoni. W moich rękach przeżył się obrzydliwy gumowy wibrator. Gigantyczny, śliski silikonowy penis. Zdenerwowany i zaskoczony wypuściłem ohydztwo z rąk. Wtedy do szatni weszły dwie osoby. Szybko wskoczyłem do jednej z przymierzalni.

Udało się. Nie zauważyły mnie.

– Spokojnie, musisz się tylko zrelaksować... – powiedział kobiecie głos. Głos brzmiał dosyć młodo. – Pierwszy raz... jest zawsze pierwszym razem.

– Wiem – odpowiedziała druga dziewczyna. Ta chyba była młodsza. – Nigdy nie robiłam tego w ten sposób, rozumiesz? Słyszałam, że bardzo boli.

– Pierwszy raz... – powiedziała starsza kobieta. – To nic takiego... Jesteś

podeksytowana?

– Trochę – odpowiedziała młodsza. Mało nie zwariowałem, gdy tak stałem w milczeniu za zasłoną. Musiałem powstrzymać się przed wyjściem z ukrycia. – Ty robiłaś już wszystko?

– Tak, myślę, że tak – odpowiedziała. – Wszystko, co jest do zaakceptowania, oczywiście.

– Aha.

– Odmawiam tylko... no wiesz...

– Czego?

– No tego... Analnie – odpowiedziała nieco zawstydzona.

– Co to jest? – zapytała młodsza dziewczyna, schylając się w stronę wibratora. – Ktoś musiał go zgubić. Będziemy go potrzebować?

– Możliwe, że ty tak – powiedziała żartobliwym tonem starsza. Z sali dobiegła głośna muzyka. – Chodźmy, zaraz się zacznie.

Kobiety wyszły. Opuściłem przymierzalnię i zacząłem po omacku szukać czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć, co się tutaj dzieje.

Znalazłem mnóstwo tunik, ale nie były ani czarne, ani białe jak te, które widziałem tu ostatnim razem. W ciemności niewiele było widać, a nikłe światło wpadające z ulicy, nie pomagało. Wyjąłem telefon i poświeciłem nim.

Na stole w rogu pomieszczenia leżały czerwone i niebieskie tuniki. Zrozumiałem, że nie mogę wejść do środka w ubraniu, które miałem na sobie. Domyśliłem się, że każdy kolor był przeznaczony dla innej płci. Ale który z kolorów był bardziej kobiecy, a który męski? Co za gówno. A jeśli się pomylę, co wtedy? Nie ujdę z życiem, a na pewno nie z całą odbytnicą.

Obok tunik leżały białe maski z plastiku. Nie widziałem, kogo przedstawiały, ale czułem, że muszę wybrać jedną z nich.

Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie miał on większego sensu, ale nie byłem w stanie wymyśleć niczego innego. Zaryzykowałem. Kolor niebieski symbolizował przecież powściągliwość i ten zapewne przeznaczono dla kobiet, a mężczyznom prędzej przydzielono by szatę w kolorze czerwonym utożsamianym z pożądaniem.

Nie byłem zbyt przekonany co do tej teorii, ale nie mogłem zwlekać dłużej i chwyciłem czerwoną tunikę. Ubrałem się w nią, założyłem białą

maskę, a na głowę wciągnąłem kaptur. Pod strój schowałem nóż i wyszedłem z pomieszczenia.

Szedłem korytarzem, który oświetlały zapalone świece. W powietrzu unosił się zapach wosku i dziewczęcych perfum. Odurzająca woń mówiła wiele o ich właścicielkach. Wyczułem również inny zapach i stanąłem jak wryty. To była ta sama woń z kawalerki, w której spędziłem kilka nocy. Wszystko w niej pachniało Blanką. Ten zapach trudno było zapomnieć. Uspokoilem się wiedząc, że jest w środku.

Świece wyznaczały drogę do pomieszczenia, w którym zgromadzono nas poprzednim razem.

Zastanawiałem się, gdzie jest Violeta, Clara i Cornelio. Miałem same wątpliwości. W pewnym momencie muzyka ucichła, a ja schowałem się za zasłoną.

Środek sali był oświetlony. Na podłodze ustawiono okrąg z zapalonych świec, a w jego centrum palił się paschał. Zebrani na sali utworzyli dwukolorowe koło. W jednej jego części stali ubrani na czerwono mężczyźni, a w drugiej ubrane na niebiesko kobiety. Była to powiększona wersja kręgu władzy, symbolu Boga, milczenia, wszystkiego i nicości. Przyjrzałem się uważnie uczestnikom sesji i rozpoznałem ją – wysoki wzrost, delikatne dłonie i lakier na paznokciach – to mogła być tylko ona. Violeta. Stała nieco z boku, szukając kogoś w tłumie. Pozostałe dziewczęta w niebieskich tunikach wyglądały niemalże identycznie. Nie wiedziałem, która z nich to Blanka.

Nie czułem się pewnie. Serce waliło mi z prędkością tysiąca uderzeń na minutę. Ale nie znalazłem się tu przecież bez przyczyny. Powodem był honor kobiety, którą Cornelio próbował wykorzystać.

Paschał na środku sali zgasł. Pojawił się Cornelio z medalionem na piersi – złoconym krążkiem, który można było kupić w każdym sklepie z pamiątkami. Chciałem bić brawo, ale powstrzymałem się. To była jedna z tanich sztuczek magika, którymi popisywał się przed swoimi uczniami. Ubrany był jak pozostali mężczyźni, nawet twarz miał zasłoniętą plastikową maską.

Musiałem działać szybko. Bóg jeden wiedział, co może się wydarzyć.

Cornelio ostentacyjnie wyszedł na środek sali i uklonił się wszystkim obecnym. Nie powiedział ani słowa. Dokładnie zlustrował wzrokiem

uczestników i zatrzymał go na jednej z dziewczyn. I wtedy wreszcie ją rozpoznałem. To mogła być tylko ona. Blanka.

Skinieniem palca przywołał jednego z mężczyzn. On również miał na szyi medalion, ale inny niż przywódca. Chyba był nowicjuszem. W zamian za okazaną lojalność, mógł wybrać dziewczynę.

Mężczyzna wskazał palcem na Blankę.

Cornelio gestem dłoni kazał jej jednak czekać. Człowiek z medalionem spojrział pytająco na swojego guru, po czym zmienił zdanie i wybrał inną kandydatkę. Dziewczyna zrobiła krok do przodu. Pozostali usiedli na podłodze, tak jak na pierwszej sesji. Para, stojąc w kręgu światła, rozebrała się do naga. Facet miał owłosioną pierś, wydatny brzuch oraz grubego i dużego penisa. Ona była zwykłej postury. Ani gruba, ani chuda, miała duże i nieco obwisłe piersi.

Para zaczęła powoli się obmacywać i obwąchiwać jak zwierzęta, podniecając się wzajemnie na oczach wszystkich. Wyglądało to jak próba, jak chrzest przed przyjęciem do sekty. Dziewczyna zaczęła skamleć, a mężczyzna zawtórował jej. Obściskiwali się nawzajem do momentu, aż znaleźli się na podłodze. Dziewczyna robiła mu fellatio na kolanach, a on na siedząco masował jej pochwę. Następnie obrócił ją i wszedł w nią od tyłu. Jęki stały się jeszcze głośniejsze. Spocone, oświetlone świecami ciała. Ciepło płomienia. Dziewczyna zaparła się rękami o podłogę, była bliska szczytowania, gdy mężczyzna wyjął penisa i postanowił spenetrować ją analnie.

– Nie! Nie tam, nie... – zaprotestowała.

To był głos młodszej kobiety z przebieralni.

Cornelio nie interweniował. Przyglądał się tylko, upajając się sceną.

Mężczyzna udął, że nie słyszy próśb i wsunął ogromnego penisa w odbyt dziewczyny.

– Aj! Boże! Aj! – krzyczała.

Cornelio uśmiechnął się.

Mężczyzna wykonał kilka ruchów, po czym zakończył akt na plecach dziewczyny.

Ta, upokorzona, upadła na podłogę, oddychając głęboko.

Cornelio podszedł i stanął obok mężczyzny, a następnie chwycił

dziewczynę za ramię i pomógł jej wstać. Na koniec objął ich oboje i zachęcił gestem, aby również to zrobili.

Potem odwrócił się w stronę swoich zwolenników.

– *Amor vincit omnia!* – powiedział donośnym głosem.

Wszyscy mu zawtórowali.

Moje serce waliło coraz mocniej.

– *Amor vincit omnia!* – *wykrzyknął ponownie.*

Mało nie wybuchłem z wściekłości. Zawładnęła mną fanatyczna nienawiść. Nie pojmowałem, co się ze mną dzieje. Nie mogłem znieść Cornelia, wypowiadającego te słowa. Jego uśmiech przyprawiał mnie o mdłości. Po tym, co zobaczyłem, nabrałem do niego jeszcze większego obrzydzenia.

– *Amor vincit omnia!* – krzyknął z całych sił, a za nim reszta zgromadzonych. Wzniesione ręce, głosy dobiegające zewsząd, prawdziwe piekło. Uczestnicy zaczęli rozglądać się za partnerem dla siebie. Kobiety i mężczyźni łączyli się w pary, by cudzołożyć. Byli jak w transie, pełni pożądania, podnieceni do granic możliwości. Cornelio stał wyprostowany z uniesionymi rękami i uśmiechał się, patrząc na ten harmider. Uczestnicy zapomnieli o niedawnym ekscesie. Pragnęli jedynie seksu z kimkolwiek. Rozbierali się tak, jak stali, bez jakiegokolwiek zażenowania, po czym rozpoczynali kopulację z kim popadło. Jedna z kobiet uprawiała seks z dwoma mężczyznami. Kilka osób ukryło się w mroku. Początkowy zgilek zamienił się w falę jęków i odgłosów ekscytacji.

Cornelio realizował swoje najskrytsze marzenia. Zamienił ich w seksualne drapieżniki. Zadowolony z siebie skierował się w stronę jedynej wolnej dziewczyny, Blanki. Violeta gdzieś zniknęła. Nadeszła moja chwila. Nie mogłem przyglądać się beczynnemu i nie obchodziło mnie, co się wydarzy. Chciałem dźgnąć go nożem z całej siły. Skończyć z nim. Uderzać nożem, aż całkowicie się wykrwawi. Zmasakrować go nie do rozpoznania.

Chciałem, żeby zapłacił za wszystkie krzywdy, które wyrządził tym ludziom.

Chwyciłem nóż. Już miałem rzucić się na Cornelia, gdy jakaś siła pociągnęła mnie w głąb sali. Upadłem na podłogę, nóż gdzieś wypadł i w ciemności nie mogłem go dostrzec. To był mężczyzna – czułem woń jego potu. Wymierzyłem mu cios w kolano, ale był ode mnie szybszy i silniejszy.

Zablokował uderzenie i przygniótł mnie do podłogi.

– Stój! – powiedział, zwalniając chwyt.

– Rozedrę się na strzępy, ty s... – odpowiedziałem, otrzepując się. Wtedy zobaczyłem jego twarz. – Chwila... To ty? Rojo?

– Cicho – syknął. To był inspektor, ubrany w taką samą tunikę jak ja. – Jesteś sam? Wynośmy się stąd, Gabriel. Tak będzie najlepiej.

– Nie – zaprotestowałem i obróciłem się w kierunku sali. – Nie mogę zostawić Blanki.

– Blanki?

– Tak, to tamta dziewczyna – przytaknąłem, wskazując na nią palcem.

Policjant chwycił mnie za ramiona. Opierałem się. Siłowaliśmy się tak przez kilka sekund, aż policjant wymierzył mi cios w brzuch.

– Zwyródnialec! – wycodziłem.

Cornelio chwycił Blankę za rękę i zaczął całować w usta.

– Gabriel – powtórzył policjant, trzymając w rękach moją głowę. – Jeśli wkroczymy teraz, to ujdzie im to na sucho.

Nie obchodziło mnie, co mówi.

– Ale, ten skurwysyn...

– Ty zapłacisz za jego występki – ostrzegł. – Tego właśnie chcą.

– Nie widzisz tego, co ja? Mam gdzieś, czego oni chcą – powiedziałem. – Tym razem Cornelio nie wygra.

– Zrobili ci pranie mózgu – powiedział policjant. – Potrzebujesz pomocy.

Cornelio i Blanka gdzieś zniknęli.

Uścisk policjanta zelżał. W końcu puścił mnie.

Przyjrzałem się inspektorowi, jego podkrążonym oczom, napiętym mięśniom twarzy, zdesperowanemu spojrzeniu. Co mnie tu doprowadziło? Jak Rojo mnie znalazł? Pomyślałem o Violocie, Clarze, Blance... Dlaczego ciągle myślałem o Blance? Przecież była dorosła. I nie odwzajemniała mojego uczucia.

Obróciłem głowę i spojrzałem na spółkujący tłum. Byli jak lepkie i niecierpliwe larwy. W ich zachowaniu nie rozpoznawałem cech przedstawicieli ludzkiego gatunku. Prawdziwa zgnilizna.

Od tamtej pory pornografia wydaje mi się bajką dla dzieci.



# 13

Znowu w tym samym miejscu. Trzymając w ręku szklankę napoju Gatorade, siedziałem przy biurku, na którym stała fotografia kobiety z dzieckiem. Przy oknie wisiała flaga Hiszpanii. Biuro Rojo stawało się powoli moim drugim domem. Inspektor wszedł z filiżanką kawy i usiadł naprzeciwko mnie. Rozsiewał wokół siebie zapach tytoniu. Mnie też chciało się palić. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Sprawdził, czy nikt nie podsłuchuje i opuścił żaluzję. Co inspektor robił w ośrodku? Należał do Bractwa Milczenia? Usiadł przy biurku, poprawił krzesło i włączył komputer. Sięgnął do szafy obok, otworzył szufladę, wyciągnął z niej teczkę z dokumentami i położył przede mną.

Wziął głęboki oddech i siorbnął łyk kawy.

– Otwórz – rozkazał.

Tak zrobiłem. Spojrzałem na niezliczone, uporządkowane kartki i zacząłem przeglądać je bez większego zainteresowania. Były to raporty sporządzone przez Rojo i jego kolegów. Zgłoszenia, wycinki z prasy i fotografie kilku zaginionych członków bractwa.

– Co to jest?

– Od dłuższego czasu prowadzimy śledztwo – powiedział inspektor. – Kilka miesięcy temu dostałem tę sprawę.

Przeglądałem akta dalej. Znalazłem zdjęcia resztek zwłok Rocamory. Na pierwszej fotografii widać było poćwiartowane przez młynek ciało. Wyglądało,

jakby dostało się w śmigła samolotu. Nie do rozpoznania. Okropne. Nie chciałem oglądać pozostałych odbitek – były odrażające. Odsunąłem fotografie na bok i kartkowałem akta dalej. Natknąłem się na zdjęcia Estrelli, leżącej na podłodze z twarzą bezbronnego anioła. Biedna dziewczyna. Należało się jej coś więcej od życia niż taka śmierć. Na pierwszych obrazach była ubrana tak, jak ją znalazłem w mieszkaniu. Na kolejnych uwieczniono sekcję zwłok. Zrobiło mi się słabo. Estrella nie była już gwiazdą, tylko zimnym i pozbawionym wyrazu oraz życia ciałem. Zadano jej wiele ciosów nożem.

Wtedy zobaczyłem jego.

Antonia Hidalgo. Rektora. Mojego przyjaciela.

Sińce na szyi, a na twarzy zastygły wyraz błagania o pomoc. Miał przetrąconą szczękę i wytrzeszczone oczy. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Serce zabiło mocniej. Odłożyłem zdjęcia i upiłem łyk napoju energetycznego. Rojo przez cały czas studiował moje reakcje.

W teczce znajdowały się również dokumenty związane z Hidalgiem, Clarą i Rocamorą. Faktury, dane z różnych rejestrów i adresy.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć? – zapytałem.

Policjant przyglądał mi się z uwagą. Dalej analizował moje reakcje. Wrócił do szafy i wyjął pudełko. To była ta sama mała skrzynka, którą Clara ukryła w mieszkaniu. Była tutaj. Przede mną znajdowała się prawda. Wyciągnąłem po nią rękę, ale policjant mnie powstrzymał.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytał, jakby chodziło o jakąś trywialną zagadkę.

– Trudno powiedzieć coś konkretnego – odpowiedziałem. – Musicie to przerwać. To przestało być zabawne.

– Potrzebujesz mojej pomocy – stwierdził policjant – a ja twojej.

Bum.

– Serio? – spytałem, nadymając się jak paw. – To ci dopiero. Skąd ten zaszczyt?

– Możesz mi pomóc – wyjaśnił – albo wrócisz do celi. Tym razem nikt nie wpłaci za ciebie kaucji.

– Chwilę...

– Nie – powiedział. – Mylisz się, Gabrielu. Nie będziesz miał już kolejnej

szansy. Wydaje ci się, że było inaczej, ale ci ludzie...

– Dosyć – powiedziałem. – Nic nie mów. Zachowaj to dla siebie.

– Ci ludzie cię wykorzystali – ciągnął funkcjonariusz. – Owinęli wokół palca.

Ziemia rozstała mi się pod nogami. Czulem, że zaraz spadnę z krzesła. Miałem już dość impertynencji policjanta. Byłem zbyt dumny, by przyjąć do wiadomości, że ktoś się mną wysługiwał.

– Jak to się zaczęło? – spytałem.

– Rocamora nie zadzwonił do ciebie przez przypadek – odpowiedział. – Dobrze wiedział, do kogo dzwoni.

– Oczywiście, to Hidalgo mu kazał – odparłem poruszony. – Prosił o pomoc.

– Nie, Gabriel... – zaprzeczył policjant. Czulem się jak małe dziecko zagubione w lesie. Nie rozumiejące tego, o czym mówią dorośli. Ale co tu było do rozumienia? Fakty były takie, a nie inne. – Owszem, Rocamora zadzwonił do ciebie, bo zasugerował mu to Hidalgo...

– Tak twierdził on.

– Wiedział, że w to wejdiesz...

– Był moim przyjacielem.

– I dlatego cię zdradził – podsumował policjant.

– Co?

– Hidalgo cię zdradził. Miał inne plany wobec ciebie, ale wszystko się rymsnęło.

– Teraz to już nic nie rozumiem.

Byłem całkowicie zdezorientowany.

– Chodź ze mną – powiedział Rojo i wstał. Przeszliśmy do innego pomieszczenia, w którym na stole stał laptop podłączony do projektora oraz ustawione w rzędach niebieskie krzesła. Umieścił pendrive'a w porcie komputera i otworzył jakiś dokument. Na ścianie pojawił się niewyraźny obraz. Kilka sekund później projektor dostroił się automatycznie.

Na ścianie pojawił się schemat struktury Bractwa Milczenia. Rojo odrobił lekcje. Jego mapa była o wiele bardziej dokładna niż moja. W dokumencie zaznaczono powiązania i umieszczono twarze. Były tam zdjęcia wszystkich

podejrzanych, którzy znaleźli się pod nadzorem policji. Cały schemat był bardzo podobny do mojego. Z jedną różnicą – zapomniałem o najważniejszym podejrzanym – o mnie samym. W pierwszej chwili przeraziłem się, bo wszystkie wątki łączyły się ze mną: Clara, Blanka, Hidalgo, Violeta, Cornelio... Były tam też inne osoby, których w życiu nie widziałem na oczy. Te fotografie były mniejsze i czarno-białe. Nie stanowiły części układanki.

– Oddychaj – powiedział policjant. – Pewnie czujesz się sfrustrowany.

– Zaskoczyłeś mnie – odpowiedziałem i usiadłem na krześle.

Struktura bractwa miała kształt piramidy. Rocamora i Hidalgo wraz z trzema innymi członkami stanowili grupę osób zarządzających i najbardziej wpływowych. Wśród nich był wąsaty, ciemnowłosy mężczyzna w okularach w grubej, czarnej oprawce – naczelny redaktor dziennika o ogólnokrajowym zasięgu. Ten człowiek był jednocześnie opiekunem Blanki na studiach i szefem w jej pierwszej pracy. Wąsaty okularnik przyjaźnił się z Ortizem, szefem mojej redakcji. Był również znajomym Hidalgo. Rektor miał powiązania z grupą fabrykantów z branży spożywczej i kolejowej, którzy zajmowali się też działalnością filantropijną, a w sezonie letnim organizowali praktyki studenckie w swoich firmach.

Blankę i Cornelia łączyło mniej niż sześć powiązań. Kiedyś słyszałem o teorii, która mówiła, że wszyscy jesteśmy powiązani siecią sześciu pośrednich znajomych. Schemat Rojo, bez zbędnych obliczeń, dowodził, że teoria ta jest prawdziwa. Zakręciło mi się w głowie. Kim była Blanka Desastres? Co zamierzała?

– Gdzie jest Clara Montenegro? – spytałem. – Nie widzę jej nazwiska.

– Clara Montenegro nie istnieje – powiedział policjant i podszedł do ekranu. – Osoba, której szukasz, nazywa się Sasha Bonilova i jest Ukrainką.

– Nabierasz mnie... – odpowiedziałem. Rojo wskazał błękitnooką blondynkę. Clara wyglądała inaczej – to nie mogła być ona. Dziewczyna na zdjęciu była blada i jasnowłosa. Natomiast Clara miała śniadą cerę i ciemne włosy. A jej sposób mówienia nie zdradzał obcego akcentu.

– Ludzie ze wschodu Europy z łatwością uczą się naszego języka – wyjaśnił Rojo. – Jest perfekcjonistką. Ma uzdolnienia lingwistyczne.

– To jakieś szaleństwo – westchnąłem. Ostatnie tygodnie były jednym

wielkim oszustwem. Potrzebowałem czasu, aby to przetrwać. – I pewnie na dodatek jest agentem rosyjskiego KGB?

– Nie – zaprzeczył. – To była dziewczyna Cornelia.

Spojrzałem ponownie na diagram.

– Ale Clara miała romans z Hidalgiem – powiedziałem. – To ona go w to wciągnęła.

– Mam swoją teorię – odpowiedział policjant – ale nie jestem wystarczająco pewien. Muszę jeszcze powiązać kilka wątków.

– Dlaczego nie wsadzisz ich do więzienia? – spytałem. – W ten sposób zakończyłbyś ten proceder.

– Nie mogę niczego im udowodnić – powiedział. – Nie mamy wystarczających dowodów i z dobrym adwokatem wybronią się bez problemu. Zwrócę się o wydanie nakazu przeszukania ośrodka, gdy uznam to za stosowne.

– Masz przecież Cornelia – odpowiedziałem. – Potrzebujesz czegoś więcej?

– Błędzisz, Gabrielu... – sprostował. – Moją misją jest znalezienie autora przestępstwa, a nie rozpracowanie grupy osób, które spotykają się po to, by brać udział w orgiach. Może ci się to wydać mało etyczne, ale to należy do moich obowiązków.

– Więc pozwolisz, aby dalej robili to, co widzieliśmy...?

– I na to przyjdzie jeszcze czas – powiedział policjant. – Znajdźmy winnego śmierci dziewczyny, Rocamory i Hidalga.

– Rocamora popełnił samobójstwo – powiedziałem. – Byłem świadkiem. To on zabił dziewczynę. A Hidalgo się powiesił. Wszystko masz w raportach...

– Nie – powiedział funkcjonariusz – mylisz się. Sądzę, że ciebie, podobnie zresztą jak moją żonę, poddano praniu mózgu.

– Słucham? – powiedziałem. Przypomniałem sobie zdjęcie kobiety z dzieckiem. – To twoja rodzina tam na fotografii? – zapytałem wskazując głową zdjęcie na biurku.

– Tak – powiedział przygnębiony. – Moja żona... Nie mam pojęcia czy jeszcze żyje. Zniknęła kilka lat temu. Odeszła. Opuściła nas.

– Chryste... – westchnąłem i dodałem: – I nie masz od niej żadnych

wiadomości?

– Żadnych – odpowiedział. – Padła ofiarą pewnej sekty. Pewnie to była moja wina.

– Co się wydarzyło?

– To co zawsze – wyjaśnił. – Miałem wtedy mnóstwo roboty... Dziecko, brak męża w domu. Wszystko się rozpadło... Sugerowałem jej, aby zaczęła chodzić na zajęcia jogi albo uprawiać jakiś sport, rozumiesz? Cokolwiek, byleby nie siedziała w domu. Nie umiała być sama. Pewnego dnia zobaczyłem, jak czyta jakąś ulotkę. Dostała ją od niedawno rozwiedzionej przyjaciółki. Chodziło o *chi kung*, kontakt z energią i takie tam rzeczy... Nie podobało mi się to, ale ona wyglądała na zadowoloną.

– To było Bractwo Milczenia? – spytałem i wziąłem łyk Gatorade.

– Nie – odpowiedział. – Inna sekta, ale w gruncie rzeczy podobna. Po dwóch sesjach wyglądała na bardziej odprężoną. Pomysł z poznawaniem nowych ludzi wydawał mi się w porządku, ale coś mi się w tym wszystkim nie podobało. Była jakaś dziwna po tych spotkaniach. Tam zawsze jest ktoś, jakaś osoba, która wszystkim steruje. Te skurwysyny działają według tego samego schematu. Pranie mózgu zaczyna się już pierwszego dnia. Powoli podsycają twój apetyt... Jedna łyżeczka za drugą... Nawet nie wiesz, kiedy trucizna zaczyna krążyć w twoich żyłach... Najpierw świat wydaje ci się inny, mistyczny, dostrzegasz nowe możliwości... Życie nabiera sensu, nie jesteś sam, dzielisz się swoimi przemyśleniami, inni cię słuchają, budują twoje mniemanie o sobie i zaczynasz tworzyć własne przekonania... Równocześnie raz po raz powtarzają ci, że to wyłącznie twoja droga, twoje decyzje, w ten sposób usypiając twoją czujność. Nie masz pojęcia, że tobą manipulują... Potem zapraszają cię na spotkania. Poznajesz przywódcę... A pewnego dnia, niby przypadkiem, udzielają ci nieoczekiwanej pomocy, a ty dziwisz się, skąd wiedzieli, że właśnie tego potrzebowałeś... Później proszą cię o wyświadczenie przysługi w bardzo ważnej dla nich kwestii, a ty nie możesz odmówić, bo w końcu stali się twoim całym światem, są ważniejsi niż rodzina, przyjaciele, twoje dziecko... Podchodzi do ciebie przywódca i prosi o coś, wiedząc, że to zrobisz, bo czujesz wobec niego wdzięczność i zobowiązanie... W tym momencie nie potrzebujesz żadnej hipnozy – nie ma silniejszego

zakłęcia niż akceptacja zdeformowanej rzeczywistości. Moja żona, wraz z dziesięcioma innymi kobietami, zniknęła pewnego poranka 2001 roku. Wszystkie zostawiły listy adresowane do swoich rodzin. Prosiły w nich, aby się nie trudzić i ich nie szukać. Odeszły z własnej woli, świadome tego, co zostawiają. W takiej sytuacji trudno było złożyć zawiadomienie o zaginięciu, ale w końcu jakoś się udało...

– Jak to się skończyło? – spytałem. Inspektor Rojo całkowicie się przede mną obnażał, a jego historia głęboko mnie poruszyła.

– Znaleźliśmy pięć z tych kobiet – wyjaśnił. – Cóż... ich zwłoki.

– Zostały zamordowane?

– Nie – odpowiedział. – Popelniły samobójstwo. Znalezione je w Galicji, na dnie przepaści. Skoczyły ze zbocza... Przypuszczam, że otrząsnęły się z transu, zdały sobie sprawę ze swojego postępku i nie mogły znieść bólu...

– Czy ona była pośród nich?

– Nie, nie zrobiła tego – odpowiedział zrezygowany. – Postanowiła ciągnąć to dalej z pozostałymi kobietami. Wiesz? Kiedy usłyszałem, że je znaleziono, zapragnąłem, aby była pośród nich. W ten sposób sprawa byłaby rozwiązana. Boli mnie fakt, że ona żyje i nie żałuje, że opuściła swoje dziecko. To mnie najbardziej dręczy.

– To smutna historia – odpowiedziałem, chcąc dodać mu otuchy.

– Mam wątpliwości, czy wszystkie osoby, które przystają do takich grup to ofiary. – powiedział poważnym tonem. – Dla wielu sekta jest wybawieniem. Rodzina to dla nich egoistyczny twór. Manipulacja nie jest jedyną przyczyną tego, że ulegają... Dużo kosztowało mnie zaakceptowanie tego, ale tak właśnie jest.

– Co sugerujesz?

– Znaleźć mordercę – odparł stanowczo. – Ta dziewczyna, Estrella. Znałeś ją?

– Tak... – odpowiedziałem. – Nie zasłużyła na coś takiego.

– Dokładnie.

– Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? – spytałem speszony. – To znaczy, że przestałeś uważać, że ja to zrobiłem.

– Skrzynka – odpowiedział.

– Chryste Panie! – wykrzyknąłem. – Co u licha jest w tej przeklętej skrzynce?

– Fotografie, ręcznie napisane listy, wydruki wiadomości e-mail... – powiedział. – Te informacje były kluczowe dla połączenia faktów.

– Mogę rzucić okiem? – spytałem. – Zżera mnie ciekawość.

– Jasne – odpowiedział. – Może znajdziesz coś nowego.

Wyłączył projektor i wyszliśmy z pomieszczenia.

Komisariat opustoszał. Nagle zgasło światło na korytarzu i w pozostałych biurach.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Dziwne... – powiedział. Nacisnął włącznik, ale światło nie zapaliło się. – Pewnie było jakieś spięcie. Poczekaj tutaj.

Policjant ruszył korytarzem. Słyszałem oddalające się kroki i skrzypienie gumowych podeszew. W pewnej chwili drzwi po prawej otwarły się na oścież i uderzyły o ścianę. Rozległ się donośny huk.

– Co jest, kurwa!? – krzyknął policjant przygwożdżony do ściany. – Stój!

– Rojo! – wrzasnąłem i ruszyłem w jego kierunku.

Nic nie widziałem.

Ktoś wybiegł z biura. Słyszeliśmy, jak ucieka. Po omacku pomogłem policjantowi wstać.

– Biegnij, biegnij za nim! – rozkazał.

Puściłem się przed siebie, rękami wymacując ściany. Słyszałem głosy policjantów w drzwiach komisariatu, ale wszędzie panowała ciemność, przez którą ledwo przebijało się uliczne oświetlenie.

– Pierdolę to wszystko! – krzyknął Rojo. – Co wy, kurwa robicie? Biegnijcie za nim!

Słysać było zaniepokojonych policjantów kręcących się po holu. Dwóch funkcjonariuszy pobiegło do wozu patrolowego, a następnie ruszyło z piskiem opon. Awaria oświetlenia zaskoczyła wszystkich. Gdy zapaliło się światło, Rojo pobiegł do swojego biura. A ja za nim.

– Wiedziałem – powiedział. – Do cholery...

Zabrali skrzynkę.

– Tylko morderca mógł być nią zainteresowany – powiedziałem. – To nie



pierwszy raz, kiedy wchodzi mi w drogę.

– O czym ty mówisz?

– Próbowali przejechać mnie samochodem – wyjaśniłem. – Umówiłem się z Clarą zaraz po tym, jak znaleźliście powieszzonego Hidalga. Powiedziała mi, gdzie jest skrzynka i dała klucze do mieszkania. Tego samego wieczoru chciałem pójść po skrzynkę, ale mnie śledzili... Chcieli mnie zabić.

– I co się później wydarzyło?

– Pojawiła się Blanka na motorze – powiedziałem. – Gdyby nie ona...

– Dlaczego mnie okłamałeś?

– Nie wiem, chyba ze strachu... – odpowiedziałem. – Clara powiedziała, że zawartość skrzynki uwolni mnie od podejrzeń.

– Dlaczego to zrobiła?

– Z zemsty. Tak mi powiedziała.

– Na Hidalgu?

– Nie wiem. Ale powiedziała, że szuka sprawiedliwości.

– Musimy ją przesłuchać – powiedział policjant.

– To nie będzie proste – odparłem. – Zawsze dzwoni z innego numeru telefonu.

– Zwabimy ją na przynętę – powiedział Rojo. – W ten sposób ją zlokalizujemy.

– Ale co będzie tą przynętą?

– Artykuł – powiedział – w gazecie. Zmusimy twoją redakcję do jego publikacji.

– Ortiz nie dopuści do tego – powiedziałem. – Już dawno powinienem...

– Zrobi to – przerwał mi szybko i zamilkł na parę sekund. Potem podniósł głowę. – On też jest w to zamieszany.

Przeżuwanie. Powtarzająca się czynność, automatyczna i podświadoma. Przeżuwanie. Stracilibyśmy rachubę, próbując zliczyć, ile razy przeżuwamy w ciągu dnia. Żuć, myśleć, oddychać, chodzić.

Siedziałem w ogródku McDonalda i obserwowałem skąpane w popołudniowym słońcu Paseo de Explanada, statki zacumowane w porcie, lody w wafelku w pobliskiej lodziarni, delikatnie kołyszące się palmy.

Zachowanie ludzi nie różni się wiele od postępowania innych żywych istot. Jesteśmy całkowicie przewidywalni. Każdy z nas ma swoje normy moralne i przekonania, z których większość ma te same korzenie. Pomiedzy jednym a drugim kęsem hamburgera zacząłem wypisywać na serwetce potencjalne przyczyny i skutki pewnego zdarzenia. Miałem za zadanie napisać artykuł, reportaż, cokolwiek, co sprowokowałoby i zwabiło do nas podejrzaną. Zdawałem sobie sprawę, że sprawa Rocamory wymyka się Rojo z rąk. Miał już wszystko czego potrzebował, jednak postanowił dążyć dalej. Chciał wiedzieć, kto za tym wszystkim stoi i w pewnym sensie także pomścić swoją żonę. Za każdym razem, gdy o niej mówił, w jego głosie słychać było ból i gniew. To musiała być dla niego cholernie trudna sytuacja – stracić najbliższą osobę w niejasnych okolicznościach i nie móc nic z tym zrobić. Zасыпаć każdego dnia obok matki swojego dziecka, żony, kobiety życia, która pewnego dnia, bez powodu, zaczyna patrzeć na ciebie jak na obcego, jak na współpasażera autobusu, a nie osobę, z którą dzielisz łóżko. Mijają dni, a ty nie możesz nic z tym zrobić. Ból się wzmaga. Czujesz nóż wbijany w pierś i cierpisz, ale robisz to w milczeniu, bo przecież wszystko na pozór jest w porządku – ona mówi ci, że wszystko jest w porządku. To był z pewnością ciężki czas dla Rojo i jego dziecka. Musieli przyglądać się, jak kobieta, która napelniała kolorem każdy dzień, powoli gaśnie, by w końcu zniknąć na zawsze. Być może Rojo miał rację, że nie wszyscy, którzy dawali wciągnąć się w tę grę, byli ofiarami; że dla wielu był to jedynie pretekst, aby uwolnić się od dotychczasowego życia i zacząć wszystko od nowa.

Jedno było pewne – w Rojo znalazłem bratnią duszę.

Nie było sensu wydzwaniać dłużej do Blanki. Wyłączyła telefon. Pewnie była z tym lajdakiem Corneliem. Blanki nie pociągała jego fizyczność. O atrakcyjności decydowała posiadana władza i szacunek, jakim darzyli go inni. Czy tylko tyle było potrzeba, aby ją zdobyć? Blanka wydawała mi się inna od innych kobiet. Najwyraźniej po raz kolejny się pomyliłem.

Rojo dał mi wolne popołudnie. Dziwnym zbiegiem okoliczności przestałem być podejrzany o popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa. Uratowałem skórę, ale nie karierę zawodową. Czy już nadszedł jej koniec? Mogłem się poddać, zniknąć, jak to robili inni. Ale to nie w moim stylu. Nie

mogłem zostawić śledztwa w takim momencie. Byłem bliski wyjaśnienia zagadki, napisania artykułu roku, zdobycia nagród i, dlaczegoż by nie, rozwinięcia literackiej kariery. Jeśli wytrzymam jeszcze trochę, jeśli będę współpracował z Rojo, zdobędę materiał do mojego reportażu i wrócę do redakcji z tarczą. Na kilka minut dałem ponieść się ambitnej fantazji – zobaczyłem, jak zwalniają Ortiza, a na jego miejsce powołują mnie, Gabriela Caballero. To była moja historia. To ja odebrałem telefon i to ja napiszę jej zakończenie.

Podfrunął gołąb. Rzuciłem mu frytkę. Ptak dziobnął ją i odleciał. W tym momencie poczułem znajomą woń perfum.

Zerwałem się z krzesła, strącając napój na ziemię i rozejrzałem wokół. Goście przy sąsiednich stolikach zmierzyli mnie wzrokiem.

Niemożliwe. Znałem zapach tych perfum.

Pobiegłem w stronę centrum. Ulica Rambla wypełniona była samochodami i tłumem przechodniów. Przypominała madrycką Gran Vía. Było gorąco, chyba trzydzieści stopni. Nie widziałem jednak żadnej znajomej twarzy.

Wtedy zadzwonił telefon.

Wyjąłem aparat z kieszeni.

Numer zastrzeżony.

– Halo? – rzuciłem, podnosząc telefon do ucha. – Kto mówi?

– Zagalopowałeś się... – powiedział kobiecy głos. Był zniekształcony, jakby przepuszczony przez komputer.

– Clara? To ty? – powiedziałem zdenerwowany. Przeszły mnie ciarki. Czulem, że mnie obserwuje. – Wiem, że to nie jest twoje prawdziwe imię. Naprawdę nazywasz się Sasza.

– Dlaczego mnie nie posłuchałeś? – spytała.

Rozglądałem się dalej, szukając jej w tłumie.

– Zrobiłem to, o co mnie prosiłaś – odpowiedziałem. – To ty mnie zdradziłaś.

– Gdybyś mnie posłuchał...

– Czego chcesz ode mnie?

– Dziewczyna... – odpowiedziała. Teraz jej głos już bardziej przypominał mowę ludzką, ale nadal był nie do rozpoznania. – Dziewczyna jest w

niebezpieczeństwie... Jedź do mieszkania.

– Po co? Teraz? – spytałem.

Połączenie zostało przerwane. Czy powinienem zaufać rozmówcy? Nie byłem pewny czy to była Clara. Wybrałem numer inspektora.

– Rojo? – powiedziałem do słuchawki. – Jadę do mieszkania Blanki.

– Teraz? – odpowiedział. – Wyluzuj, Gabriel.

– Miałem anonimowy telefon. Sądzę, że to była Clara – powiedziałem. – Miała zniekształcony głos.

– Gdzie jesteś? – spytał. – Nie ruszaj się stamtąd. Zaraz będę.

Po kilku minutach inspektor przyjechał policyjnym motorem.

– Szybki jesteś – powiedziałem, zakładając kask.

– Tak zwykle działam – odpowiedział. – Prawie we wszystkim.

Wsiadłem na motor. Zawyla syrena. Moc silnika, asfalt znikający pod kołami – miałem wrażenie, że lecimy jak piłka. Policjant dodał gazu. Poczulem silny podmuch powietrza. Miałem wrażenie, że niemal unoszę się za jego plecami.

Dotarliśmy do mieszkania. Biegliśmy jak na zawodach, omijając przeszkody, skacząc po trzy stopnie, nie czując zmęczenia.

Z mieszkań wylegli zaciekawieni sąsiedzi. Wszystko działo się tak szybko. Nacisnąłem dzwonek, ale nikt nie otwierał. Z wnętrza dobiegał odgłos muzyki.

– Blanka! – zawołałem. – Otwórz drzwi!

– Odsuń się! – powiedział Rojo. Sam cofnął się kilka kroków i wymierzył kopniaka w zamek, ale bezskutecznie. Na klatce schodowej znalazłem gaśnicę. Zamachnąłem się i z całych sił uderzyłem, również bez skutku.

– Wynosić się wszyscy – powiedział policjant do ciekawskich. Wyjął pistolet i strzelił w drzwi. Ogłuszający dźwięk. Zadzwonilo mi w uszach. Kilka kobiet podniosło rwetes. Pchnęliśmy drzwi i weszliśmy do środka. Z głośników sączyła się muzyka Charliego Parkera. Na stole stał uruchomiony komputer, na którego ekranie widniał internetowy artykuł, a w nim moje zdjęcie. Blanka szukała informacji na mój temat. Rozejrzałem się i zobaczyłem ją leżącą na sofie, tej samej, na której spędziłem tyle nocy. Skórę miała bladą i pomarszczoną. Rozczochrane włosy zasłaniały jej część twarzy i widać było

tylko usta. Blanka zasnęła, może tylko chwilę, a może na zawsze. Miała na sobie zwykle ubranie. Nic specjalnego. To co zawsze. Obok niej stał otwarty flakonik z Lexapro, a na podłodze leżała rozrzucona garść tabletek. Policjant podbiegł do niej i chwycił za nadgarstek.

– Wezwijcie karetkę!

– O nie! – westchnąłem głośno. – Żyje?

– Ledwo, ledwo... Blanka, obudź się, dalej...

Wyprosiłem gapiów i zamknąłem drzwi. Nogi ugięły się pode mną. Na przemian pocilem się i wstrząsały mną dreszcze. Co się ze mną działo? Czulem się winny. Miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem ją sam na sam z tym kretynek. Bardzo możliwe, że pewnego dnia Blanka obudziła się i dotarło do niej, w co wdepnęła.

– Cholera – powiedziałem sam do siebie i pobiegłem do łazienki.

Sprawdziłem umywalkę, szafki i szuflady w poszukiwaniu pigulek. Wróciłem do pokoju i spojrzałem na biurko. Usiadłem przy komputerze i zajrzałem do historii przeglądanych stron. Wszędzie było moje nazwisko. Nic z tego nie rozumiałem. Czego szukała Blanka? Dlaczego akurat ja? Przejrzałem jej notatki na biurku. Oszukiwała mnie od samego początku. Blanka nie interesowała się samobójstwami ani morderstwem Estrelli. Uruchomiłem pendrive'a podłączonego do komputera. Wyświetlił się gąszcz folderów, z których każdy miał przypisany numer. W jednym z katalogów znalazłem moje zdjęcia. Byłem na nich młodszy i razem z Patrycją. To były zdjęcia z czasów, kiedy byliśmy parą. Pieprzona dziwka! Bezwiednie rzuciłem to na głos i Rojo obrócił się w moją stronę. To, co zobaczyłem, zważyło mnie niemal z nóg.

Po chwili przyjechała karetka i zabrała Blankę.

Rojo coś do mnie mówił, ale jego słowa słyszałem jak przez mgłę. W końcu wymierzył mi policzek.

– Hej! – powiedział policjant. – Żyjesz?

Pstryknął mi palcami przed nosem.

– Tak – odpowiedziałem, odsuwając jego rękę. – To boli, cholera.

– Jedziesz z nami czy zostajesz – spytał nerwowo. – Musimy zawieźć ją do szpitala.

– Dołączę później...

– Jesteś pewny? – spytał. Nie wierzył mi. – Niczego tutaj nie dotykaj.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, aby jechać z tobą... – odpowiedziałem.

W tym momencie pragnąłem, aby Blanka nie żyła.

– O czym ty do diabła mówisz?

– Spójrz sam... – powiedziałem, pokazując na ekran. – O co w tym wszystkim chodzi, Rojo?

Policjant pochylił się i zaczął przeglądać zdjęcia. Wszędzie byłem ja i tylko ja. W różnych miejscach, z przyjaciółmi, z Hidalgiem, na zdjęciach kamery monitoringu w fabryce... Podejrzany? Możliwe, że tak... Ale, o co?

– Pokaż poprzednie zdjęcie – poprosilem.. Policjant zatrzymał się i nacisnął klawisz. Na fotografii była Blanka i ja.

– To mi się nie podoba... – powiedział policjant. – To ty? Czyj jest ten pendrive?

– Nie wiem. Był podłączony do komputera.

– Musimy jechać do szpitala i zaczekać, aż się obudzi – stwierdził.

– A jeśli się nie obudzi?

– To będziesz musiał poszukać dobrego adwokata.

Minęło kilka godzin i na korytarzach szpitala Hospital General zapanowała nocna cisza, którą raz po raz przerywało szuranie butów pielęgniarek. Przeraziła mnie myśl, że za drzwiami leżą chorzy w stanie śpiączki. Byli tak blisko mnie, za ścianą, a zarazem tak daleko. Wydawało mi się, że widzę, jak ich duchy krążą po korytarzach, chowając się przed krewnymi. Wolni od bólu, wolni na zawsze, ale słabi, całkowicie zagubieni w swojej nowej rzeczywistości. Znikają na schodach, wychodzą przez okna, przenikają przez ściany. Wyobrażałem sobie, jak bliscy szukają ich wszędzie, nie wiedząc, że pacjent właśnie wyszedł tylnymi drzwiami, po angielsku, bez słowa pożegnania. Ta wizja była przerażająca. Przeszedł mnie dreszcz. Inspektor Rojo przyniósł kubek kawy z automatu.

– Dziękuję – powiedziałem. – Sam tutaj trafisz, jak dalej będziesz to pił.

– Nawet do tego smrodu można się przyzwyczać – odpowiedział. Te słowa przywołały obraz Rocamory. – Co ci chodzi po głowie?

– Zbyt wiele rzeczy... – mruknąłem.

– Przez chwilę... – wyznał Rojo – myślałem, że cała moja praca poszła na marne.

– A tak nie jest?

– Nie – powiedział. – Posłuchaj. Nadal jestem przekonany, że chcą cię wykorzystać.

– Dziękuję za informację – odparłem. – Nie zauważyłem tego.

– Nie zachowuj się jak idiota – powiedział. – Pomyśl sam... Dlaczego jeszcze żyjesz?

Policjant miał rację.

– Sprawy wymknęły im się spod kontroli – powiedziałem. – Nie znajduję innego wytłumaczenia.

– Te zdjęcia zrobiono zanim odebrałeś telefon. – wyjaśnił.

– To, co mówisz, to jakieś szaleństwo.

– Być może – powiedział i upił łyk. – Ona i ty jesteście następni w kolejce, tylko że ty...

– Nic nie zrobiłem! – wykrzyknąłem, przerywając mu wywód. Upomniała nas pielęgniarka. – Już ci to mówiłem... No właśnie... Co jeszcze było w skrzynce?

Policjant westchnął.

– Rolka filmu – powiedział. – Taśma filmowa.

– I tylko tyle? – spytałem. – Obejrzałeś ją?

– Tak – odpowiedział. – Jest dość odpychająca. Twój przyjaciel, Hidalgo, był degeneratem.

– Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? – powiedziałem, wstając. – Skąd mam mieć pewność, że nie kłamiesz. I że nie jesteś jednym z nich...

– Jestem przedstawicielem prawa – powiedział. – I nie wyskakuj mi tutaj z takimi insynuacjami. Zrozumiano?

– Robię, co w mojej mocy.

Korytarz wypełniła cisza. Zburzyła ją przechodząca pielęgniarka pchająca skrzypiący wózek z lekami.

– Nie powiedziałeś mi tego do tej pory, ale co tak naprawdę nabroileś, Gabriel?

– Nabroilem?

– Co zrobiłeś tej dziewczynie? – dodał. – Co się stało z Estrellą?

Podeszła do nas pielęgniarka z dwoma plastikowymi kubkami z kawą. Była to młoda dziewczyna, która uśmiechała się do nas miło. Wyglądała przyjaźnie.

– Na koszt szpitala – powiedziała.

– Dziękujemy – odpowiedzieliśmy chórem.

– Jeśli panowie pozwolą – dodała pielęgniarka – na izbie przyjęć musimy zachowywać ciszę. Proszę przejść i poczekać w innej części.

– Czekamy tutaj, aż pacjent się obudzi. – powiedział policjant i pokazał odznakę.

– Takie mam instrukcje – odparła kobieta. – Jeśli pan sobie życzy, to może porozmawiać z moim przełożonym, ja jestem tylko zwykłą pielęgniarką.

Z twarzy dziewczyny można było wyczytać, że nie ma zamiaru łamać regulaminu. Rojo, zaskoczony jej uprzejmym zachowaniem, nie zamierzał się jej sprzeciwić. Poprosił, aby wezwała przełożonego i dodał, że poczekaemy na niego w innym miejscu. Przeszliśmy do drugiego korytarza i usadowiliśmy się na zielonych, plastikowych ławkach. Dziewczyna zniknęła za drzwiami i znowu zrobiło się cicho.

– Poszukaj sobie takiej jak ona – powiedział Rojo. – Ładna, młoda, słodka....

– Jak ty, co?

– Mylisz się – powiedział policjant. – Wcale nie jestem słodki.

Roześmialiśmy się obaj.

– Opowiesz mi, co się wydarzyło w mieszkaniu?

Ziewnąłem szeroko. Poczulem nagle zmęczenie.

– Tak, jasne... – odparłem. – Chodzi ci o Estrellę... tak?

– Tak... o nią... o tę dziewczynę... – powiedział policjant. – Ona... ta dziewczyna... kurwa... co za... senność...

Po kolejnym ziewnięciu rozluźniłem się już całkowicie. Powieki ciążyły mi i ogarnęło mnie potworne znużenie.

– To... długa... historia... – powiedziałem. – Naprawdę...

Rojo nie odpowiedział. Spał. Nie przeszkadzało mi to, bo czulem się podobnie. Drzemka – to nie był zły pomysł. Zmęczenie wzięło górę.



Splotłem ręce na piersi, a głowę oparłem o ścianę. Zamknąłem oczy i zobaczyłem kolorowe serpentyny, białe obłoki, obrazy w kolorze sepii. Kolaż złudzeń mieszał się z trudnym do zidentyfikowania hałasem. Ten stan oznaczał, że niedługo zasnę. Poruszyłem palcami, chciałem się rozbudzić, ale było już za późno. Zapadłem w głęboki sen. Czy to wina kawy? To nie miało znaczenia – potrzebowałem drzemki. Obaj jej potrzebowaliśmy. Krótka sjesta skróci czekanie.

Pierwsze mrugnięcie: widzę rozmazaną twarz pielęgniarki.

Drugie mrugnięcie: czerwone światła na korytarzu, ja na plastikowym krześle, twarz siostry, Blanka z ogoloną głową.

Kolejne mrugnięcie: dziwne kolory i ta instrumentalna muzyka, włosy Blanki na posadzce. Mrugam jeszcze raz i widzę śpiącego Rojo, a obok niego mężczyznę w białym fartuchu. Facet ma głowę wielkości piłki do rugby, wyłysiałą na samym czubku. Kolory wracają do normy. Jestem ociężały.

– Inspektorze? – spytał mężczyzna.

Rojo obudził się.

– Co za gównno... – wymamrotał i obrócił się w moją stronę. – Ty też?

Przytaknąłem.

– Rzadko kto zasypia tak twardo na tej ławce... – powiedział mężczyzna, próbując przełamać lody. Rojo zignorował go i zwrócił się do mnie.

– Coś mi się śniło – powiedział, otrząsając się z sennego koszmaru.

– Mnie też – odpowiedziałem. – To była ona, tak?

– Gdzie jest pielęgniarka? – rzucił Rojo do mężczyzny. – Ta, która odpowiada za ten oddział.

– Jaka pielęgniarka? – spytał.

– Ktoś pana powiadomił, że tu jesteśmy, prawda? – wtrąciłem. – To była taka niska dziewczyna, ani chuda, ani gruba, młoda, urzekający uśmiech.

– Przykro mi – odpowiedział nieco zdezorientowany. – Nie znam całego personelu na tym piętrze, ale możemy zapytać recepcjonistkę. To ona mnie wezwała.

– Trzeba sprawdzić salę Blanki – powiedział funkcjonariusz.

Sparaliżowało mnie. Ta dziewczyna... ten głos... To był podstęp. Śledzili

nas.

– Rojo, uśpili nas – powiedziałem.

– Naprawdę? – powiedział z sarkazmem. – A ja myślałem, że to kawa.

Nie chciałem mu mówić, bo Rojo wkurzyłby się jeszcze bardziej, ale przypomniałem sobie, kim była ta dziewczyna. To ta nowicjuszka, która wzięła udział w ceremonii Bractwa Milczenia. Zapamiętałem jej śpiewny i delikatny głos. To nie mógł być nikt inny. Dziwny sen, z którego przed chwilą się ocknąłem, był efektem podanego nam narkotyku. Rojo też tego doświadczył.

Lekarz zagadnął pielęgniarkę, która właśnie wyszła na korytarz, ale ta nie знаła dziewczyny, której szukaliśmy. Pełni najgorszych obaw pospieszyliśmy do pokoju Blanki. Byłem pewien, że tam jej nie będzie, że na potwierdzenie snu znajdę kępki włosów rozrzucone po podłodze.

Policjant pchnął energicznie drzwi i weszliśmy do środka. Blanka leżała nieruchomo w łóżku. Jej lśniące włosy spływały po ramionach.

– Co się dzieje inspektorze? – spytał mężczyzna. – Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co robi?

Żaden z nas nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Wiedzieliśmy tylko, że ktoś musiał podać nam jakąś odurzającą substancję – tylko to było jasne.

– Powinien pan lepiej pilnować swojego personelu – powiedział Rojo do mężczyzny. – Tej nocy, osoba podająca się za pana pracownicę, podsunęła nam narkotyk.

– Proszę zająć się swoją pracą, inspektorze...

– Rojo.

– Nie pozwolę, by panoszył się pan tutaj i wywracał wszystko do góry nogami – powiedział poirytowany mężczyzna – a zwłaszcza na oddziale intensywnej opieki.

– Ta dziewczyna, Blanka Desastres... – zaczął Rojo. – jest pod moją opieką. Zostanę tu tak długo, jak trzeba.

– Brzmi świetnie, proszę pana, ale wszyscy musimy przestrzegać przepisów, nawet pan – odpowiedział. – Proszę nie zmuszać mnie do sięgania po bardziej zdecydowane środki.

Policjant spojrzał na mnie. Facet nie chciał, aby Rojo panoszył się bezkarnie na jego terytorium.

– No dobrze – powiedział i wyjął wizytówkę. – Zobowiązuję pana osobiście do poinformowania mnie, gdy tylko pacjentka się obudzi. Nie może z nikim rozmawiać ani przyjmować gości. Pozostaje pod nadzorem policyjnym.

– Jak pan sobie życzy...

– Proszę dzwonić o każdej porze – powiedział. – To niebezpieczna i agresywna dziewczyna.

– Jasne, proszę się nie martwić – powiedział i nie patrząc na wizytówkę, schował ją do kieszeni fartucha. – Będę pana informować.

Ruszyliśmy korytarzem i wsiedliśmy do windy. Zostaliśmy sami.

– Blanka nie jest agresywna – zacząłem. – Dlaczego tak mu powiedziałaś?

– Kłopotliwi pacjenci nie są tu mile widziani – wyjaśnił. – Będą chcieli pozbyć się jej jak najszybciej.

– Myślisz, że zadzwoni? – spytałem.

– Nie wiem.

– Czy on jest jednym z nich?

– Kto wie? – odpowiedział. – Ale może popadam w paranoję.

– Wiesz co? – powiedziałem cicho. – A może nam nic nie podano?

– Myślisz, że zasnęliśmy jednocześnie tak sami z siebie? – zapytał oburzony.

– Nie – odpowiedziałem. – Byliśmy zmęczeni, Rojo, tylko tyle... Zły sen.

– W takim razie wytłumacz mi, dlaczego mieliśmy podobne sny.

– Jakie to ma znaczenie? Blanka jest tutaj i to się liczy.

– Może masz rację... – wymamrotał. – Chyba zaczynam świrować.

– Potrzebujesz łyżeczka – powiedziałem, kiedy winda zatrzymała się na parterze. – To wszystko.

Tak naprawdę to potrzebowaliśmy solidnie odpocząć. Rozerwać się. Kobiety. Rozrywki. Nie miałem jednak odwagi mu tego powiedzieć.

– Jest coś jeszcze otwarte o tej godzinie? – zapytał, spoglądając na zegarek. Była trzecia nad ranem.

– Żartujesz? – spytałem. – W tym mieście są lokale, których nigdy nie zamykają.

I tak właśnie było.

# 14

Znaleźliśmy się na starym mieście wypełnionym wilgotnym morskim powietrzem, niedaleko areny walki z bykami. Na przystankach autobusowych pełno było podchmielonej młodzieży czekającej na nocny autobus do domu. Gwar rozmów, śmiech, okrzyki – odgłosy nocy, która rozkręciła się na całego.

Szukając odpowiedniego miejsca, błądziliśmy ciasnymi uliczkami. Znaleźliśmy irlandzki pub. Przed nim stał rząd zaparkowanych harleyów. Pijący piwo łysol spojrzał na nas spode łba. Poszliśmy dalej. Mijaliśmy grupki podchmielonych młodych ludzi, całujące się pary skryte w ciemnych zaułkach, dealerów magicznego proszku poprawiającego nastrój. Widziałem narastające napięcie na twarzy inspektora.

– Olej ich – powiedziałem. – Dziś nie zbawisz świata.

Widać było, że poczucie obowiązku miał we krwi.

Co ja robiłem, spacerując po starówce z gliną? Nie miałem nic przeciw państwowym służbom porządkowym, chociaż przyznaję, nigdy nie darzyłem ich sympatią. Zawód policjanta obrósł wieloma stereotypami, od których trudno było się uwolnić. W takim towarzystwie trudno zdobyć się na spontaniczność. Nigdy nie wiesz czy nie przekraczasz granicy. Rojo utwierdził mnie w przekonaniu, że te uprzedzenia były zasadne. Niby udawał, że jest wyluzowany, ale zachowywał się jak na służbie – równy krok kowboja, wyprostowane plecy i ręce przy pasie. Taka postawa zwracała uwagę. Noc zapowiadała się mało ciekawie. Już widziałem siebie za kilka godzin – pijanego

przy barze, pod czujnym wzrokiem trzeźwego i nudnego terminatora, prawiącego mi ojcowskie kazania.

Weszliśmy do całodobowego baru obok targu.

Widok wnętrza wart był uwiecznienia na zdjęciu. Już dawno nie widziałem takiej dekadencji. Dekadencja – nie znajdowałem lepszego określenia. Typowy dla tanich knajp metalowy bar z buchającym pianą nalewakiem. Kwadratowe stoły i plastikowe krzesła z logo jakiegoś producenta kawy. Ekspres do kawy syczący parą, metalowa płyta do smażenia i mikrofalówka do rozmrażania pieczywa. Menu było ubogie, a karta stwarzała więcej możliwości napicia się niż posilenia. Zamówiliśmy dwie kanapki z gotowaną szynką i serem topionym – danie, na które zawsze można liczyć w każdym barze o tej porze. Przyjrzałem się wyjątkowej klienteli. Na tej unikalnej imprezie bawili się razem urzędnicy, studenci, turyści, pijacy i narkomani. To była ta ciemna strona życia, której nie zobaczysz w mediach społecznościowych. Brakowało tylko konfetti, a widok przypominał sceny z opowiadania Huntera S. Thompsona. Takie obrazy nigdy nie ujrzą światła dziennego. Dwudziestoletni chłopcy i dziewczyny z przekrwionymi oczami, zataczający się jak najgorsze menele. Dobrze ubrani, pośród szklanek z piwem i filiżanek, pocałunków, papierosów. Bez żadnych zasad, zliczający minuty do świtu jak wampiry. Obraz, którego nie zobaczą zwykle rodziny, spędzające czas w domu przed telewizorem, maczające porras w czekoladzie, hołdujące rutynie powtarzanej każdego dnia, w każdym hiszpańskim domu.

Wrzawa, odgłosy upadających i tłuczonych o podłogę naczyń, śmiech podchmielonych dziewczyn, ćpun żebrzący na kompot, duszący zapach przypalonego oleju. Rojo był blady. Zrobił minę, jakby właśnie przekroczył wrota piekła.

– To jest... Nie wiem, jak tu trafiliśmy.

– Wyluzuj, chłopie. – odpowiedziałem żartobliwym tonem. – To jest prawdziwe życie. O tej porze... czego się spodziewałeś? Baru z filmów Tarantino?

– Ci ludzie mnie przerażają.

Kelner pogonił pijanego mężczyznę, który przed wyjściem kopnął ze złości w stół. Potem podszedł do nas.

- Gnoje – burknął barman. – Coś do picia?
- DYC z coca-colą — powiedziałem, wskazując butelkę na półce.
- Wódka ze spritem – zamówił Rojo. – Tylko niewiele sprite’a.

Kelner spojrzał na nas pobłaźliwie. Byliśmy trzeźwi, rześcy i wyglądaliśmy inaczej niż pozostali bywalcy. Podszedł do półki z butelkami, wyjął dwie szklanki spod baru, wrzucił do nich lód i na naszych oczach przygotował drinki.

- Należy się dziesięć euro – powiedział kelner.
- Rojo wyjął banknot zanim zdążyłem chwycić portfel.
- Za twoje przysługi – powiedział poufale Rojo.

– Dziękuję – odpowiedziałem i wzniosłem toast za jego zdrowie. Stuknęliśmy się delikatnie szklankami i wzięliśmy po łyku. Drink był mocny, ale smakował jak paliwo lotnicze. Alkohol pobudził kubki smakowe, a żołądek zawibrował. Czulem jak orzeźwiający napój pełen bąbelków spływa do moich wnętrzności. – Myślałem, że zamówisz soczek z pomarańczy.

– Byłem jakiś czas w Helsinkach – wyjaśnił. – Tam to podawali. Przyzwyczailem się.

Zaskoczył mnie. Później okazało się, że inspektor był obytym człowiekiem. Opowiedział mi trochę o swoich podróżach i Finlandczykach. Zwierzył mi się też, że podoba mu się ciężki rock z lat 70-tych i 80-tych. Nie dopytywałem, co robił w kraju tak odległym i zimnym. Kiedyś sam mi to wytłumaczy.

– Wiesz co.... cała ta sprawa zaczyna mnie męczyć... Zawsze wyskakuje coś lub ktoś. Zawsze pojawia się kolejny element, który burzy całą układankę i powoduje, że przestaję ufać swojej intuicji. Znam te gierki. Rozumiesz? Coś nam umyka... Co wiesz o Violecie?

– To żona Cornelia – odpowiedziałem. – Wpłaciła za mnie kaucję i próbowała wykorzystać.

– W jakim celu?

– Przypuszczam, że w niejednym – powiedziałem i zaczerwieniłem się. – To ona wysłała mnie na ceremonię, opowiedziała o rytuałach i ostrzegła przed Corneliem i tym, co zrobi z Blanką.

– To atrakcyjna kobieta – powiedział policjant. – Uprawialiście seks?

– Czy jestem aż tak przewidywalny?

– Tak – odpowiedział. – Spałeś z nią?

– Jest niezła, owszem... – powiedziałem i roześmiałem się, ale to nie zrobiło na nim większego wrażenia. – Upiliśmy się. Pomyślałem, że trochę rozrywki mi nie zaszkodzi.

– To było bardzo głupie – powiedział.

– Głupotą byłoby przepuścić taką okazję.

– Uważasz się za spryciarza, prawda? – powiedział i upił łyk. Jego twarz zaczęła nabierać kolorów. Picie mu służyło. Stał się bardziej asertywny, żywy, prawdziwy. – Ta kobieta nie poszła z tobą do łóżka bezinteresownie.

– Mam swoje atuty – obruszyłem się. – A może tylko chciała, żeby ktoś ją przeleciał.

– Posłuchaj, Gabriel – powiedział, pochylając się w moją stronę. Poczulem jego gorzki oddech. – Ta kobieta wykorzystała cię w jakimś celu. Zmanipulowała cię. Wiedziałem o tym, gdy tylko cię zobaczyłem.

– Żartujesz? – spytałem urażony. Nie podobała mi się myśl, że ktoś się mną posłużył jak marionetką. Przecież nie jestem pierdoloną kuchenką mikrofalową i mam swój rozum.

– Gdzie poszedłeś po wpłaceniu kaucji? – spytał Rojo. Kanapki przestygły. Poprosiliśmy o kolejne dwa drinki. Bar powoli pustoszał, aż w końcu zostaliśmy sami. Zgiełk ucichł. – To ważne. Powiedz mi, gdzie byłeś.

– Popłynęliśmy łodzią – odpowiedziałem – na Tabarcę. – Zawiózł nas tam jakiś mężczyzna. Chyba jej szofer lub kamerdyner. Nie wiem... Robił wszystko, co mu kazała.

– Pamiętasz dom?

– Ledwo, ledwo – odpowiedziałem. – Nie wyglądał na jej własność, raczej przypominał dom letniskowy, ale wyglądało to, jakby zaplanowała moją wizytę, wiesz? Jak gdyby wiedziała, że tam będę, że się zgodzę. Szczerze... Nie miałem za bardzo wyboru. Dałem się zwabić.

– Co się później wydarzyło?

– Chcesz ze szczegółami? – spytałem.

– Po seksie – uściślił.

– Zasnęliśmy – wyjaśniłem. – Zasnęłem. Ona mnie przytulała. Czulem pustkę w głowie, dzwonienie w uszach... Nie rozumiałem, co mówiła, nie

zwracałem na to uwagi, ale coś do mnie szeptała... Tej nocy miałem dziwne sny. Trochę przesadziłem z alkoholem.

– A potem?

– Nic – odpowiedziałem, wzruszając ramionami. – Kiedy się obudziłem, jej już nie było. Mężczyzna zawiózł mnie do portu i też zniknął. Od tamtej pory nie miałem od niej znaku życia.

– Pamiętasz łódź, ulicę, cokolwiek...?

– Nie – powiedziałem. I tak właśnie było. Nie przypominałem sobie szczegółów. – To absurdalne, wiem o tym, ale miałem w głowie zupełną pustkę.

– Czy przedstawiła się jako psychoterapeutka? – spytał Rojo.

– Nie... – odpowiedziałem zaskoczony i wziąłem kolejny łyk. – Nic takiego nie powiedziała.

Policjant zaczął szukać czegoś po kieszeniach, wyjął portfel, a z niego zafoliowaną starą fotografię. Na zdjęciu widać było grupkę obejmujących się kobiet, stojących na szczycie jakiejś góry. Ubrane były zwyczajnie, na sportowo, a na ich twarzach gościł uśmiech. To było piękne miejsce, a dzień, sądząc po ich strojach, słoneczny i gorący. Przyjrzałem się uważnie i rozpoznałem twarz jednej z nich. Kobieta po lewej stronie. To była ona, ta sama osoba, którą widziałem na zdjęciu w gabinecie – żona policjanta.

– To jej zdjęcie? – spytałem. – Twojej żony. Prawda?

– Tak – odpowiedział, ocierając czoło serwetką. – Przyjrzyj się uważnie.

Spojrzałem jeszcze raz, ale nie dostrzegłem niczego nadzwyczajnego.

Rojo kawałkiem serwetki zakrył włosy blondynki, stojącej obok jego żony. Szczupła kobieta z miłym i uwodzicielskim uśmiechem. Rozpoznałem tę twarz. Była o wiele bledsza niż ją zapamiętałem. To była Violeta.

– To niemożliwe – powiedziałem, podnosząc wzrok. – To ona?

– Tak – potwierdził smutno. Wtedy przypomniałem sobie rozpisany w komisariacie schemat i coś mnie oświeciło.

– Z którego roku jest to zdjęcie? – spytałem. – I jaki to ma związek z twoją żoną?

– To są te kobiety, które odeszły dobrowolnie – wyjaśnił. – Violeta jest jedną z nich i jeśli ją znajdę, to może dowiem się, gdzie jest moja żona.



– Czy wiadomo coś więcej o zaginięciach? – Teraz zrozumiałem, dlaczego Rojo był tak żywo zaangażowany w tę sprawę. – Przypuszczam, że masz jakąś teorię.

– Teraz już wiem, o co w tym wszystkim chodzi... – powiedział. Poprosił kelnera o długopis. Mężczyzna niechętnie wyjął pisak z kieszeni koszuli i wręczył go policjantowi. – Jesteś gotów?

Teraz, gdy już widziałem światło w tunelu, pojawia się inspektor Rojo z hipotezą, która ściera w proch wszystkie moje przypuszczenia. Opowiedział mi o kilku epizodach ze swojego życia, których tak bardzo byłem ciekaw. Rojo po zniknięciu żony wpadł w psychozę. Wydawało mu się, że widzi ją w miejscach, w których zwykła bywać. Mylił ją z innymi kobietami. Leczenie trwało latami, aż wreszcie zrozumiał, że to tylko projekcje umysłu, że żona nigdy nie wróci i że powinien zamknąć ten rozdział. Parę lat później, po znalezieniu zwłok jednej z kobiet, śledztwo zostało wznowione. W kieszeniach spodni ofiary znaleziono paragon z finlandzkiej sieci sklepów R-Kioski. Rojo, podążając tym tropem, pojechał do finlandzkiej stolicy w nadziei na znalezienie sprawcy zniknięcia swojej drugiej połówki. Ślady zaprowadziły go do zimnego, nadmorskiego miasta, w którym odbywało się seminarium dla psychologów. Tam poznał Violetę, młodą hiszpańską terapeutkę norweskiego pochodzenia, mieszkającą na stałe w Madrycie. Była uczestniczką kursów dokształcających – a przynajmniej tak twierdziła. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z tego, co ich łączy. Spotkali się kilka razy na kawie po zakończeniu seminarium, zanim Violeta wyjechała. Zrezygnowany Rojo wrócił, przygnębiony poczuciem straconego czasu i brakiem wyników. Wtedy pewnego jesiennoego dnia podczas porządków znalazł w rzeczach żony tę fotografię. Próbował skontaktować się z terapeutką przez internet, ale bezskutecznie. Taka osoba nie istniała – w sieci nie było ani jednego wpisu na jej temat. Dwa lata później zobaczył ją podczas rutynowego patrolu. Zanim zdążył zareagować, Violeta zniknęła.

W czasie kryzysu gospodarczego nastąpiła eksplozja spraw o nadużycia i powiązania z sektami. I to nie tylko w Hiszpanii, ale w całej Europie. Zdesperowani ludzie byli gotowi wierzyć w każdą psychologiczną bujdę. W gabinecie policjanta rósł stos raportów i z czasem Rojo zrozumiał, że jego kobieta odeszła na zawsze, podobnie jak wiele innych osób.

W końcu funkcjonariusz zebrał potrzebny materiał, który dowodził podobieństwa w sposobie działania tajnych organizacji. Ich motorem były pieniądze, seks i władza. Najczęściej sektą kierował mężczyzna, który traktował kobiety jak towar i wykorzystywał je do realizacji swoich celów. Zawsze powtarzał się jeden stały element: ofiary znikaly dobrowolnie. Kobiety z klasy średniej, studentki, samotne matki. Wszystkie bez śladu. Ich ciała po pewnym czasie wypływały w różnych miejscach kraju – wyrzucone przez morze na brzeg, powieszzone jak kielbasa w hotelowych pokojach i wynajmowanych mieszkaniach lub po prostu rozjechane na torach kolejowych. Rojo nie mógł tego tak zostawić. Wiedział, że ona gdzieś tam jest. Myślał, że znajdzie ją prowadząc śledztwo. Niestety sprawa została zamknięta i jego wieloletnia praca poszła na marne. Akta trafiły do regionalnego archiwum, gdzie koniec końców zjedzą je pluskwy.

Był przekonany, że Violeta doprowadzi go do organizatorów procederu. Cornelio był amatorem, który nauczył się jak za pomocą hipnozy manipulować słabszymi. Rojo był przekonany, że sekta działa w podobny sposób na całym świecie. Violeta natomiast, bez wątpienia, była ambasadorką dobrze zorganizowanej siatki. Miała jednak swoje ambicje. Zemsta, o której mi mówiła, była dla niej jedynie pretekstem. Tak naprawdę pragnęła pozbyć się Cornelia, rozprawić się z Blanką i przejąć kontrolę nad Bractwem Milczenia.

Gdy skończył opowiadać, poprosiłem o szklanę wody. Bąbelki coca-coli jeździły mi po brzuchu, a whisky robiła swoje. Możliwe, że Rojo trochę się wstawił i rozwiązał mu się język; rzeczywistość mieszała mu się ze wspomnieniami. Ale nie miałem innego wyjścia, jak mu uwierzyć. Bar opustoszał. Spojrzałem mu w oczy – był całkowicie nieobecny. Tkwił nieruchomo jak słup telefoniczny. Słońce zaczynało ogrzewać chodniki, sklepy już otwarto, a do baru od czasu do czasu wpadał jakiś bezrobotny na piwo.

– Sądzę, że już czas na nas – powiedziałem.

– Napijmy się ostatniego – odpowiedział z wysiłkiem, składając sylaby w słowa. – To jeszcze nie koniec.

– Chyba na dzisiaj wystarczy, inspektorze – odpowiedziałem i chwyciłem go za ramię. – Zamówię ci taksówkę.

– Daj spokój – powiedział, chwiejąc się. Wyglądał zabawnie. – Jeszcze dam

radę chodzić.

Pomogłem mu wyjść, wsadziłem do białego Mercedesa i za chwilę zniknął za zakrętem. Zapłaciłem, zapaliłem papierosa i wyszedłem z baru. W drodze do domu analizowałem jego opowieść. Upał był nie do zniesienia. Zmęczenie, alkohol i odwodnienie przyśpieszyły objawy kaca. Miałem ochotę na prysznic. Wyobrażałem sobie, jak w pełnym rynsztunku wchodzę pod strumień wody. W pobliżu domu skorzystałem z miejskiej fontanny i zanurzyłem głowę w wodzie. Doznanie było intensywne, przyjemne. Przechodnie patrzyli na mnie ze zgorzeniem. Gdy próbowałem otworzyć drzwi do budynku, wypadły mi z rąk klucze. Schyliłem się po nie, a gdy prostowałem plecy kątem oka zobaczyłem mijającą mnie kobietę.

– Clara? – spytałem głośno z niedowierzaniem. – To ty?

Kobieta zniknęła za rogiem. Byłem pijany, ale nie aż tak.

Usłyszałem trzask migawki aparatu fotograficznego, chyba w telefonie komórkowym.

Wspiąłem się po schodach do mieszkania i ledwie żywy padłem na kanapę. Siła grawitacji wcisnęła mnie w mebel. Wtedy na stole zadzwonił telefon.

– Cholera, nie teraz – powiedziałem, kierując się w stronę aparatu. – Zostaw wiadomość.

Telefon zamilkł, a mnie ogarnęły wyrzuty sumienia, że nie odebrałem połączenia. Próbowałem wstać, podparłem się ręką, mięśnie robiły się jednak coraz bardziej rozluźnione, głowa opadła do tyłu i ogarnęła mnie głęboka mgła stłumionych dźwięków i obrazów.

# 15

**T**elefon zadzwonił ponownie. Z trudem uniosłem powieki. Mieszkanie wyglądało dokładnie tak jak przed moją drzemką. Czy naprawdę spałem? Wszystko ma swoją cenę. Odpoczynek o niewłaściwej porze, w środku letniego dnia i kac po przydługiej nocy. Moje ubranie śmierdziało, a w pokoju unosiło się ciężkie i gęste powietrze. Kołnierzyk od koszuli przesiąkł potem. Poczulem kwaśny zapach. Stary telefon komórkowy wędrował niestrudzenie po stole, jak naładowany wibrator. Co za dźwięk! Nie do zniesienia. Podniosłem się obolały i sięgnąłem po aparat.

– Taaak? – zapytałem. Jednocześnie zadzwonił dzwonek u drzwi. W słuchawce słyszałem oddech rozmówcy. – Kto mówi?

– Wstałeś? – powiedział głos. To był inspektor. – Dowiedziałem się czegoś. Musimy ruszać.

Dzwonek u drzwi zadzwonił ponownie.

– Co się stało? – spytałem. Kręciło mi się w głowie. – O co chodzi?

Podszedłem do drzwi i spojrzałem przez wizjer.

To była ona – żadna halucynacja – prawdziwa Clara.

– Nie mów nikomu, że tu jestem – powiedziała zza drzwi smutnym, pozbawionym energii głosem.

– Wejdziemy podczas kolejnej ceremonii – odpowiedział podekscytowany Rojo. – Moi ludzie już są gotowi... Rozmawiałem z przełożonymi i możemy to zrobić, możemy położyć kres cierpieniu tych dziewczyn.

– Clara jest tutaj – szepnąłem cicho. Dzwonek zadzwonił ponownie. – Stoi pod moimi drzwiami.

– Jak to? – powiedział. – Nie otwieraj jej. Zaczekaj, zaraz tam będę.

Spojrzałem ponownie przez wizjer, ale nikogo już nie było.

– Cholera jasna... – powiedziałem. – Przyjeżdżaj, jak najszybciej możesz.

– Co się dzieje? – spytał. – Siadaj na kanapie. Zaraz kogoś wyślę do ciebie.

– Chyba sobie poszła... Wydawało mi się, że widziałem ją dziś rano przed domem. Która jest godzina?

– Piąta – powiedział. – Może ci się przywidziało.

– Cholera, Rojo, nie denerwuj mnie... – odpowiedziałem urażony.

– Nie zachowuj się jak idiota – krzyknął policjant. – Zachowaj spokój, weź prysznic i czekaj na mnie.

– Dobra, dobra – odpowiedziałem i rozłączyłem się. Odniosłem wrażenie, że ktoś jeszcze znajduje się w mieszkaniu i uczucie to we mnie narastało. W dłoni nadal trzymałem telefon. Ścisnąłem go mocno – ktokolwiek to jest, nie wyjdzie stąd bez szwanku. Serce waliło mi jak oszałałe.

– Nie ruszaj się – powiedział głos. To była Clara. Przystawiła mi do głowy metalowy przedmiot. Celowała we mnie. – Powiedziałam ci, żebyś nikomu o nie mówił.

– Jak tu weszłaś? – spytałem.

– Odwiedzam cię już od jakiegoś czasu – wyjaśniła – a ty się nawet nie zorientowałeś.

Kazała mi wrócić do salonu i usiąść na kanapie. Dopiero wtedy zobaczyłem jej twarz. Clara zmieniła wizerunek: już nie była brunetką. Miała rude włosy i używała szkieł kontaktowych w niebieskim kolorze. Miała też nowe ubranie i przypominała inne nowoczesne dziewczyny, które można było spotkać letnią nocą w rockowym barze Kraken. Wyjęła papierosa z kieszeni przetartych na kolanach džinsów i zapaliła. Cały czas celowała do mnie z pistoletu.

– Dlaczego mnie nie posłuchałeś, Gabriel? Zobacz, co się z nami stało.

– Wiem, kim jesteś – powiedziałem. – Nie nazywasz się Clara i nie jesteś Hiszpanką. I wątpię, by Hidalgo coś dla ciebie znaczył. Wiem również, że jesteś jedną z tych zaginionych kobiet, których szuka Rojo.

– Zamknij dziób – powiedziała. – Powinieneś być mnie posłuchać. Wy mężczyźni, wciąż popełnacie te same błędy... Dlaczego to robicie? Z dumy? Z chęci zdobycia medalu? Wiesz... Twój koleżka był taki sam, jak ty – chytry i przemądrzały... Gabriel, lubiłam cię, naprawdę, ale spieprzyłeś sprawę i tego ci nie daruję.

– Co masz zamiar zrobić? – powiedziałem zuchwale. W środku jednak byłem przerażony. – Zmusisz mnie do samobójstwa tak jak Hidalgo?

– Nie mam czasu na dyskusje z tobą – powiedziała, wymachując bronią. – Ruszaj.

Zaprowadziła mnie na taras na dachu budynku. Był piękny słoneczny dzień. Z góry widać było balkony sąsiednich domów, wzniesienie i zamek św. Barbary, a w oddali bezkresny horyzont. Przedzieraliśmy się przez rozwieszone pranie, aż dotarliśmy do cementowej balustrady. Morska bryza dmuchała prosto w twarz. Przyjemna, świeża i delikatna. Wiatr rozwał sztuczne rude włosy Clary, które zasłoniły część jej twarzy.

– Właż – powiedziała. – No dalej!

Spojrzałem za murek i zobaczyłem pełną życia ulicę – samochody i ludzi idących na codzienne zakupy, facetów siedzących w barze na dole.

– Nie – odpowiedziałem zrezygnowany. – Mam lęk wysokości. Nie dam rady skoczyć.

– Chcę tylko, żebyś wszedł na balustradę – odpowiedziała. – Jeśli tego nie zrobisz, przyrzekam, że cię zastrzele.

Była spięta, mówiła szybko. Miała wyraźny śpiewny akcent, charakterystyczny dla Słowian.

– Dlaczego ja? – spytałem. – Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

– To już wiesz – odpowiedziała. – To przez niego. Hidalgo opowiedział mi o tobie. Wiedział, że łatwo tobą manipulować.

– Dziwka! – powiedziałem w przyplwywie pewności siebie. Pogroziła mi pistoletem. – Zaraz zjawi się policja i nie ujdzie ci to na sucho. Lepiej dla ciebie, jeśli znikniesz szybko.

– To ja wydaję tutaj rozkazy – powiedziała. – To nie jest mój pierwszy raz. Właż!

Oparła palec wskazujący na spuście i lufą pistoletu wskazała mi drogę.

Usiadłem na murku, podciągnąłem nogi. Nie patrzyłem w dół. Wiedziałem, że za chwilę będę musiał skoczyć. W przeciwnym razie ona mnie po prostu zepchnie. Myślałem, że to już koniec, który sam sobie zgotowałem.

– Powiedz mi jedną rzecz – powiedziałem. – Czy to ty zabiłaś Estrellę?

– Nie – powiedziała. – Zająłem się tylko Hidalgiem... Wtedy zorientowałam się, że nie jestem w tym sama.

– Sama? – spytałem. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– W porządku. – Uśmiechnęła się. – To będzie ostatnia rzecz, którą ode mnie usłyszysz.

– Dawaj...

Powiedziała mi, że to ona za wszystkim stoi, że to ona próbowała ze mną skończyć, a teraz weźmie się za Cornelia i zajmie się dziewczyną...

– Blanką? Dlaczego Blanką? – spytałem. Rojo miał rację. Jego teoria była słuszna. Chciałem wyjść z tego cało, opowiedzieć mu o wszystkim, ale cuda się nie zdarzają, chociażbym w nie wierzył.

– Obróć się! – rozkazała i tak zrobiłem. Zobaczyłem dachy sąsiednich domów, ulicę, przechodniów, ale nikt nie zauważył, że tu stoję, jak jakiś strach na wróble, o krok od skoku. – A teraz, skacz!

Wtedy usłyszałem skrzypienie drzwi.

– Ręce do góry! – krzyknął znajomy głos. To był Rojo w towarzystwie trzech policjantów, którzy schowali się za porozrzucanymi na tarasie rupieciami. Zeskoczyłem z murku. Clara strzeliła do mnie. Chybiła. Nie oglądając się za siebie puściłem się biegiem, przedzierając się przez rozwieszane pranie. Usłyszałem kolejny wystrzał. Kula przeleciała blisko i wbiła się w komin. Rozpętała się regularna wymiana ognia, a po chwili nastąpiła cisza. Serce podeszło mi do gardła, adrenalina spowodowała, że nie czułem bólu krwawiącego kolana. Dyskretnie czółgałem się pośród wypranych ubrań. Wtedy usłyszałem głos Clary:

– Pożegnaj się ze swoim kolegą – powiedziała mierząc w moje plecy.

Podniosłem ręce i zamknąłem oczy.

Przygryzłem język aż do krwi.

Znowu padły strzały.

Clara upadła.

W odległości kilku metrów ode mnie zobaczyłem jej twarz. Wytrzeszczone oczy. Z ust płynęła strużka ciemnej krwi.

– Na Boga! – krzyknął Rojo.

Policjanci podbiegli do ciała. Jeden z nich sprawdził puls.

– Nie żyje – powiedział po chwili.

– Wszystko w porządku? – zapytał Rojo.

– Chyba, tak – odpowiedziałem.

Widziałem żal w jego oczach. Nawet policjantom trudno przywyknąć do widoku umierającej osoby. Jego smutek miał też inne przyczyny. Rojo stracił cenny trop. Clara wiedziała więcej niż my i mogła pomóc w odnalezieniu jego żony. – Opuść sobie. Już po wszystkim.

– Mam dosyć – odpowiedział. – Mam tej sprawy po dziurki w nosie... Cokolwiek to jest, skończmy z tym raz na zawsze.

– Co masz na myśli? – zapytałem. Czulem, jak rośnie jego wzburzenie. – Poddajesz się?

Rojo spojrział na telefon i zwrócił się do swoich kolegów:

– Dzwońcie do centrali i powiedzcie, żeby się szykowali. Potrzebuję dziesięciu ludzi. Wchodzimy dziś wieczorem. Nikt nie może uciec. Chcę, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Zrozumiano?

– Co robisz? – spytałem. – Tego właśnie chciałeś uniknąć...

– To koniec – odpowiedział. Słońce odbijało się w policyjnej odznace przypiętej do paska. – A ty, trzymaj się od tego z daleka.

– Co ty pleciesz?

– To co słyszysz. Trzymasz się z daleka, to rozkaz, Gabriel.

– Nic nie rozumiem.

– Nie chcę widzieć, jak umierają kolejne osoby – wyjaśnił. – Musisz mnie zrozumieć. Zamkniemy tę sprawę, a ich wszystkich wsadzimy do więzienia. Skończmy z tym raz na zawsze.

– Jesteś w błędzie. Spieprzysz wszystko.

– Nie ma o czym gadać – powiedział zrezygnowany policjant. – Tak właśnie zrobimy... Ale dzięki za wszystko.

– Idź do diabła! – krzyknąłem i energicznym krokiem ruszyłem do drzwi. Byłem na niego wściekły. Naprawdę wkurzony. Miałem ochotę przywalić mu



w twarz tak, żeby nie rozpoznał sam siebie w lustrze. Zrobił mnie w konia, pieprzony dupek.

Co teraz? Straciłem pracę, moje dawne życie. Czulem się jak na rozdrożu i nie wiedziałem, w którą stronę pójść. Mogłem zostawić wszystko w rękach policjanta i za niedługo spacerować beztrudno po bezpiecznej ulicy. Mogłem poszukać jakiegoś zajęcia, na przykład jako kelner. Zawsze pociągało mnie serwowanie drinków i barowe rozmowy. Mogłem zostać obwoźnym sprzedawcą hot-dogów. Ale to nie było to, czego pragnąłem dla siebie. Czulem się, jak bohater Matrixa po zażyciu czerwonej pigułki. Miałem ochotę połknąć cały flakonik pieprzonych niebieskich pigulek i umrzeć w nieświadomości! Tego naprawdę chciałem! Połknąć niebieską tabletkę! Życ jak inni! Być pieprzonym ignorantem do końca życia! Wtedy byłbym szczęśliwy!

Kac robił swoje. Dudniło mi w głowie. Słyszałem dźwięki przypominające odgłos puszek ciągniętych za samochodem nowożeńców. Nie oglądając się na policjanta zbiegłem schodami na dół i złapałem pierwszy nadjeżdżający autobus. Pojazd utknął w porannym korku i dopiero gdy wszcząłem awanturę, kierowca pozwolił mi wysiąść między przystankami. Wypadłem wprost między samochody i puściłem się biegiem w stronę redakcji. Okulary przeciwsłoneczne na nosie i koszula rozpięta na piersi. Biegiem, nie zważając na sygnalizację, potrącając przechodniów, którzy znaleźli się na mojej drodze.

Wpadłem do budynku. Pozdrowiłem portiera i ruszyłem schodami w górę. Poczulem zimne i sztuczne powietrze klimatyzacji. Znowu tu byłem, w redakcji Las Provincias. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno pracowałem. Miałem wrażenie, że od ostatniej wizyty upłynęły całe lata.

Do biura Las Provincias, jak do redakcji każdego dziennika, można było wejść z zapaloną bombą w rękę i nie wzbudzić niczyjego zainteresowania. Zawsze tak było. Chyba, że miałeś długie nogi i biustonosz w odpowiednim rozmiarze. Nikt z pracowników nie wstał, aby się ze mną przywitać. Nikt nie ruszył się z miejsca, by skierować mnie z powrotem do wyjścia. Tylko ukryty za komputerem stypendysta lypał na mnie sponad okularów.

– Ty! – krzyknąłem, gdy zobaczyłem, że chwyta za telefon. – Zostaw to, dobra?

Odłożył słuchawkę.

– Nie możesz tu przebywać – powiedział drżącym głosem. – Będę musiał wezwać ochro...

– Kogo? – przerwałem mu. – Nikogo nie zawołasz. Gdzie jest Ortiz? W swoim gabinecie?

– Mogę go uprzedzić.

– Sam to zrobię – powiedziałem i ruszyłem do gabinetu szefa. Zatrzymałem się przed drzwiami i gwałtownie je otworzyłem.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – powiedział zdziwiony Ortiz. – To ty?!

Rzuciłem się na niego i chwyciłem za gardło. Zaatakowany z zaskoczenia był bezbronny, jak ryba wyjęta z wody. Rzuciłem nim o metalową szafkę, a następnie przyparłem do ściany.

– Sukinsyn! – wykrzyknął i nieporadnie próbował mnie uderzyć.

– Jesteś jednym z nich! – odpowiedziałem. – Chory czubek!... Gdzie jest dziewczyna?

– Odwal się, Caballero – powiedział przyduszony. – Pograżę cię, skurwysynu. Jesteś skończony.

Ścisnąłem go mocniej za szyję i przywaliłem pięścią prosto w twarz. Runął na ziemię jak długi. Zaboląła mnie ręka. Ortiz złapał się za twarz i wrzeszczał.

– Powiedz mi, gdzie jest dziewczyna!? – wykrzyknąłem i przycisnąłem go do podłogi. Ortiz zwijał się z bólu, ale nie poddawał się.

Przesadziłem. Po prostu poniosła mnie złość.

– Tracisz czas, Gabriel... – odpowiedział i otarł napuchniętą twarz. – Na twoim miejscu znalazłbym sobie jakąś dobrą kryjówkę... Tym razem przegiąłeś...

– Mów, gdzie jest Blanka? – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – Nie prowokuj mnie.

– Ty? – spytał. – Czego chcesz? – Pieniądzy? Tego, tak? Jesteś żaloszny.

Ortiz zaczął się śmiać. Podeszedł do biurka i usiadł na krześle tak, jakby nic nie stało.

– Biedny frajer... – powiedział, ocierając krew bawełnianą chustką. – A teraz zostaw mnie w spokoju. Mam robotę.

Chwyciłem z biurka nóż do otwierania kopert i zanim zdążył zareagować, wbilem ostrze w jego prawą rękę.

Wrzasnął w niebogłosy.

Wyciągnąłem zakrwawione ostrze z dłoni i powtórzyłem cios jeszcze trzy razy.

Ortiz krzyczał jak zarzynany wieprz.

Po jego rozpalonej twarzy spłynęły łzy.

– Powiedz mi, gdzie jest dziewczyna! – rozkazałem. – Nie zmuszaj mnie do najgorszego.

Nie odpowiedział. Chwyciłem go za kołnierz koszuli i potrząsnąłem. Płakał jak dziecko. Wtedy za rozchyloną koszulą zobaczyłem na jego piersi tatuaż. To była mapa. Wyglądało to na plan jakiejś wyspy. Było to tym bardziej zastanawiające, że osoby pokroju Ortiza nie zwykły nosić tatuaży.

– Daj spokój – jęknął wyczerpany. – To cię przerasta.

– Powiedz mi, jak tam dojechać? – odpowiedziałem.

– Będziesz musiał sam się dowiedzieć – powiedział.

Dźgnąłem go ponownie.

Gdy dotarłem do siedziby Bractwa Milczenia, policjanci byli już w środku. Wokół budynku zgromadził się tłum ciekawskich. Prasa urządziła sobie salę konferencyjną w pobliskim barze. Przed ośrodkiem stały dwa zaparkowane wozy transmisyjne telewizji. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Agenci byli wszędzie: spisywali zeznania, prowadzili zatrzymanych do radiowozów, przetrząsali szafy i pakowali dokumentację do plastikowych toreb.

– Halo! – zawołał jeden z agentów i zatrzymał mnie przy wejściu. – Pan nie może tutaj przebywać.

– Szukam inspektora Rojo – powiedziałem.

– Musisz poczekać jak inni – odpowiedział policjant.

– Nic nie znajdziecie – powiedziałem i dalej próbowałem wejść do środka.

– Proszę pozwolić mi porozmawiać z Rojo.

– Już ci mówiłem, że musisz poczekać – powiedział mężczyzna i wymierzył we mnie policyjną pałkę. – Nie denerwuj mnie. Zrozumiałeś?

– Traciecie czas – odburknąłem.

Próbowałem dodzwonić się do inspektora, ale linia była ciągle zajęta. Z budynku wyprowadzano skutych kajdankami mężczyzn. Szli spokojnie,

zasłaniając twarze marynarkami przed aparatami fotograficznymi dziennikarzy. Nikt poza mną nie wiedział, co się dzieje. Staruszki z dzielnicy zaczęły coś szeptać między sobą. Przekręcona i wyolbrzymiona wersja wydarzeń mówiła o sektach i satanistycznych rytuałach.

– Skurwysyny! – krzyknął jakiś zdezorientowany mężczyzna. – Banda skurwysynów!

Na ulicy panował harmider. Przyjechało jeszcze więcej wozów patrolowych, transmisyjnych i karettek. Mdlwały matki zatrzymanych dziewcząt.

– To skandal! – krzyknęła jakaś kobieta z balkonu. – Na jakim świecie przyszło nam żyć?! Mój Boże!

Z budynku wyszedł inspektor. Ubrany był w opiętą, granatową bluzę. Ciemne włosy zaczesał do tyłu. Dziennikarze z mikrofonami rzucili się na niego. Koledzy Rojo próbowali zaprowadzić porządek. Ten przystanął na chwilę i zapowiedział jedynie konferencję prasową. Był spięty. Może dlatego, że nie wiedział, jak zapanować nad sytuacją. A może dotarło do niego, że właśnie dał się wciągnąć w pułapkę zorganizowaną przez jednego z mózgow grup. Oparł się o bagażnik zaparkowanego radiowozu i rozejrzał się po tłumie. Wtedy mnie zauważył. Nasze spojrzenia spotkały się. Pomachałem mu ręką i ruszyłem w kierunku pobliskiej uliczki. Poszedł za mną. Wzburzony chwycił mnie za ramię i potrząsnął mną.

– Ty gnido! – krzyknął. – Wiedziałeś o tym, prawda? Zasmańcu!

Odepchnąłem go.

– Ej! – krzyknąłem. – Uspokój się. Mówiłem ci, ale nie chciałeś słuchać.

– Co wiesz?

– Wiem, gdzie są – odpowiedziałem. – Wiem wszystko. I mają Blanę.

– Gówna prawda – odpowiedział. – Podaj mi adres.

– Potrzebna będzie łódź.

– Jak to?

– Przenieśli się na wyspę.

– To nie ma sensu – odpowiedział. – Po co mieliby to robić? Z wyspy trudno uciec.

– Musisz mi uwierzyć – wyjaśniłem. – Byłem u Ortiza. Na piersi miał wytatuowaną miniaturową mapę wyspy.

– Może pochodzi z rybackiej rodziny – odpowiedział z przekąsem Rojo.  
– Nie wkurzaj mnie! – wykrzyknąłem. – Znaleźliście coś?  
– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział i zawołał jednego z funkcjonariuszy. Niczego nie znaleźli. Odwrócił się i wydał rozkazy. Kazał zatrzymać Ortiza. – Chodźmy.

Nie sprzeciwiałem się. Byłem jedyną osobą, która знаła wyspę. Przeczuałem, że znowu znajdę się na łodzi, ale tym razem nie dam się wciągnąć w żadne tajemne gierki.

Miałem złe przeczucie. Coś się wydarzy na wyspie. Ale co?  
Był tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

Radiowóz zawiózł nas do portu. Wraz z dwoma innymi policjantami poszliśmy na komisariat. Jednym z nich był funkcjonariusz, który nie wpuścił mnie do ośrodka. Twarz drugiego wydawała mi się znajoma. Był szczupły, szeroki w barach i nosił kilkudniowy zarost. Przypomniałem sobie, że kilka razy widziałem go krążącego po komisariacie.

Rojo cały czas rozmawiał przez telefon. Palilem papierosa i czekałem, aż skończą przygotowania. Tych dwóch nie rozmawiało ze sobą. Byli podenerwowani – pewnie martwili się tym, co ich może spotkać na wyspie. Ja również milczałem. Nauczony własnymi błędami, postanowiłem się wychylać.

Gdy Rojo skończył rozmawiać, poszliśmy w stronę przystani.

– Zatrzymano Ortiza – powiedział rozdrażniony. – Był w szpitalu. Jeszcze wrócimy do tego tematu.

Wsiedliśmy do policyjnej motorówki. Ogluszający ryk silnika przeszkodził nam w dalszej rozmowie.

Podziwiałem port Alicante skąpany w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Przejrzyste niebo. Na bezkresnym horyzoncie wisiało zaledwie kilka chmur. Widok godny romantycznej pocztówki, gdyby nie okoliczności, w których się znajdowałem. Obiecałem sobie, że pewnego dnia przyprawdę tutaj jakąś dziewczynę – byłem tego pewny.

Poczułem zmęczenie i usiadłem.

Uzbrojeni funkcjonariusze patrzyli przed siebie. Wszyscy zastanawialiśmy się, co się wydarzy.

W oddali widać było miniaturową wysepkę. Tabarca należała kiedyś do berberyjskich piratów. Później zajęli ją włoscy i hiszpańscy rybacy. Teraz stanowiła część gminy Santa Pola. Przez długi czas nikt nie interesował się tym, co się na niej działo ani kto na niej mieszkał – do dnia, kiedy bogacze zaczęli inwestować i budować tam domy. Tabarca, miejsce piękne i dzikie, stała się chlewem turystycznego bazaru, prostackiego hotelarstwa i obcokrajowców, którzy nie okazywali mu ani krztyny należnego szacunku. Wyspa bez wyspiarzy, kawałek skały i wilgotnej ziemi otoczony statkami i mewami. Zawsze intrygowało mnie, co kupujący tutaj domy widzieli w tej wyspie. Była dostępna z każdej strony, ale miała tylko jeden port. Jedną jej połowę zajmowała wioska, drugą zaś zarośla, pośród których stała latarnia morska oraz cmentarz. Był też dbający o porządek posterunek Guardia Civil i gospoda, w której można było przenocować, a także kilka zamieszkałych domów. W porze zimowej wyspa wyludniała się – rybacy cumowali swoje łodzie w Santa Pola lub Alicante, jachty nie wypływały w morze – okolica zamieniała się w miejsce odludne, zimne i wietrzne, zamieszkałe jedynie przez zwierzęta. Światło elektryczne odcinało ulice wioski od reszty wyspy, pozostawiając wyobraźni to, co działo się po drugiej stronie. Można było umrzeć w ciemności i zostać znalezionym dopiero następnego dnia. A może nigdy. Nie było pewności. Boom gospodarczy przyniósł ze sobą wodociąg i płot sięgający do samej plaży. Wszyscy wiedzieli, że w przybrzeżnych zaroślach niewiele się działo. Można w nich było co najwyżej spotkać parę uprawiającą seks. A im bliżej cmentarza, tym było spokojniej. W ciągu dnia czasami zapuszczał się tu ktoś ciekawski, ale po południu trudno było spotkać żywą duszę. Po zachodzie słońca cmentarz zamieniał się w królestwo religii, przesądów, zombie, czy Bóg wie czego i napawał ludzi strachem.

Zapadał zmierzch. Gdy dopłyniemy do wyspy, słońce pożegna się z nami aż do kolejnego świtu. Rojo usiadł koło mnie.

– Trzymaj – powiedział i podał mi broń. – Umiesz się tym posługiwać?

W kaburze był pistolet.

– Jestem zielony w te klocki – przyznałem.

Pomimo tego, pistolet dodawał mi pewności siebie. Czulem się z nim jak ktoś nie do pokonania, prawdziwy władca świata.

– Strzelaj tylko w razie konieczności – powiedział.

Brodaty policjant spojrział w moją stronę i uśmiechnął się. Nic nie powiedział. Drugi sterował łódką. Dopływaliśmy do wyspy. Widać było zacumowane żaglówki.

– Oficerze! – zawołał do Rojo policjant z brodą. – Może mi pan pomóc?

Rojo odwrócił się i podszedł w stronę rufy.

Siedziałem na skórzanym siedzeniu i przytulałem nową zabawkę.

– Co się dzieje? – usłyszałem za plecami głos Rojo.

Przede mną stanął policjant sterujący łodzią.

– Tak? – Zerknąłem na niego, ale nie odpowiedział. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wymierzył mi cios w skroń. Nie zdążyłem uchylić się przed pięścią. Dostałem w głowę – nie za dobrze to pamiętam. Poczulem silne mrowienie, usłyszałem hałas, a potem szamotaninę i zdziwiony głos Rojo.

– Co robisz? – powiedział do kogoś inspektor.

Leżałem na ziemi. Słyszać było stłumione odgłosy bójki, potem cichy wystrzał i głuche uderzenie o podłogę łódki. Byłem jak sparaliżowany.

Cięcie, muzyka silnika, letnia piosenka w trybie *fade out*. Pociemniało mi przed oczami.

# 16

**S**mród. Skąd ten smród? Wywoływał u mnie mdłości i dreszcze. Nie mogłem otworzyć oczu. Powieki bolały mnie tak, jakbym ich dawno nie używał. Prawdopodobnie byłem pod wpływem jakichś substancji odurzających. Nie była to ani marihuana, ani kokaina, ani też żaden środek powodujący halucynacje. Naćpany unosiłem się nad swoim ciałem. Wisiałem w czymś, co przypominało hamak. Kończyny miałem tak bezwładne, że wydawało mi się, że już nigdy nimi nie poruszę, jakby je zmiażdżył przejeżdżający pociąg. I, z nieznanego mi powodu, czułem spokój. To się działo naprawdę. Czułem odrętwienie głowy, któremu towarzyszył przeszywający ból. Trudno porównać ten stan z czymkolwiek innym. Nawet z najgorszym kacem. To pewnie skutek uderzenia przez tego sukinsyna. I znowu ten zapach, znajomy zapach. Nie mogłem się z nim oswoić. Usłyszałem ciche dźwięki. Przypominały odgłos kropli wody uderzającej o dno umywalki albo dźwięk fal delikatnie rozbijających się o skały. Poniosły się lekkim echem, przez co doszedłem do wniosku, że znajduję się w zamkniętym pomieszczeniu. Z trudem otworzyłem jedno oko, potem drugie, ale wokół panowała ciemność. Chciałem się bać, ale byłem zbyt rozluźniony. Poruszyłem ręką i powoli przesunąłem ją o kilka centymetrów. Usłyszałem kolejny odgłos, jakiś trzask.

– Gabriel? – zapytał ktoś niewyraźnie.

– Rojo?

Kolejny trzask. Gówno. Siła grawitacji pociągnęła mnie w dół.



- Gdzie jesteś? – odezwał się ponownie Rojo. – Co się dzieje, do cholery?
- Kurwa! – krzyknąłem i poleciałem w dół.

Chłód wdzierał się do mojego wnętrza przez każdy por skóry. Wpadłem po szyję do gęstej i zatechłej cieczy. Zanurzyłem się w niej cały. Nic nie widziałem. Poddąłem się. Nie otwierałem oczu, nie chciałem tego zrobić. Odepchnąłem się z całych sił od dna i wypłynąłem na powierzchnię. Chyba byłem w basenie. Po omacku namierzyłem metalowe schodki. Podniosłem jedną nogę, potem drugą. Wspiąłem się po drabince i upadłem. Byłem od stóp do głów oblepiony klejącą i ciemną mazią.

- Wszystko w porządku? – spytał ponownie Rojo. – Gdzie jesteś?

I wtedy mnie olśniło.

Cholera jasna.

Co za zasrane paskudztwo!

Oblizalem wargi. Substancja wymieszała się ze śliną i dotarła do kubków smakowych. Miała znajomy, metaliczny posmak.

Nie! Nie mogłem uwierzyć. Zrobiło mi się słabo, zakręciło w głowie i ponownie straciłem równowagę. Gdy się ocknąłem, poczułem przyływ sił. Zakaslałem i zwymiotowałem, a potem jeszcze raz.

Basen wypełniony był krwią.

- Nie – krzyknąłem. – Nie! Nie! Nie!
- Gabriel! – odezwał się Rojo. – Co się dzieje?

Nie wiedziałem, gdzie jest inspektor. Nie miałem czym się wytrzeć, bo wszystko było utyłane we krwi.

- Nie ruszaj się – powiedziałem. – Zostań tam, gdzie jesteś. Spróbuję znaleźć światło.

Z głosu Rojo wyczytałem, że był przerażony.

Podłoga wyłożona była terakotą. Szedłem ostrożnie, uważając, żeby się nie pośliznąć i dotarłem do niewielkiej platformy, na której były drzwi. W ciemności wymacałem na ścianie włącznik. Pomieszczenie wypełniło się jasnym światłem jarzeniówek. To był magazyn, w którym znajdowały się dwa pokaźne zbiorniki. Prawdopodobnie tutaj tubylcy magazynowali wodę, zanim na wyspie powstał wodociąg.

- Kurwa – krzyknął Rojo, zakrywając twarz rękami. Oślepiło go światło z

lamp. On także, jak ja wcześniej, wisiał nad taflą zbiornika zaplątany w czymś, co przypominało hamak.

Zakreśliło mi się w głowie. Oparłem się o metalową skrzynię stojącą obok drzwi i kaszlnąłem, plując żółcią. Przed oczami stanął mi Rocamora, skaczący do rozdrabniacza w fabryce i jego zmielone ciało. Wydawało mi się, że jestem cały przesiąknięty krwią grubasa i zabitych zwierząt. Nie mogłem tego znieść. I jeszcze ten smród. Ten kurewski smród!

– Oślepiłem! – krzyknął Rojo. – Kurwa! Nie mogę poruszać ani rękami, ani nogami!

I wtedy sznurkowy hamak pękł pod jego ciężarem. To była pułapka doskonała. Wydostać się z niej można było w jeden sposób, zanurzając się we krwi. Rojo wpadł do zbiornika, jak moneta wrzucana do miejskiej fontanny. Usłyszałem plusk. Po chwili wypłynął na powierzchnię, otworzył usta i wypluł zawartość. Dopłynął do brzegu zbiornika i wspiał się po drabince.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, podchodząc do niego.

Zbryzgał mnie resztką wykasływanej krwi.

– Krew! – krzyknął. – Zabierz mnie stąd. To jakiś obłąd!

Pomogłem mu i ruszyliśmy w stronę betonowych schodów, przy których wałowały się jakieś butelki i stała otwarta skrzynia z narzędziami. Nie mogliśmy uwolnić się od smrodu.

– Musimy stąd wyjść – powiedziałem.

– Gdzie jesteśmy? Co nam zrobili? – spytał zdezorientowany. – Myślę, że jestem naćpany.

– Ja też. Nie wiem, co się stało. Niewiele pamiętam. Łódź – to wszystko, co kojarzę.

– Boli mnie głowa – powiedział Rojo. – Mam chyba halucynacje.

– Co ty mówisz? – Rojo zaczął się śmiać i wskazał coś za moimi plecami. – Z czego ty się śmiejesz?

– Przepraszam... Ha, ha! – powiedział, mierzając we mnie palcem. – Widzę małpę... pierdoloną małpę o trzech głowach.

Obróciłem się energicznie i spojrzałem w stronę drzwi. Nie było tam żadnej małpy. Rojo miał przywidzenia, ale rzeczywiście ktoś stał za mną. Dwie małpie głowy należały do dwóch przebranych funkcjonariuszy. Rozpoznałem

ich. W rękach trzymali elektryczne pistolety. Trzecią była głowa mężczyzny w cywilu, średniego wzrostu. Wszyscy nosili takie same maski.

– Co to za zamieszanie? – spytał mężczyzna. Rozpoznałem ten głos. Należał do szofera Violety. To był on. Ten sam facet, który zawiózł mnie na wyspę. – Panie Caballero! Wygląda pan jak siódme nieszczęście... Tak czy siak, chodźmy. Czasu coraz mniej, a musimy jeszcze rozpaść ogień.

Choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, były to jego ostatnie słowa.

Z zewnątrz dobiegł skrzek sroki.

Głuche uderzenie. Szofer krwawił jak ranne zwierzę. W jego tchawicy tkwił śrubokręt. Z szyi tryskała fontanna krwi. Druga głowa w malpiej masce z poderżniętym gardłem runęła na podłogę jak pusty worek. Na wprost mnie stał młody policjant i mierzył do mnie z elektrycznego pistoletu. Rojo zaszedł go od tyłu, ale ten zareagował błyskawicznie i poraził go prądem. Inspektor upadł na podłogę i z bólu chwycił się za brzuch. Bez zastanowienia wykorzystałem moment nieuwagi przebierańca. Chwyciłem butelkę i wymierzyłem mu cios w głowę. Ogluszony policjant runął jak długi. Rojo nie podnosił się. Złapałem metalowy pręt ze skrzyni z narzędziami i zadałem fałszywemu funkcjonariuszowi kolejny cios w twarz. Pluł krwią, a usta miał jak rozkwaszony pomidor.

Zadałem kolejny cios. Ryknął z bólu. Złamałem mu nos, przez co krwawił jeszcze bardziej.

– Przestań! – krzyknął Rojo. – Zabijesz go!

Cały byłem zbryzgany krwią, która tworzyła zasychającą skorupę na mojej twarzy i rękach. Wyglądałem jak potwór, złowroga bestia.

Rojo podniósł się i złapał pręt, zanim zdążyłem wymierzyć ostateczny cios.

– Co ty, kurwa, robisz? – spytałem rozwścieczony.

– Zostaw go – odpowiedział spokojnie.

– Żyje? – spytałem.

– Nie wiem – odpowiedział Rojo i wymierzył policjantowi kopniaka. – Wygląda na nieprzytomnego, ale równie dobrze może udawać.

– Chodźmy. Musimy znaleźć Blanę.

Podniosłem leżący na podłodze paralizator, przyłożyłem go do genitaliów

policjanta i strzeliłem całą mocą. Ten ocknął się, otworzył oczy i zaczął krzyczeć z całych sił, prosząc o litość.

– Masz szczęście, że żyjesz, sukinsynu – powiedziałem, spluwając. Ponownie stracił przytomność. Pozbieraliśmy małpie maski i rozebraliśmy całą trójkę. Założyliśmy na siebie ciuchy szofera i nieżywego policjanta, a ubranie nieprzytomnego funkcjonariusza wytarliśmy zakrwawione twarze.

– Nie mam pojęcia, co nas czeka za tymi drzwiami – powiedział Rojo, stojąc przy wyjściu. – W tej chwili liczy się tylko to, aby wyjść z tego cało.

– Zrozumiałem.

– Rób, jak uważasz – powiedział. – Nie oglądaj się na mnie, zgoda?

Nie zrozumiałem o co mu chodzi, ale przytaknąłem.

Drzwi były lekko uchylone. Słyszeliśmy szum morza, fale uderzające o skały, muzykę dobiegającą z oddali.

Rojo pchnął wrota i wyszliśmy na zewnątrz.

# 17

Ciemność, kamienne płyty i groby ustawione w rzędach, kilka centymetrów od siebie. Po wyjściu z magazynu ruszyliśmy oświetloną przez księżyc ścieżką. Nie było nic widać ani słycać. Z drugiej strony wyspy, tam, gdzie stały domy, dobiegały dźwięki charangi przygrywającej do wiejskiej wieczornicy.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytał Rojo. – Co się tutaj wyprawia?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem i skierowaliśmy się tam, skąd dobiegała muzyka.

Szliśmy polną drogą, potykając się raz po raz o wystające kamienie, wsłuchując się w szumiące morze i snując domysły bez żadnych konkluzji. Byłem przerażony. Całym ciałem czułem strach i wilgoć morza, która przenikała aż do szpiku kości. Nocna bryza, pozbawiona słonecznego ciepła, smagała poplamioną twarz. Posklejane włosy były sztywne, jak z plastiku. Zasnęta krew utworzyła na skórze pajęczą sieć, powodując niemiłosierne swędzenie. Rojo nic nie mówił. Grał twardziela, choć cierpiał tak jak ja.

– Idę się przepłynąć – powiedział. – Kurwa, dłużej nie wytrzymam.

Na wysokości wieży strażniczej skręciliśmy w kamienistą ścieżkę prowadzącą do zatoki pełnej skał i wyschniętych wodorostów. Rozebraliśmy się, nie zwracając uwagi na nagość. Rojo puścił się biegiem do wody.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął. – Jest lodowata.

– A czego się spodziewałeś? – powiedziałem i ruszyłem za nim. Poczulem, jak woda obmywa najpierw stopy, później sięga do kolan. Była zimna. – Moje

przyrodzenie!

Zmyliśmy krew morską wodą. Odżyły rany od zadanych ciosów, sprawiając trudny do zniesienia ból. Po wyjściu z morza powietrze wydało się zimniejsze od wody. Trzęśliśmy się jak galareta. Rojo wytarł się koszulą, którą zabrał jednemu z oprawców i podał ją mnie.

– Ubierzmy się – powiedział. – Inaczej dostaniemy zapalenia płuc.

Po kąpieli poczułem się znacznie lżej. Miałem wrażenie, że pozbyłem się emocjonalnego ciężaru, który został w bezkresnym morzu. Ubranie kleiło się do mokrej skóry jak bibułka do tytoniu. Wspięliśmy się z powrotem na wzgórze i ruszyliśmy do portu. Z góry widać było zamknięte restauracje, plaże dla turystów, port i niewielkie łodzie przycumowane do brzegu. Muzyka brzmiała coraz głośniejsze, zapraszając do centrum wioski.

– Masz jakiś plan? – spytałem Rojo, stojąc przed kamiennym łukiem oddzielającym wejście do miasteczka od reszty wyspy.

– Nie – powiedział.

Słyszeliśmy hałas opuszczanych rolet, muzykę i okrzyki radości.

– To musi być jakieś tutejsze święto – powiedziałem. – Nie wygląda to na religijne obrządki.

Inspektor spojrział na mnie pytająco. Trudno było wrócić do normalności po tym, co przeżyliśmy.

– Sprawdź broń.

Założyliśmy maski na twarz. Idąc po ciemku, wypatrywałem fasady znajomego domu. Na widok przebranej pary Rojo ostrzegł mnie gestem dłoni, ale nie wyglądali na niebezpiecznych. Chłopak zdjął dziewczynie maskę, pocałował i weszli do jednej z bram. On powiedział coś o jedzeniu, a ona odparła, że nie będzie mu gotować. Dotarliśmy do placu, na którym muzycy w przebraniu grali piosenki z lat pięćdziesiątych. Zespół był kiepski, ale to nie miało znaczenia, bo i tak cały plac był zapelniony tłumem tańczących przebierańców, którzy raczyli się alkoholem i cieszyli własnym towarzystwem. Muzyka zagłuszała wszystko. Jedna z ulic odchodzących od placu biegła w stronę muru, za którym było już tylko morze, a na nim kilka niezamieszkałych wysepek. Szedłem za Rojo, gdy jakaś dziewczyna zaprosiła mnie do tańca.

Miała maskę psa na twarzy i piękne nogi. Poruszała się zgrabnie, zachęcając do zabawy, ale ja miałem w głowie zupełnie coś innego. Doszliśmy do kolejnego kamiennego łuku, który łączył plac z inną ulicą.

– Tracimy czas – powiedział poirytowany Rojo. – Rusz głową, Gabriel! Myśl!

Wzruszyłem ramionami. Nie mieliśmy bladego pojęcia, co robić ani gdzie szukać. Czy to jakiś żart? Nie, to niemożliwe. Cornelio i Violeta gdzieś tu są, nie mogli stąd wyjechać.

– Oni muszą gdzieś tu być – powiedziałem. – Wiem, że są tutaj. Musimy znaleźć ten cholerny dom.

– Żartujesz? – powiedział Rojo. – Dlaczego myślisz, że są w jednym z domów? Zostało nam tylko kilka godzin do wschodu słońca. Wtedy cała impreza się skończy.

– Chwila... – powiedziałem na widok chmury białego dymu, która pojawiła się za plecami Rojo. – Czujesz ten zapach?

– Ktoś pali ognisko – odpowiedział.

– Nie! – krzyknąłem i ruszyłem biegiem w stronę łuku. Na jednej z wysepek zobaczyłem ogień. – To oni, Rojo! Są tam!

Widać było tylko blask ogniska i snop białego dymu. Byli wystarczająco daleko, by nie zwrócić uwagi podchmielonych rybaków, tańczących w rytm wiejskiej muzyki.

Pobiegliśmy do brzegu i rzuciliśmy się wplaw do wysepki. Przyplływ sięgał nam do piersi, a fale spychały w kierunku skał. Woda uszkodziła pistolety. Gdy dopłynęliśmy do brzegu, podszedłem do Rojo i pomogłem mu wstać. Mokre ubranie sprawiło, że ciężko nam było się poruszać. Chłód przenikał nas na wskroś, a ja trząsałem się z zimna i ze strachu. Byłem przerażony, ale jednocześnie ciekaw tego, co się zaraz wydarzy.

Okrążyliśmy wyspę i zobaczyłem łódź – tę samą, która przywiozła mnie na Tabarcę za pierwszym razem. Zacumowana motorówka czekała na człowieka, który już nigdy nią nie popłynie.

Po przejściu kilku kolejnych metrów poczuliśmy ciepło bijące od ogromnego ogniska. Dlaczego było takie duże? Mogło przecież ściągnąć czyjąś uwagę. To musiał być element jakiejś ceremonii. Wreszcie zobaczyłem

Violetę. Włosy miała upięte z tyłu głowy, a w ręku trzymała pistolet. U jej stóp leżała zdeptana maska tygrysa. Ubrana była w spartańskie sandały i czarny strój. Mierzyła z broni do osoby, której nie widziałem.

– To Violeta – szepnąłem. – Jest uzbrojona.

– Gównu – powiedział stojący za moimi plecami Rojo. – Lepiej zajdę ją od drugiej strony.

– Oszalałeś? – odpowiedziałem. – Zabije cię.

– Nie – powiedział. – Ty ją powstrzymasz.

– Za bardzo mi ufasz – odpowiedziałem.

Potknąłem się i straciłem równowagę. Próbowałem znaleźć oparcie i chwycić się skały, za którą byłem schowany. Ale nie udało się. Z rozpędu zrobiłem kilka kroków do przodu i runąłem jak długi u stóp Violety. Ogień przypalił mi twarz. Po drugiej stronie ogniska stała Blanka i siedział wystraszony Cornelio. Ręce i nogi miał związane, a twarz odsłoniętą. Blanka była smutna i jakby bez życia – całkowite przeciwieństwo osoby, którą poznałem.

– Proszę, proszę. Mamy gości... – powiedziała Violeta, celując we mnie. – To ty? Jak się wydostałeś?

Obejrzałem się za siebie. Było ciemno, a Rojo pewnie był już w innym miejscu.

– Co on tutaj robi? – spytał siedzący na ziemi Cornelio.

– Gabriel? – powiedziała Blanka. Głos jej się łamał. – To ty?

– Gdzie jest ten drugi? – spytała Violeta.

– Nie ma nikogo więcej – odpowiedziałem. – Jestem sam.

Z nienawiścią spojrzała mi w oczy. Zerknęła na zegarek. Podniosła broń, wymierzyła w Cornelia i nacisnęła spust.

Rozległ się huk wystrzału. Cornelio upadł na ziemię. Żył. Kula przeszła ramię.

– Kurwa! – krzyknął. – Ty suko!

– Przysięgam, że kolejna kula trafi go prosto w skroń – powiedziała do mnie Violeta. – Twój koleżka nie będzie miał kogo zamknąć w więzieniu.

– Już ci mówiłem, jestem sam... – powiedziałem cały drżąc. – Na Boga, oszczędź go...



Wyciągnęła z torebki tłumik, przymocowała do pistoletu i podeszła do Cornelia. Potem spojrzała na mnie.

– Nie! – krzyknął przerażony. – Oddam ci wszystkie pieniądze. Przysięgam! Violeta, nie rób tego!

– Resztę życia spędzisz z poczuciem winy – powiedziała do mnie. – Mogłeś temu zaradzić.

Zanim zdążyła wystrzelić, między nas wleciał kamień i uderzył ją w ramię.

– Co to było, do cholery? – przeklęła. Wtedy na scenę wkroczył Rojo. Wyskoczył z ciemności i rzucił się na nią. Na placu we wsi odpalono sztuczne ognie. Kolorowe fajerwerki w kształcie liści palmowych oświetliły wyspę. Między Rojo a Violetą wywiązała się walka. Pistolet upadł obok Blanki.

– Nie! – krzyknąłem ostrzegawczo, ale nie posłuchała. Chwyliła broń i wymierzyła w Cornelia. – Nie rób tego, Blanka!

Rozwścieczona stanęła na wprost niego, trzymając oburącz pistolet.

Cornelio zaczął się śmiać.

– Ty szmato! Nie masz dość odwagi, by do mnie strzelić! – syknął. – Wiesz dobrze, że mnie potrzebujesz!

Violeta kopnęła Rojo w krocze, uwolniła się i wyrwała broń z rąk Blanki. Wystrzeliła trzy razy w kierunku męża. Wokół jego głowy utworzyła się czerwona plama.

– Wsiadaj do łodzi i odpal silnik! – rozkazała mi Blanka. Rojo wracał powoli do siebie. – Wszyscy faceci są tacy sami. Chcesz być następny?

Wtedy Violeta wymierzyła broń we mnie.

– Strzel do mnie, no dalej! – krzyknął Rojo do Violety. – Wiem, że tego pragniesz. Ty i cała reszta. Zabraliście mi żonę. Kazaliście jej wierzyć, że rakiem toczącym nasz związek byłem ja... osierociła dziecko. Porwaliście ją. Zrobiłem wszystko, aby ją odnaleźć, ale... jestem już zmęczony.

– To była jej decyzja – powiedziała Violeta. – Miała swoje powody.

– Zabij mnie – powiedział. – Strzelaj. Poczujesz się wolna i silna, ale uwolnij mnie od tego ciężaru. Śmiało, zrób to.

Blanka podbiegła do łodzi i odpaliła silnik.

Violeta cały czas do mnie mierzyła.

– Dlaczego, Gabriel? – spytała. – Czego chcesz? Jaki masz w tym interes?

– To byłaś ty, prawda? – zapytałem. – Estrella, ta dziewczyna.

– Nie miałam wyboru – powiedziała z dumą. – Wiedziałam od samego początku, że pragnie wyłącznie władzy... Wcześniej czy później i tak stałaby się problemem.

– A dlaczego Blanka? – zapytałem. – Dlaczego ona?

– Zbyt dużo wiedziała – odpowiedziała.

– Czego chcecie? – spytałem.

– Tego, co nam się należy – odparła i zdecydowanym ruchem przyłożyła mi broń do głowy. – Wolności... Żegnaj, Gabriel.

Nabrałem powietrza w płuca i cały zeszytniałem. Nagle jakaś siła zmiotła ją z mojego pola widzenia. To była Blanka, która rzuciła się na Violetę i przewróciła ją na ziemię. Rojo zerwał się na nogi i chwycił Violetę za gardło.

– Gdzie jest moja żona?! – krzyknął, przyciskając ją do ziemi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Blanka. Popatrzyła mi w oczy i podała dłoń. Uratowała mi życie. Pocałowaliśmy się namiętnie. Poglaskalem ją po głowie, a ona objęła mnie w pasie. Przytuliliśmy się. Blanka drżała ze wzruszenia.

Strzał Violety zaalarmował ludzi w wiosce i w naszą stronę już płynęła rozpędzona łódź.

Kobiecie udało się uwolnić z uścisku i po gwałtownej szamotaninie pchnęła inspektora do wody. Rojo zniknął pod powierzchnią.

– Rojo! – krzyknąłem.

– Stać! Policja! – rozkazał strażnik z łódki i oświetlił brzeg reflektorem. – Nie ruszać się!

Violeta podniosła pistolet z ziemi, wsadziła sobie lufę w usta i zanim ktokolwiek zdążył jej przeszkodzić, wypaliła. Trysnęła krew. Tył jej głowy rozpadł się na tysiąc kawałków, jak torebka chrupek wyrzucanych przez okno.

Violeta odebrała sobie życie, chroniąc w ten sposób swoich współników. Zabrała tajemnicę do grobu.

Wyczerpany Rojo wyczołgał się z wody.

Na wysepkę przybyły kolejne osoby.

Policja i pogotowie ratunkowe udzieliły nam pomocy.

To był już koniec.

Jedynego czego pragnęliśmy w tym momencie, to by opuścić to miejsce.

# 18

Śledztwo zamknięto, a akta trafiły do policyjnego archiwum. Prasa narobiła szumu wokół wydarzenia i wiele ogólnokrajowych gazet stanęło na głowie, aby kupić moją historię. Zredagowałem informacje, które znalazłem w komputerze Blanki i napisałem dziennikarską relację z pierwszej ręki, za którą zainkasowałem całkiem pokaźną sumę. Rojo szybko doszedł do siebie. Po zamknięciu sprawy wziął urlop i spędził go ze swoim synem w górach, z dala od morza i wszystkiego, co się z nim wiązało.

Uporządkowałem mieszkanie i postanowiłem poszukać nowego. Chciałem zapomnieć o tym, co się tutaj wydarzyło. Zabrałem ze sobą tylko płyty Coltrane'a.

Nie wiedziałem za bardzo, co ze sobą zrobić. Blanka złożyła zeznania i postanowiła wrócić do Madrytu. Odprowadziłem ją na dworzec kolejowy Alicante.

– Odwiedź mnie, kiedy będziesz miał ochotę – powiedziała smutna. – Wiedz, że masz dom w Madrycie... i przyjaciółkę.

Otarłem łzę spływającą po jej policzku, złapałem za podbródek i spojrzałem głęboko w oczy.

– Moglibyśmy być zgodną parą – powiedziałem – tak długo, jak nie mieszalibyśmy życia prywatnego z pracą.

Pocałowałem ją w usta, a ona odwzajemniła mój pocałunek.

– Na jakiś czas dam sobie z tym spokój... Nie wiem czy to zajęcie jest dla

mnie.

– Nie mów tak. Jesteś w tym niezła i możesz zejść naprawdę daleko.

– Zobaczymy – powiedziała. – Czasami tak obsesyjnie myślimy o celu, że zapominamy o chwili obecnej.

Kobięcy głos zapowiedział przez megafon odjazd pociągu.

– Żegnaj, Gabrielu – powiedziała i jeszcze raz mnie pocałowała. Wziąłem głęboki oddech. Chciałem przesiąknąć jej zapachem i utrwalić sobie jej obraz w głowie.

Przed jej odjazdem dowiedziałem się, że ona również dostała tajemniczy telefon na początku całej tej sprawy. Otrzymała też kopertę z pendrivem pełnym zdjęć. To właśnie te fotografie znalazłem w jej komputerze. Violeta, Cornelio, a może oboje naraz, prowadzili z nią grę i szantażowali ją. To ich mactwa doprowadziły do tego, że nasze drogi się skrzyżowały.

Nadszedł wrzesień. Po lecie pozostało tylko wspomnienie. Ortiz, z powodu swoich powiązań ze sprawą, wycofał się z dziennikarstwa. Zostałem bez pracy, a ostatnia wiadomość, która dotarła do mnie o tym kretynie mówiła, że jego żona zażądała rozwodu.

Pozostało jeszcze wiele wątków do sprawdzenia, świadków do przesłuchania i wiele pytań bez odpowiedzi. Bractwo Milczenia było częścią siatki zajmującej się handlem ludźmi, korupcją i seksualnym wykorzystywaniem kobiet i nieletnich.

Pewnego wrześniowego poranka, gdy wygrzewałem się w słońcu, raczyłem piwem i czytałem mój reportaż w wydaniu specjalnym El Mundo, zadzwonił telefon.

To był nieznan mi numer.

Kusiło mnie, żeby nie odbierać. Nie byłby to pierwszy raz w moim życiu.

– Caballero, prawda? – zapytał męski głos.

– Tak, to ja.

– Proszę posłuchać, jestem dyrektorem Las Provincias – powiedział. – Armando Fuego, pewnie słyszałeś o mnie.

Armando Fuego był grubą rybą w dzienniku, figurą ważniejszą od Ortiza.

– Tak, słucham.

– Chcę, żebyś wrócił do gazety – powiedział. – Po odejściu Ortiza

wszystko się posypało i cóż... Ty masz doświadczenie i reputację.

– Dostanę własny gabinet?

– Tak.

– I pensję Ortiza?

Usłyszałem westchnienie.

– Tak, tak sędzę.

– Przypuszczenia to za mało – powiedziałem. – Tak, czy nie?

– Tak, jeszcze o tym porozmawiamy – potwierdził. – Jak brzmi twoja odpowiedź?

– Możesz na mnie liczyć – odpowiedziałem. – Do zobaczenia wkrótce.

Rozłączyłem się i poczułem ogromną satysfakcję.

Telefon zadzwonił ponownie. Nie odebrałem. Skończyłem piwo i poprosiłem kelnera o rachunek.

Na ulicę Castaños wylegli mieszkańcy i studenci, zajmując miejsce prostackich turystów. Zamiast sandałów pojawiły się sportowe buty. Alicante odzyskiwało swój dawny urok. Stawało się znowu miastem, a nie jedynie parkiem rozrywki, w którym można się było tylko porządnie nawalić. Na ulicę wrócił dialekt kastylijski ze źle budowanymi zdaniami i typowym dla Walencji słownictwem.

Telefon nie przestawał dzwonić. Odebrałem.

– Tak? – zapytałem. – Fuego? Czego tym razem pan chce?

– Widzę, że wróciłeś do nalogów ulicznego kundla – powiedział męski głos.

– Rojo? – spytałem zaskoczony. – Gdzie jesteś?

Rozmowa urwała się, a z tłumu przechodniów wyłonił się inspektor. Miał obcięte krótko, zaczesane do tyłu włosy i nieodłączne okulary pilotki. Podsunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Jak leci Gabriel? Jak to jest być sławnym?

– Całkiem znośnie, jakoś sobie radzę. Co cię tutaj sprowadza?

Inspektor wyciągnął z kieszeni spodni pomiętą, żółtą kopertę i położył na metalowym stoliku obok szklanki z piwem.

– Ty mi to powiedz – powiedział i wstał. – Wiesz, gdzie mnie szukać.

Ruszył ulicą w dół i zniknął za rogiem.

Zapaliłem papierosa, zdjąłem okulary przeciwsłoneczne i otworzyłem kopertę.

To było zaproszenie.

Inspektor Rojo proponował mi współpracę przy nowym dochodzeniu.

Schowałem kartkę do koperty i włożyłem ją do kieszeni.

Obok przechodziła grupa dziewczyn. Jedna z nich, brunetka, obejrzała się za siebie. Uśmiechnąłem się, a ona oblała się rumieńcem.

Życie znowu puknęło do moich drzwi.

# Czytelniku!

Spodobała Ci się ta książka?

[Śledź dalsze losy Gabriela Caballero na stronie:](#)

[www.autornia.com](http://www.autornia.com)

Dziękuję!





# O AUTORZE

**Pablo Poveda** (Cartagena, 1989) jest dziennikarzem, pisarzem i zwolennikiem prostego życia. Jako nastolatek grał w zespole rockowym, wydał jeden singiel i nagrał kilka piosenek. Wystąpił w MTV i pisano o nim w gazetach. Później odłożył gitarę i skupił się na pisaniu powieści w stylu Raymonda Chandlera, Ernesta Hemingwaya i Patrycji Highsmith. Pisząc kolejne książki podróżował po Europie.

Przeznaczenie zaprowadziło go do wielu miejsc, ale ostatecznie trafił do Warszawy. Pewnej nocy przechadzał się samotnie po ulicy, śnieg prószył, a on wsłuchiwał się w dobiegający z baru utwór Coltrane'a. Wtedy postanowił porzucić konwencjonalną pracę w biurze, by zrealizować swoje literackie marzenia.

Pięć lat później wrócił do Hiszpanii. Zamieszkał na krótko na śródziemnomorskim wybrzeżu Costa Blanca. W 2018 r. przeprowadził się do stolicy Hiszpanii. W tym samym roku wydał książkę „El Doble” (Sobowtór), dzięki której został finalistą Nagrody Literackiej Amazon. Ten sam sukces powtórzył w 2000 r. z książką „El Misterio de la Familia Fonseca” (Tajemnica rodziny Fonseca).

Napisał ponad dwadzieścia powieści, a tysiące egzemplarzy jego książek znalazły czytelników w Hiszpanii oraz Ameryce Łacińskiej i rozslawiło jego kryminalne historie na całym świecie. Jest minimalistą i w podróż zabiera tylko niezbędne rzeczy: dobrą książkę, notatnik i okulary słoneczne.

Fascynuje go Morze Śródziemne, tajemnice, ludzie, którzy mają coś

wartościowego do powiedzenia, podrzędne drogi, tradycyjne bary i kluby jazzowe Madrytu.

Tłumaczenia książek na język polski:

[Gabriel Caballero](#)

[Wyspa ciszy.](#)

[Klątwa Kraba](#) (wkrótce)



KRYMINALNE INTRYGI  
GABRIELA CABALLERO #2

# PABLO POVEDA WYSPA CISZY

